U. I. C. C.
APR 24 1979
LIBRARY

TWÓRCZOŚĆ

MIESIĘCZNIK LITERACKO-KRYTYCZNY

3 KWIETNIA 1849
ASIEJEW: MAJAKOWSKI
HEN: NA ZACHÓD OD NYSY
BERWIŃSKA: ANTYGONA
WYDRZYŃSKI: KOMEDIA
WSZELAKI: STANOWISKO LEKARZA W LITERATURZE POLSKIEJ

1949 — KWIECIEŃ — ZESZYT

4

TWÓRCZOŚĆ
KWIECIEŃ
1949

TREŚĆ ZESZYTU

3 KWIETNIA 1849
MIKOŁAJ ASIEJEW: MAJAKOWSKI Z BLISKA
JÓZEF HEN: NA ZACHÓD OD NYSY
WILHELM SZEWCZYK: WIERSZE
KRYSTYNA BERWIŃSKA-GOGOLEWSKA: OCALENIE ANTYGONY
ANDRZEJ WYDRZYŃSKI: KOMEDIA
SAMUEL PEPYS: POŻAR LONDYNU
STANISŁAW WSZELAKI: POSTAĆ LEKARZA W LITERATURZE POLSKIEJ
SPRAWOZDANIA
(J. KLEINER, K. KULICZKOWSKA, H. MARKIEWICZ, S. FURMANIK)

TWÓRCZOŚĆ

MIESIĘCZNIK LITERACKO-KRYTYCZNY

KWIECIEŃ 1949

ROK V ZESZYT 4

OKŁADKĘ PROJEKTOWAŁ LUDWIK GARDOWSKI

DRUKARNIA NARODOWA W KRAKOWIE
M — 34588

3 KWIETNIA 1849

Na tle ciemnego pokoju, który rozświetlał ogień palący się na kominku, ujrzałem postać niewielkiego wzrostu, z twarzą bladą, czarnymi, błyszczącymi oczyma i gęstą, sterczącą na głowie czupryną.

Byliśmy sami.

Słowacki odsłonił roletę w oknie i siedliśmy obok siebie.

...Mówił mi między innymi, że przed niejakim czasem był u niego Józef Simmler, malarz z Warszawy, i że dowodził mu wyższości sztuk plastycznych nad poezją.

Słowacki nie podzielał tego poglądu, dowodząc wprost przeciwnej tezy. Przypominam sobie, że na jej poparcie przytoczył takie dwa ciekawe przykłady. Jeden z „Pana Tadeusza", o Zosi, pasterce, pasącej gęsi z marchewką w ręku, niby nimfie tajemniczej, trzymającej złoty róg Amaltei...

W poetycznym mniemaniu i fantazji jest to prześliczny obrazek, który malarstwo musiałoby poniżyć i sprowadzić do prozaicznej rzeczywistości.

Drugi znów dowód jest ten, że my, w cywilizacji naszej przerafinowani, nie możemy mieć w malarstwie dość zdrowego poglądu na pewne fakty; tymczasem pogląd taki stwarza fantazja chłopska i ona powinna być miarą w sztuce. Weź np. — mówił z ożywieniem Słowacki — temat na pokłon Trzech Króli. Tylko chłop uczuje majestat tej chwili: on ubierze królów w koronę, w materię drogą. Królowie są to dla niego figury wysoce nastrojone na ton bogactwa, gdy z nami rzecz ma się wprost przeciwnie. W naszej fantazji monarcha przedstawia się bodaj we fraku i białych rękawiczkach!... I dlatego, zdaje mi się, że my poeci bliżej stoimy fantazji chłopskiej niż malarze, bo słowa nasze wychodzą wprost z duszy niezepsutej różnymi kierunkami i szkołami zagranicznymi, przez jakie dziś przechodzić muszą malarze. Zbliżcie się zatem więcej do ludu polskiego, do natury jego kraju, nie usiłujcie odebrać poezji słowa jego właściwości, dajcie obraz realny, nie potrzebujący komentarzy...

...Przed śmiercią jeszcze Chopina zaszedłem był raz na ulicę Ponthieu przy Elizejskich polach do domu, którego odźwierny z uprzejmością odpowiadał, ile razy kto zachodząc pytał go, jak się *Monsieur Jules* ma?... Tam na najwyż-

szym piętrze pokoik był, ile można najskromniej umeblowany, a okna jego dawały na przestrzeń, jaką się z wysokości zawsze widuje, tym jednym tylko upiększoną, iż czerwone słońca zachody w szyby biły łunami swymi. Kilka doniczek z kwiatami na ganku przed oknami tymi stało, a ośmielone przez mieszkańca wróble zlatywały tam i szczebiotały. Obok, drugi maleńki był pokoik — to sypialnia.

Było to więc jakoś około piątej godziny po południu, kiedy przedostatni raz byłem tam u Juliusza Słowackiego, który właśnie kończył obiad swój z zupy i pieczonej kury składający się. Siedział przeto Słowacki przy stoliku okrągłym na środku pokoju, ubrany w długie podszarzane palto i w amarantową spłowiałą konfederatkę, akcentem wygody na głowę zarzuconą. I mówiliśmy tak o Rzymie, skąd właśnie że niezbyt dawno przybyłem do Paryża — o niektórych znajomych i przyjaciołach, o bracie mym Ludwiku, którego śp. Juliusz rzewnie kochał — o *Nieboskiej komedii*, którą wysoko bardzo cenił — o *Przedświcie*, który miał za piękne dzieciństwo... Także o sztuce, że wpadła w mechanizm — także o Chopinie (który żył jeszcze), a o którym Juliusz pokasłując rzekł mi — „*parę miesięcy temu spotkałem jeszcze tego moribunda...*“ sam wszelako pierwej od Fryderyka Chopina odszedł ze świata widzialnego, umarłszy.

Do pokoiku tego, który, jak Juliusz mawiał: „zupełnie byłby dla szczęścia człowieka wystarczającym, gdyby nie to, że w jednej stronie jego kąty nie są zupełnie proste, źle będąc skwadratowanym“, — do tego, mówię, pokoiku innego dnia wieczorem wszedłem był, a Juliusz stał przy kominie, fajkę na cybuchu długim paląc, jak to używa się w Polsce na wsi, — na kanapie siedział malarz Francuz (którego Juliusz potem egzekutorem testamentu swego zrobił), ale ten nie mówił i milczał milczeniem mało naturalnym i siedział. Nad kominkiem wisiał brązowy medal, Juliusza przedstawiający, który jest jedną z najpiękniejszych w tym rodzaju robót Oleszczyńskiego.

O Francji, o rewolucji, o rzymskich wypadkach mówiliśmy — on, naturalnym ale kolorowanym słowem, i niespodziewanymi obrotami mowy, i niekiedy akcentem zrezygnowanego żywota, głębię apostrof filozoficznych w *Marii* Malczewskiego napotykanych przypominającym. Co wszelako nie zawsze z wielkimi jego, czarnymi, ognia pełnymi oczyma, i z orientalną skronią, i z otworami energicznymi nosa orlego sprzymierzało się... Pod koniec rozmowy mówił mi: „piersi, piersi nadwerężone mam, każą mi już tylko cukierki jeść, co chwilowo łagodzi kaszel, żołądkowi za to o tyleż szkodząc. Przyjdź jeszcze w przyszłym, w zaprzyszłym tygodniu, potem... czuję, że niezadługo i odejść z tego świata przyjdzie mi“. — Wyraźnie mi to mówił, bawiąc się cybuchem fajki swojej, tam i ówdzie powoli poruszanym jak wahadło zegaru ściennego.

d. Piątek [w marcu 1849].

Pani!

Bardzo i bardzo źle z moim zdrowiem. Jeżeli wyszedłem kilka razy, to w istocie tak jak upiór, zdolny tylko szklanne rzucać wejrzenie na to słońce, które wkrótce przestanie świecić memu snowi. Przechodząc około progów Pani, jakaś niemoc i zarazem smutek nieprzezwyciężony odwrócił w inną stronę kroki moje — wejść nie mogłem — na serce się moje klnę, że nie mogłem. A jednak niech mi Pani wierzy, że z prawdziwym rozrzewnieniem myślę o tej dobroci, która i teraz tak troskliwie dopomina się — o tę część smutku, którą, wiem, iżby wzięła na siebie, gdyby mi tym ulżyć mogła. Ale wszystko próżno, Pani droga! Przynajmniej, w tych dniach takie jest przeświadczenie moje. — Gorączki mię trawią — bicie serca powiększa się ciągle — a wewnętrzne uczucie osłabienia już mi bardzo mało nadziei zostawia. Proszę więc Pani o modlitwę i myśl dobrą — która by wspólnie łącząc się z moją myślą, pomogła mi w tym weselu ostatecznym ducha — który pół senny — widzi pąki otwierające się na drzewach — i coraz głębiej zasypia — aż do nowej wiosny — i dnia pełnego, w którym znów podniesie czoła — i rozjaśni się nową radością. —

Żegnam Panią — i obiecuję przyjść, jeżeli Bóg jeszcze pozwoli

wierny sługa

Juliusz Słowacki

Rue de Ponthieu 30

Kochany Hłuszniewiczu!

Krew mi się rzuciła z piersi, sądzę że hemoroidalna — byłem bowiem od kilku dni przez hemoroidy zaatakowany — proszę cię przyjdź i obaczywszy mnie, powiedz co mam czynić abym nie był winien dobrowolnie przeciwko żywotowi mojemu.

Twój

Juliusz Słowacki

[Marzec, 1849]

Sobota. [31 marca 1849]

Chory jestem, i mocniejszą niż zwykle mam gorączkę, z targaniem nerwowym — proszę Cię, łaskawy i szanowny Antoni, odwiedź mię — a może co zaradzisz, aby do czasu ten dzban wodę nosił.

Rue Ponthieu 30. *Juliusz Słowacki*

Poniedziałek [2 kwietnia 1849]

Kochany Hłuszniewiczu

Bardzo mi się pogorszyło — gorączka trawi — kanały oddechowe ścieśniają się — żółć napełnia żołądek. — Udaję się do Ciebie po pomoc — sam jechać po nią nie mogę.

Twój mocno wdzięczny

Ponthieu 30. *Juliusz Słowacki*

Na dzień przed śmiercią przyniósł mu Petiniaud kwiaty, Juliusz roztkliwił się nad nimi, mówiąc, że to wiosna żegna go pod postacią kwitnącej wiązanki. Położył kwiaty przy łóżku i długo patrzył na nie przez łzy.

Widząc, że nie śpi, weszliśmy znowu, prosił o trochę wina czerwonego, które już z trudnością połykał. Potem kazał mi przynieść książkę, z której mi w wilię dyktował, i pokazywał mi, w jakim porządku potrzeba dalej przepisywać, ale nie doszedłszy do końca, zamknął ją, mówiąc z uśmiechem: „Wszystko to głupstwo!" Potem prosił, żeby go posadzić w innej pozycji, a kiedyśmy to uskutecznili, powiedział zawsze z uśmiechem: „Może to w tym położeniu śmierć mnie zastanie". Potem zamilkł, ale często spozierał na zegarek, jakby chciał wiedzieć, o której godzinie do wieczności się przenosi.

...z sił zupełnie opadał, jakby chwilowe omdlenia. Marzył, aby ciało jego spoczęło na cmentarzu krzemienieckim, pod cieniem czereśni, obok mogił dziada i babki.

Na kilka chwil przed zgonem kazał sobie podać zegarek i co chwila nań spoglądał. Gdy sen morzył, przymykał powieki, lecz po chwili je podnosił, obawiając się czy to nie sen ostatni. Nagle dał znak, że chce powstać, lecz osunął się na poduszki i skończył.

Szanowny Panie!

Słowacki już skończył. Spokojnie i z rezygnacją, opatrzony św. Sakramentami. Egzekutorem testamentu naznaczył Francuza Petiniaud, który jest tu w tej chwili i zajmie się pogrzebem. Ja zostaję tu także, żeby mu dopomóc, w czym będę mógł. Pogrzeb odbędzie się pojutrze, jutro rozeszlą się oznajmienia do Polaków, którzy zechcą uczcić pamięć zmarłego. Jeżeli by pan był łaskaw przysłać nam jakimś sposobem książkę z adresami, bardzo byśmy byli wdzięczni, gdyż inaczej oznajmień rozesłać nie możemy; ja obowiązuję

się w całości Panu ją oddać. Będę tu nocować, żeby nie zostawiać samego Francuza, który tak poczciwy, że się poświęca dla naszego rodaka.

...już to o rannej godzinie było i było to tak, że, wszedłszy, pierwszy widziałem ciało zimne Juliusza, bo w nocy poprzedniej, Sakramentami opatrzony (list od matki swej, nadeszły właśnie w chwili skonania, odczytawszy), zasnął śmiercią i w niewidzialny świat odszedł. Mało piękniejszych twarzy umarłego widzi się, jako była twarz Słowackiego, rysująca się białym swym profilem na spłowiałym dywanie ciemnym, coś z historii polskiej przedstawiającym, który łoże od ściany dzielił. Ptaszki zlatywały na niepielęgnowane doniczki z kwiatami; — krzątano się około pogrzebu, a pogrzeb ten, jaki był, to różni różnie opisywali.

Uprasza się szanownych rodaków, aby raczyli oddać chrześcijańską posługę Juliuszowi Słowackiemu, zmarłemu w Paryżu, dnia 3 kwietnia. Zgromadzenie będzie miało miejsce w mieszkaniu zmarłego, przy ul. Ponthieu nr. 30, dnia 5 kwietnia o g. 11 z rana. Nabożeństwo pogrzebowe odbędzie się w kościele Saint-Philippe-du Roule o g. 12, skąd zwłoki odprowadzone zostaną na cmentarz w Montmartre.

Po powrocie z Wrocławia, gdzie po raz ostatni pożegnał swą matkę, Juliusz przeczuwał już zgon bliski i napisał testament, którego wykonawcą naznaczył młodego malarza francuskiego, o ile pamiętam Petiniaud, który z synowską niemal miłością kochał naszego poetę. Testament ów obejmował wszystkie szczegóły, tyczące się pozostałości po zmarłym i jego pogrzebu, którym zajął się wyłącznie Petiniaud. Suma, pozostała po śmierci Juliusza, była bardzo szczupła, a że ani ja, ani wykonawca testamentu nie byliśmy w stanie coś do niej dodać, trzeba więc było poprzestać na 9 klasie pogrzebu, żeby wystarczyło przynajmniej na kupienie grobu na wieczność, co kosztowało 500 franków. We 24 godzin po skonstatowaniu zgonu, ciało nie balsamowane winno było być pogrzebane, nie starczyło więc czasu na drukowanie żałobnych obwieszczeń, pogrzeb więc odbył się tak skromnie, że zaledwie kilkanaście osób, i to nie głośnych nazwisk, towarzyszyło konduktowi z mieszkania poety na cmentarz Montmartre.

...Kapelan cmentarny spotkał u wrót cmentarza skromny kondukt i grób poświęcił, na którym następnie staraniem zacnego Petiniaud i wedle jego rysunku, wzniesiono ładny, choć nietrwały pomnik: na odłamku skały krzyż owinięty bluszczem, — że jednak nie starczyło na jednolitą podstawę, wzgórek przeto ułożono z drobnych kamieni, które ząb czasu wkrótce rozsunął.

Garstka rodaków odprowadziła go do grobu. Mickiewicz nie przyszedł. Nad mogiłą nikt nie przemówił. Z cmentarza powróciliśmy z Karolem Petiniaud, aby uporządkować mieszkanie zmarłego. Dni te były dla mnie praw-

dziwą drogą krzyżową. Łzy za Słowackim nie zaschły dotychczas. Teraz pojmuję, jak silną może być przyjaźń. Ma od miłości tę wyższość, że wyzbywa się miłości samego siebie, a żyje istotą drugą, wypełniając ją na wskróś.

Spuścizna literacka dostała się w moje ręce samą siłą rzeczy, bo nie było nikogo, kto by się o nią upomniał. Listy do siebie pisane umierający polecił mi spalić, zapewne z obawy skompromitowania osób, co je pisywały... Zrobiłem wyjątek dla listów Zygmunta Krasińskiego, które ocalały. Reszta korespondencji była charakteru prywatnego. Rękopisma były w wielkim nieładzie, wiele pięknych utworów na ulotnych kartkach poznajdywałem. Poemat, który mi przed śmiercią dyktował, był to drugi rapsod „Króla Ducha".

Zaledwie zabrałem się do uporządkowania i przepisania 3 najmniej czytelnych rękopisów, przybył do mnie Cyprian Norwid z oświadczeniem od Zygmunta Krasińskiego, że gotów swoim kosztem wydać całą pozostałość literacką po Słowackim... Przyjąłem chętnie tę ofiarę i z tym większą gorliwością zabrałem się do pracy przygotowawczej, gdy Krasiński otrzymał wezwanie niezwłocznego powrotu do kraju. Widząc udaremnioną nadzieję wydania tą drogą rękopisów, zmuszony sam wrócić do kraju, odesłałem wujowi Juliusza, Teofilowi Januszewskiemu, do Galicji wszystko, co u siebie miałem. Następnie zaś Małecki zajął się wydaniem i rozbiorem tak dawniejszych jak i pośmiertnych utworów zapoznanego za życia, a dziś tak wysoko cenionego poety.

La République universelle, l'émigration polonaise et l'art viennent de faire une perte douloureuse dans la personne de Jules Słowacki, décédé hier à 4 heures de l'après-midi. Le service funèbre aura lieu à la paroisse de Saint-Philippe-du Roule et la réunion à son domicile rue de Ponthieu 34. (30 ancien) jeudi 5 mars à 11 heureus du matin: le corps sera déposé au cimetière Montmartre.

Naród i piśmiennictwo nasze poniosło świeżo nieporównaną stratę: Juliusz Słowacki, jeden z największych naszego wieku geniuszy Polski i Europy, prawy Polak i człowiek, zakończył życie w Paryżu dnia 6-go kwietnia. Pogrzeb jego odbył się w cichości 8-go t. m. Z boleścią dowiedzieliśmy się, że nad mogiłą zmarłego nikt z pozostałych nie podniósł głosu, aby Jego zasługi czci i pamięci brata polecić. Smutno widzieć, jak często u nas najznakomitsi ludzie, jeśli nie służąc szczególnym stronnictw widokom, jedynie dla ogólnego działają pożytku, przechodzą bez współczucia i odgłosu za życia i po śmierci, podczas gdy tyle karlich umysłów i zdolności na szczudłach partii olbrzymich nabierają kształtów i rozgłosu.

Czytaliśmy go w kole rodzinnym: on nam złotymi snami, czarodziejską fantazją, muzyką wiersza umilał zimowe chwile i wyprowadzał z bólów i nędz rzeczywistych między rajskie obrazy, w świat zaczarowany, gdzieśmy się spotykali z postaciami innego rozmiaru niż ludzie zwyczajni, z myślami innego kroju, niż myśli codzienne. I nie być-że to wdzięcznym poecie? I nie sypać-że mu całymi garściami wieńców na tę mogiłę wyżebraną na cudzej ziemi, gdzie prochy jego nie zmieszają się nawet z prochami ojców, gdzie może bliski przechodzień z rodzinnej ziemi nie znajdzie nawet jego grobowca?! Odsłużmy mu przynajmniej żywym wspomnieniem.

Pamięci
JULIUSZA SŁOWACKIEGO

syna Euzebiusza
urodzonego w Krzemieńcu
zmarłego w Paryżu

który walkę poezji
ku odrodzeniu się ducha i
uczucia ludzkości
po chrześcijańsku
w dniu 3 kwietnia 1849 roku
zakończył
w żalu nieutulona matka
poświęca

Poszczególne fragmenty, wyodrębnione większym odstępem, pochodzą kolejno z następujących źródeł: relacja Wł. Łuszczkiewicza o rozmowie z poetą odbytej w lutym 1849 (por. L. Méyet — *Łuszczkiewicz a Słowacki, Kurier Warszawski*, 1900, nr 189); *Czarne kwiaty* C. Norwida; ostatni list poety do J. Bobrowej (por. J. Słowacki: *Listy*, Warszawa 1932, III, 153); trzy listy poety do dr Antoniego Hłuszniewicza (*l. c.*, III, 302-3); urywek listu S. Felińskiego do K. Wielopolskiego z dn. 15. IV. 1849 (por. J. Pietrzycki: *Nieznane szczegóły o ostatnich chwilach Słowackiego*, Lwów, 1908); urywek relacji S. Felińskiego ogłoszonej po raz pierwszy w *Dzwonku*, (Lwów), 1850, (por. J. Kleiner: *Juliusz Słowacki*, Warszawa 1927, IV, cz. 2, 507); urywek listu S. Felińskiego do K. Wielopolskiego; list S. Felińskiego do H. Błotnickiego (por. L. Méyet: *Pogrzeb Juliusza Słowackiego*, *Tygodnik Illustrowany*, 1896, nr 44); urywek *Czarnych kwiatów* Norwida; tekst zawiadomienia o pogrzebie poety (por. L. Méyet, *l. c.*); urywek z listu S. Felińskiego do L. Méyeta z dn. 18. IV. 1893 (por. L. Méyet, *l. c.*), urywek z listu S. Felińskiego do K. Wielopolskiego; nekrolog z *Tribune des peuples* (nr 22 z 5. IV. 1849); nekrolog pióra R. Zmorskiego w tygodniku *Stadło*, (Budziszyn, 1849, nr 5); fragment z bezimiennego artykułu pośmiertnego w *Czasie* (nr 111 z 5. VII. 1849); (teksty ostatnie na podstawie artykułu L. Méyeta: *Głosy prasy współczesnej o zgonie Juliusza Słowackiego*, *Przewodnik naukowy i literacki*, 1896, zesz. 2); tekst tablicy pamiątkowej w kościele św. Anny w Krakowie.

MAJAKOWSKI Z BLISKA

(ROZDZIAŁ XV POEMATU O MAJAKOWSKIM)

Ja
ani rubla
nie zbiłem na wierszach...

(W. Majakowski: „Pełnym głosem")

Nie w porywie biadoleń spóźnionych,
nie po to,
by okrasić legendę skrzydlatą,
— w trwodze,
by mi nie wypadł asceta natchniony,
piszę ten rozdział poematu.
Ja w Majakowskim
relikwii nie szukam,
co tam — spojrzenia nieziemsko płonące;
boję się,
by nie wypadł
bardziej płaski
i suchy
niż życie —
w nim tak zawsze kipiące.

Teraz,
oszklony,
w rameczkach na ścianie,
chmurny, ponury,
z portretów patrzy.
A gdzież to jego wściekły temperament,
tyle ruchu i szumu
wzbijający zawsze?
Bo czyż
sklejony
był on z takich skrawków,
z jakich się zlepia sztywne życiorysy?

W nim każda żyłka
życiem tętniła zawsze,
i życiem tętnić
musieli wokół wszyscy!
Lecz mało było godnych graczy:
ów — gdy odważny, tępy raczej;
inny —
gdy z głową na karku,
to sknera.
Ziarnko do ziarnka
tylko zbiera...
Częsty obrazek:
przyjemniaczek,
kiedy tysiączki swe zahaczy,
zaraz truchcikiem
je zanosi.
— Gdzie?
— Na książeczkę oszczędności.

Urządzili się wszyscy
i wielcy i mali;
ubranko za ubrankiem,
latem — wille własne.
A on,
czy także
do tego się palił —
czy brnął, jak tamci,
tą ścieżynką ciasną?
On umiał wszystko
wichru lotem przepuścić,
nie skąpiąc
sił,
ni brzęczącej monety.
Walutę serca
wydawał rozrzutnie,
serca — nie galarety!

Nie po to,
by w budżecie powypełniać luki,
czupryna przy czuprynie,
od wieczoru
po
świt,
myśmy z nim w karty

niestrudzenie tłukli,
coraz to nowe
wymyślając gry.
On grał
o wszystko,
co choćby trochę tylko
sercu ludzkiemu mogło być bliskie.
On grał
o radość, o śmiałość —
każdą chwilką
pragnąc przybliżyć wielką, jasną przyszłość.
Wietrzykiem rannym owiany,
zapełniając
sobą ulice — iść o zakład zwykł
ze słońcem, z wieżą, z placem,
z tramwajem;
nie bał się także z losem gry.
A miasto spało.
W kół dudnieniu
wóz pierwszy wjeżdżał,
prószył śnieżek;
on rzekł:
— wiesz, po niepowodzeniu
pisze mi się szczególnie świeżo!

Wokół jego figury
potężnej
i zwartej —
powietrze się od żaru hartowało,
i leciały
przez zieleń bilardów
kule,
księżycowo migając.
I wokół niego
kibice, gracze,
markierzy — robili zator,
każdy z tych ptaszków
chciał — niby patrząc —
banknotu choć strzępek drapnąć.
Gra, jakich mało!
Aż się kije gięły
i lampy spod sufitu mrugały
na jego wielki palec wytrzeszczony,
na owal

jego ciężkich białek.
Wszystko jak w ogniu:
partnerzy, stawki
przeróżnej maści i wielkości,
ogień rozpalił
najzimniejszych nawet,
wszyscy
w grę spojrzeniami wrośli.
Ktoś
kawę pił w sąsiedniej sali,
i czyjaś ryba
lśni na tacy...
— No, wasza kolej!
Wyście zamawiali?
Nie regulujcie:
ja za wszystko płacę!

Kręci się
jeden z lepszych — jak mówią — typków,
na brzuszku
złotym łańcuszkiem oplątany...
Majakowski
w róg pola
wolno mierzy kijkiem,
a ten mu nagle
docina przez ramię:
— No, dość już tego,
lepiej, bracie, zmykaj,
na próżno nie trać sił, dziecino ma!
Majakowski łokciem natręta odpycha
i dalej gra.
— Zresztą, jak wolisz,
lecz tu nic nie wskórasz,
trudniej grać niż wierszyki na papier kłaść!
Majakowski znowu natręta odsuwa
i dalej gra.
A wreszcie,
kiedy stanęli oko w oko,
jak gdyby typka widząc po raz pierwszy,
Majakowski obejrzał go z wysoka
i potrząsnął,
chwyciwszy za łańcuszek śmieszny.
Zbaraniał ważniak,

wybałuszył oczy...
Nie krzycz „hop", bratku, póki nie przeskoczysz!

Piszą —
wielkością słów kryjąc płyciznę,
z wysiłku czoło aż zmarszczyć muszą,
i niebogaty plon
recenzyjek
na trumnę kładą tandetnym wianuszkiem.
Są, czy ich nie ma —
jedno i to samo:
amatorska szmira w sam raz.
A lepiej od wszystkich
pamięta go Arnold,
dawny baletu as.

Grzeczny, wysoki, szczupły
i smagły,
w oczach — i smutek i radość.
Na plecy tylko
pelerynę mu narzuć,
a będzie — torreador.
On wraz z nim krążył
przez dalekie noce;
bywają takie —
choć ich nie zbadamy
najpotężniejszym
ludzkim teleskopem,
wirują jednak
na równi z planetami.
On zapamiętał wszystkie słowa i gesty
i każdy wyraz twarzy.
Planeta zgasła,
a satelita jeszcze
ruch wiernie — jak dawniej — powtarza.

Kiedyś — na Krymie,
wieczorem, na brzegu,
do gry zasiedli
amatorzy kart.
I jakby w hazard wpadłszy,
do niego
wszystkie stawki
przywiewał wiatr.

Jak gdyby wiatrem gnane,
wciąż tonie
szczęście we wielkich jego dłoniach;
i Majakowski
mruczał zadowolony:
— O, niczym ćmy do ognia.
Wreszcie hazardu płomień wygasł,
na morzu spokojnie, cicho;
partnerzy wściekli,
każdy w mroku znika...
— Przejdźmy się, Arnold, pal licho!
— Przejdźmy się!
— Słuchaj, portki podwińmy,
lubię czasem w wodzie pobrodzić.
— Dobra! — I idą krokami wielkimi,
ciężki księżyc z toni wyłowić.
I tak wzdłuż brzegu brną wciąż razem,
jeden wysoki i drugi wysoki;
a morze,
pluskające na piasek,
zalizuje ślady ich kroków.
Wtem Majakowski
wzniósł w górę głowę,
przystanął, jakby zastygł.
I w jego oczach,
w najgłębszym odbiciu,
zabłysły nagle gwiazdy.
Arnold w pół kroku też przystanął,
wybrzeże śpi
i wiatr uciszył się.
Spogląda Arnold
i myśli: — Ano,
na pewno nowy wiersz!...

Nagle ku nim
z dali, z dali,
przez migot miesiąca smug:
„Myśmy łódką odpływali,
mój złoci-i-sty, złoty mój!"
Płynie, płynie
w morze łódka,
i głos płynie
z pluskiem fal;
niepokoi i zasmuca

dziwnie piękna piosnka ta.
Sama przenika do uszu,
i w wieczorny, mglisty chłód
ciepłem słów otula duszę:
„Mój złocisty, złoty mój!"
To myślą — milcząc,
to rzucą słowo,
a pieśń odpływa, niknąc w dali,
odpływa morzem czar pieśni owej
niczyją ręką nie zapisanej.
A Majakowski
kroczył, gwiazdy depcząc,
odbijające się w ciemnym morzu.
— Dopiero wtedy
byłbym w pełni poetą,
gdybym potrafił
t a k ą
pieśń stworzyć.

Tak też śpiewają
słowiki na Krymie,
których
już nie usłyszy nigdy.
Te same góry
stoją w mgle sinej,
których już nie zobaczy nigdy.
Na drzewie Judahu[1]*) błyśnie kwiecie,*
kwiecie różowe jak piana.
A on pod nim nigdy nie przejdzie,
jego pieśń już odegrzmiała.
I tylu nowych ludzi na świat przyszło,
że niesposób wzrokiem objąć nawet
tych wszystkich,
których w swoim życiu
nie zdążył poznać, ni żartem zabawić.
A on
ze samym Aj-Petri[2]*) żartował,*
rozumiał syreny okrętowe
i z najgorętszą z naszych gwiazd
ziemską nalewką pił zdrowie.
I tyle nowych zdarzeń
i spraw
w dziejowej paradzie ustawionych;
i bez niego

pierwsze salwy dział
i pierwsze bomb wybuchy zatrzęsły Barceloną.
I nowe pszczoły
niosą swój miód
i nowe żmije
gromadzą jad,
ale wie Ziemia,
że wnet zamknie się
wielki rachunek goryczy
i strat.
Ponad błękitem pogłębionych rzek,
ponad złożami płody niosących rud,
nadejdzie wreszcie
ten jakże bliski wiek,
gdy słodkim będzie
i pot i trud.
Nadejdzie wreszcie
w pełni wspaniałej,
choć dotąd z pieśni był nam tylko znany.
„Przybądź, złocisty!"
— myśmy go wzywali
głosem wzruszonym, przez ból rwanym.
Sokolim lotem
głos nowy w niziny
opadnie — trwały, niezwyciężony,
i wokół siebie wszyscy usłyszymy
ów dźwięk młodości
już nie roztrwonionej.

(1939)

Przełożył *Adam Włodek*

Nikołaj Nikołajewicz ASIEJEW urodził się w mieście Lgowie w okręgu Kurskim. Zasadniczy wpływ na jego twórczość poetycką wywarła znajomość i przyjaźń z Majakowskim. Pierwszy raz zetknęli się obaj poeci jeszcze przed r. 1915, w którym to roku Asiejew, powołany do wojska, odjeżdża na front austriacki. Po Rewolucji i wojnie interwencyjnej (w latach tych był Asiejew początkowo delegatem do pułkowej rady żołnierskiej, a później dziennikarzem we Władywostoku) — znów spotykają się obaj pisarze podobnie jak poprzednio: w Moskwie. Pamięć przyjaciela i mistrza (mistrza, choć Majakowski był nawet młodszy o dwa lata), uczcił Asiejew najpierw utworem pt.: *Ostatnia rozmowa* (1930), a następnie dużym poematem, obrazującym całokształt życia i twórczości Majakowskiego. Za poemat ten, pisany w latach 1936—1939, wyróżniony został Asiejew nagrodą Stalinowską. W r. 1948 ukazał się wybór z dotychczasowych książek poetyckich Asiejewa, wydany w ramach Biblioteki Wybranych Dzieł Literatury Radzieckiej. *A. W.*

[1]) i [2]) — szczyty górskie na Krymie (przyp. tłum.).

JÓZEF HEN

NA ZACHÓD OD NYSY

Torbę polową zostawiłem w sztabie, na usłanej słomą podłodze. Jedyne obciążenie, które teraz uznaję, to czarny, ciężki nagan. Wszyscy mówią, że go całuję, ale to nieprawda; tylko mi się od tego przeklętego piachu ciągle lufa zatyka, czyścić w biegu nie ma kiedy, więc wydmuchuję ją ustami. W ustach mam pełno piasku, spluwam, w gardle sucho, chce mi się pić — brzydzę się tej wody, tyle tu do rzeki trupów się nawaliło.

Nad Nysą jest cisza — pisk i wrzask szrapneli już przebrzmiał, — Niemcy są już stąd o jakieś osiem albo więcej kilometrów, nasza piechota depcze im po piętach.

Jest cisza, zupełna cisza — bo chyba to żaden hałas, gdy rozebrani do połowy saperzy walą tam młotami przy moście? Uderzenia są głuche, nikną w przestrzeni, wchłania je las, woda, piasek. Na brzegu kręci się kilku oficerów. Żołnierze wkopują po tamtej, „niemieckiej" stronie Nysy maszt z biało-czerwoną flagą, oficerowie pomagają, fotograf pstryka — każdy chce mieć zdjęcie przy sztandarze. Historyczna chwila! Będą o niej kiedyś pisać w gazetach, książkach. Śmiejemy się, cieszymy — słońcem, wiatrem, wiosną.

Słońce grzeje porządnie, oho. Rozpinam mundur — (nikt mi tu nie zwróci uwagi: front!) — gorąco, pocę się — brodzę w piachu wzdłuż okopów. Żołnierze z drużyny pogrzebowej — stare wąsate dziady spod Wilna — zbierają zabitych. Układają ich jeden koło drugiego; niektórym poległym trzeba rozprostowywać skurczone palce, żeby wyjąć karabiny. Stary kapral, w okularach na chudym nosie, notuje: „Stefanowicz Piotr. Karabin jest". I dodaje głośno, trochę stereotypowo, jakby wypełniał ceremoniał:

— Dobry był chłop.

Przy którymś leży okrwawiona torba polowa. Oglądam zawartość: zeschły chleb, kawałeczki kiełbasy, parę listów nadanych spod Rzeszowa i początek nienapisanego: „Kochana żono i Wy drogie moje rodzice..."

Kapral przeciera okulary, chowa notes i krzyczy z rosyjska, taki to ma być żart:

— *Pieriekur!*

Żołnierze siadają opodal trupów i zaczynają jeść kaszę z menażek. Słyszę jak mówią:

— Cholera z tym kucharzem, nigdy tłuszczu nie położy jak potrza!

Saperzy skończyli naprawę mostu, ocierają pot z piersi, wkładają bluzy. Na most wjeżdża pomrukując Studebacker, ciągnie za sobą „76-tkę". Słuchamy wszyscy z niepokojem trzeszczenia mostu — wytrzyma? — no, chwała Bogu, wytrzymał! Studebacker z działem wjeżdża na brzeg — i tu dopiero staje, grzęźnie w piasku na dobre. Obsługa zeskakuje z platformy, chwyta za koła.

— Oooo — op!

Szofer naciska gaz, wścieka się przy drążkach biegów, klnie — nic, stoi draństwo!

Kapitan Stesłowicz pokuśtykał do saperów:

— Chłopcy, pomagać!

I do tych z pogrzebowej:

— Karawaniarze, dosyć tego żarcia! Piechota na działa czeka! Ano!

Saperzy wyprostowują obolałe ramiona, dziady z pogrzebowej rzucają menażki, czepiają się brzuchatych kół aut, chwytają za lawetę, stękają, pocą się, krzyczą „ooop!" — szofer znów u siebie w kabince wściekle przerzuca biegi.

— Ooo — op! Ooo — op!

Porucznik Jeżykow odbiega od masztu z flagą, ma już chyba z dziesięć zdjęć zrobionych, krzyczy:

— *Anu, riebiata, drużno!* Do czorta z takim dyrygowaniem, *nikuda ono nie goditsia!*

I sam komenderuje:

— Raz — dwa — *wziali;* raz — dwa — *wziali!*

Ręce oblepiły koła, grzbiety wygięły się, na *wziali* wszystko stęknęło — uuuff! — idzie! idzie! idzie! Szofer macha z kabiny ręką — dobra nasza! — artylerzyści wskakują na platformę, kapitan Stesłowicz krzyczy za nimi:

— Gazujcie!

Na most wtacza się już następny Studebacker No. ten pójdzie lekko, ma już wyżłobione koryto. Porucznik Marian Wadecki, wysłannik Zarządu Politycznego II Armii, wsiada do kabinki. Wskakuję na platformę auta. Wjeżdżamy w las — cieniście tu i chłodno. Zapinam mundur i wytężam wzrok: dostrzegam porzucony owijacz. Tędy szła piechota.

— Czy wzięliście moją torbę polową?

Mówią, że pewnie wzięli, ale to nieprawda, przeszukuję wszystkie graty — nie ma. Jestem zakurzony, zmęczony, w uszach szumi od huku linii, z której dopiero co wróciłem. Jesteśmy już dwadzieścia kilometrów na zachód od Nysy. Siódma, ósma, dziewiąta i piąta dywizja są już o wiele dalej, zajęli podobno Rothenburg i nawet Bautzen, ale nasze zadanie, dziesiątej dywizji, jest inne: mamy zamykać pochód II Armii, nie wypuszczać Niemców z pierścienia i pchać ich w kocioł. Tamte dywizje mają wsparcie czołgowe — nasza,

dziesiąta, nie ma broni pancernej. Te dwadzieścia kilometrów, któreśmy przebyli, to las, iglasty, ciemny, podszyty mchem, usłany zbutwiałymi choinami. No i jak teraz wracać po torbę do Gross-Zelten, na polską stronę Nysy? Chce mi się jeść, pić i w ogóle jestem zły.

— Co było w tej torbie? — pyta z irytacją sekretarka majora, Marysia. — Złoto?

— Nie, notatki były. Od trzydziestego dziewiątego roku do teraz. I rękopis powieści. I w ogóle — co ty rozumiesz?

— Nic mnie to nie obchodzi. Podrap mi trochę plecy.

Na pewno złapała świerzba. Wszyscy się drapiemy, to się przenosi migiem, nie można się upilnować. Wiem zresztą skąd się to wzięło: w Mückenburgu, na Pomorzu Zachodnim, cała wioska była zaświerzbiona. Czyścioszki niemieckie!

Wsuwam Maryśce ręce za kołnierz, drapię ją po plecach, aż skręca się z rozkoszy. Koszulę nosi jedwabną, plecy ma gładkie i ciepłe — robi mi się jakoś niewyraźnie, przestaję. Patrzę na nią i wiem, że oczy szklą mi się nienaturalnie. Marysia odwraca się i pyta zdziwiona:

— Ty co?

— Nic. Nie chcę.

Dziewczyna wybucha śmiechem i skarży się komicznie:

— To co mam robić? Przecież mnie swędzi.

A potem dodaje sentencjonalnie:

— Wszyscyście jednakowi. Numery!

Stach Kowalski, szesnastoletni pomocnik szofera, przygotował mi zawczasu posłanie, bardzo to ładnie z jego strony. Wychodzę na podwórze do studni, rozglądam się — las, czarny las dokoła, na ciemnoszarym niebie połyskują mętnie pierwsze gwiazdy, gdzieś tam w dali wsączają się w horyzont języki czerwieni. Grzmi: biją działa.

Kasyno, jak zwykle, jest gdzieś na końcu wsi — zawsze się tak urządzą, że musimy drałować ze dwa kilometry. Kolacja będzie dziś o 11-tej w nocy. Myję się przy studni i wracam do chałupy. W kuchni Janka gotuje kurę, będzie dla niej i Władka Jasieńskiego, oni żyją ze sobą. Schodzę do piwnicy, znajduję jakieś stare weki: kompot z porzeczek, kwaśne aż skóra na mnie cierpnie. Kowalski wyjmuje ze skrzynki „zaduszkowe" świeczki, porucznik Żuch głośno wyrzeka na kasyno, Marysia ciągle się drapie i śmieje — że niby śmieszne, jak ją ciało swędzi.

Przychodzą dwaj żołnierze z łączności.

— Gdzie postawić telefon?

Ustawiają na oknie. Ledwie założyli aparat, już w nim coś tirli. To do mnie. Dzwoni major, zastępca dowódcy dywizji od spraw polityczno-wychowawczych.

— Czy zrobiliście już biuletyn? — pyta. Wydaje mi się, że mówi jakby z zaświatów. Biuletyn, biuletyn. Aha — no tak, przecież stale go robię.

— Zaraz napiszę — przyrzekam.

— Czy macie coś ciekawego? Jakichś bohaterów?

— No chyba. Przede wszystkim saperów. A z innych kapral Martynoga, podporucznik Patys, kapral Mroszczyk. Kapral Szapiel doczołgał się ranny do okopów nieprzyjacielskich.

— Żyje?

— Żyje. Wszyscy są z dwudziestego dziewiątego pułku. Tam byłem sam. A z innych nie ma wiadomości. Trzeba Sipule i Wydrze natrzeć uszu, obywatelu majorze. Powinni przysyłać nazwiska odznaczających się.

— Sami się starajcie — mówi major. (Dobrze mu mówić „staraj się"! Ale jak? Na kawałki się nie rozerwę!) — Oni tam mają swoje kłopoty. Aha, zapomniałem: Sipuła jest ranny.

— Ranny?

— Tak. Urwało mu — wiecie co...

Nic nie odpowiadam.

— Już go odwieźli na tyły — mówi dalej major. — Trzeba mu załatwić atestat pieniężny.

— Kogo poślecie na jego miejsce?

— Nie wiem jeszcze. Ciągle mi ktoś wychodzi z szyku. Pchają się ci moi polityczni, bardzo to dzielnie, ale wcale nie zgodne z regulaminem, i zresztą nikt z nich wkrótce nie zostanie. No więc... Bański!

— Co Bański?

— Bański niech pójdzie na miejsce Sipuły. Jeszcze dziś w nocy. Przygotujcie rozkaz, kapitan niech podpisze za mnie. Dobranoc.

Odkładam słuchawkę. Świeczki dogasają, w ich słabo połyskującym świetle widzę skupione twarze naszych oficerów: kapitan Łazarski, Bański, Żuch, Rajewski i Jasieński. Otaczają mnie:

— Co powiedział?

— Bański na front... Sipuła ranny, torbę mu urwało...

— Gdzie stoi dwudziesty siódmy? — pyta Bański i nie czekając na odpowiedź zaczyna się pakować. Marysia już wystukuje rozkaz na maszynie. Kowalski zapala kilka nowych świeczek. Na podwórko wtacza się Wanderer majora. Szofer Górski, wesoły, bystry blondyn, wykrzykuje:

— Po pana porucznika Bańskiego! Rozkaz już gotowy?

Bański wsiada do auta.

— Nie mówcie żonie — prosi.

Żona jego jest instruktorką propagandy w batalionie szkolnym.

— Dobrze.

Bański ogląda się: czarny las, fioletowe niebo, na horyzoncie czerwień. Nasłuchuje: grzmi.

— No, jedziemy — krzyczy szofer. — Bo muszę być zaraz z powrotem.

Wracam do kwatery.

Nasz lingwista, sierżant Bibelkraut, stary wyjadacz i babiarz, słucha przy radio komunikatu angielskiego. Nos wetknął w aparat, ucisza nas gestem i syczy:

— Tsss. Pracować, psiakrew, nie dacie... Niech pani zakłada matrycę, panno Marysiu, będziemy pisać komunikat.

Słyszę jak dyktuje:

— ...Odstęp. Wojska alianckie zajęły Norymbergę. W Norymberdze odbywały się zjazdy przywódców partii hitlerowskiej, tam też zrodziły się tzw. „ustawy norymberskie". Odstęp...

Maszyna stuka. Powieki ciężko opadają.

— ...Nowy prezydent oświadczył, że chce być tylko kontynuatorem polityki zmarłego prezydenta Roosevelta. „Nigdy nie zgodzę się na kompromisowy pokój" — oświadczył prezydent Truman.

— Jak on się pisze?

— Samo u, jak „upadły anioł". Napisała pani „prezydent Truman"? Kropka, kreska, otworzyć cudzysłów. „Nie ominie zasłużona kara faszystowskich przestępców, nawet gdyby trzeba było ich ścigać do najdalszych zakątków świata". Dobrze powiedział, co? Teraz to się zacznie życie! No, ja skończyłem, teraz pan, poruczniku Hen.

Dyktuję:

— Tytuł: Chwała saperom. Od nowego wiersza. Pisz: Nieśmiertelną sławą okryli się saperzy por. Permiakowa (z-ca ppor. Białowąs), którzy pod huraganowym obstrzałem nieprzyjacielskim zbudowali most — i mimo zmęczenia, już po skończonej bitwie, bez odpoczynku pracowali dalej. Ogień moździerzy, cekaemów, „panzerfaustów" nie załamał naszych chłopców. Przed świtem 20. IV. most był gotów. Oto mamy niezwykły przykład bohaterstwa zbiorowego. Szczególnie odznaczyli się odwagą i pracą: saper Januszkiewicz Jan, saper Gemon Piotr, plut. Trębaczewski Julian, kpr. Płachta Marian, sierż. Krynicki Michał...

Pisaliśmy do późna w nocy...

W Spreefurcie jest pałac. Są tacy, co mówią, że Goeringa, ale żołnierze zawsze tak: jak willa to Goebbelsa, jak pałac to Goeringa, jak bunkier to Hitlera. Spacerujemy po salach tego pałacu z por. Rajewskim, artystą malarzem z cywila. Rajewski ogląda tylko ściany, chciałby przyhaczyć jak'ś ciekawszy obraz. Drażni nas ten pałacowy komfort, komplety stylowych mebli, krzesła z wygiętymi powabnie nóżkami, złocenia, koronki. Łazienka jest tak duża jak salon. Nie biorę niczego — gdzie się będę z tym wiózł? — oglądam łapczywie książki, albumy malarskie, kupa tu tego. Rajewski krzyczy z sąsiedniej sali:

— Chełmoński!

Jest Chełmoński, jest Wierusz-Kowalski, Pochwalski i kilku innych naszych. Wyjmujemy obrazy z ram, zwijamy płótno w rulony. Odeślemy je gen. Świerczewskiemu, niech przekaże je do Muzeum Narodowego.

W którejś z sal podłoga jest usłana lekarstwami.

— Szkoda tego — zauważam.

— Pewnie. Trzeba by jakichś aut, zebrać to wszystko i odesłać do kraju. Przydałoby się!

Rajewski schyla się i podnosi z podłogi rulon papieru higienicznego.

— Będziesz się z tym taskać? — pytam.

— Myślę. Lubię to.

W korytarzu obwieszonym rogami i skórami dzikich zwierząt (co za durnie!) leży cały stos obuwia, najwięcej jest damskich pantofli — złoconych, srebrzonych, zeszłowiecznych. A między tym obuwiem natrafiam na parę rosyjskich walonek i robi mi się strasznie, przeogromnie smutno.

Na odchodnym zabieram z pałacu dwie rakiety i piłkę tenisową.

Wchodzę do naszego domku (znowu inny, co dzień prawie zmieniamy miejsce postoju). Major dyktuje coś Marysi — ta bębni na maszynie i śmieje się, dziwne jakieś usposobienie.

— Chwileczkę, panie majorze — przerywa mu — muszę się podrapać.

Drapie się pod piersią, pod pachą, majorowi aż oczy wyłażą na wierzch. Ładna dziewczyna ta Marysia: wysoka, ciemna blondyna, ma śmiejące się oczy i kuszące wargi. Chociaż teraz każda kusi, diabli wiedzą czego.

Rajewski zapakował już obrazy do skrzyni. Stach Kowalski krąży teraz dokoła niej z młotkiem w ręku i wbija gwoździe.

— Dosyć? — zapytuje Rajewskiego.

— Wal jeszcze. Tu. Teraz tu. Dosyć.

Przychodzi porucznik Wadecki.

— Hen, wybieram się do dwudziestego siódmego na linię. Pójdziecie ze mną?

Do dwudziestego siódmego idę chętnie, bo jest tam aż trzech chłopaków z mojego zespołu teatralnego. Władka Kornaka raniło trzeciego dnia walk o Nysę, teraz już tylko Józek Baran i Staszek Sowa pomagają Bańskiemu w sekcji pol.-wych. Idziemy we czterech na linię. Niemcy bronią się z drugiej strony rzeki — Schwarzenschoeps. Okopy nie są tu takie solidne, jak nad Nysą, to już nie to. Trochę ziemi, trawy, jakieś wyżłobienie w piasku, lada jakie przedpiersie, czasem tylko gałęzie — oto nasze pozycje. Moździerzowcy, naturalnie — ci to zaryli się o wiele dokładniej, ale też ich najwięcej szukają. Kładziemy się na trawie, opieramy głowy o usypane gałęźmi brzóz przedpiersie. Przed nami trochę murawy, dalej maleńka rzeczułka. Niemieckich okopów nie widać. Ich gniazda ogniowe są tak porozrzucane jak nasze. Z tym, że ci dranie siedzą najczęściej w betonowych bunkrach.

Baran gołym okiem dostrzega niemieckiego snajpera. Pokazuje mi go:

— Widzisz porucznik te trzy brzózki? To od tej z odłamaną gałęzią na dwa palce w prawo — widzisz pan?

— No?

— Nasyp z piasku. To tam. Zaraz się wynurzy, zaraz... O, jest!

Wadecki odrywa lornetkę od oczu.

— Dajcie karabin! — rozkazuje Baranowi. Biorę lornetkę — tak, teraz

i ja widzę: wyraźnie wynurzony niemiecki hełm. Prast! — Wadecki wystrzelił, hełm zniknął.

— Schował się — mruczy Sowa niezadowolony.

Nagle bzyknęło mi koło ucha — i rozsypało obok nas piasek. Potem drugi raz. To on! Znów przykładam lornetkę do oczu: jest hełm! Strzelać! Daję Wadeckiemu znak ręką — strzał — znowu Niemiec niknie. I znowu bzyka koło nas.

Teraz ja biorę karabin. Skupiam się, chcę trafić, walnąć w samą nasadę hełmu. Zaciskam zęby, wstrzymuję oddech — strzał!...

— No? — zapytuję.

Machają przecząco głowami: nie trafiłem. A tamten, zawzięty, znów raz po raz do nas wali.

Teraz bierze karabin Baran. Nie trafia. Teraz Sowa. Nie trafia. Znów Wadecki. Pojedynek staje się męczący. Ta głucha zawziętość tamtego, nieustępliwość z jaką odpowiada na każdy strzał — to wszystko okropnie drażni. Wyobrażam sobie jego twarz: złą, zawziętą, nienawidzącą. Ogarnia mnie przerażenie. Nie mogę tego opanować. Boję się, że tamten wziął mnie na muszkę. Właśnie mnie. Wiem, że jestem blady, zmuszam się do spokoju — do tego, by nie kryć się haniebnie za cudzymi plecami. — Nie chcę drżeć! Nie chcę się bać! Nigdy się tak nie bałem. Kiedyś wpadliśmy ze Sługockim pod ogień karabinu maszynowego — niemiecki MG walił do nas jak oszalały, ale był hałas, rwetes, nie słyszeliśmy sami siebie, biegliśmy i zanosiliśmy się od śmiechu.

Teraz jest cisza. Parszywa cisza. Ani jednego wybuchu, ani jednej serii — szum brzóz i topól, to wszystko. I tylko od czasu do czasu coś tak złośliwie zabzyka. Tamten na pewno ma mnie na muszce.

Wadecki celuje. Podziwiam jego spokój. Mruży powoli oko, lekko unosi lufę, naciśnięcie spustu —

— Dostał! — ryczy Baran. — Dostał! Dostał!

— Uparty był — powiada Wadecki. I dodał jeszcze... „sk...syn".

Nazajutrz o świcie siąpi deszczyk. Nasi ruszają do ataku. Mają sforsować Schwarzenschoeps i odrzucić przeciwnika o nowych 20 kilometrów.

Artyleria już nie bije tak na hurra, jak wówczas przed Nysą. Skończyła się amunicyjna orgia. Piętnaście minut obstrzału, jeszcze grzmią ostatnie salwy — i podnosi się piechota. Porucznik Wójtowicz prowadzi.

A mówiliśmy wczoraj wieczorem Wójtowiczowi, że nie powinien iść przed oddziałem. Co będzie z żołnierzami, jeśli jego zabiją? Ale to uparciuch. Mówi, że tak powinno być, że jeśli się ciągle różne rzeczy pyskuje żołnierzowi, to teraz trzeba pokazać, jak się o takie rzeczy walczy. O ojczyznę i o zachodnie granice. A swoją drogą, przydałby się już koniec wojny. Amerykanie są pod Lipskiem — może go już nawet zdobyli? — Rosjanie szturmują Berlin, a my ciągle walczymy i to z jak uzbrojonym przeciwnikiem!

Pierwszy więc idzie Wójtowicz. Podniósł do góry rękę z TT i wali naprzód.

Człapiemy w błocie, rozmokła ziemia ugina nam się z chlupotem pod no-

gami. Nad głową prześwistuje nam jeszcze kilka salw naszej artylerii. Wójtowicz pierwszy wchodzi do rzeki, my za nim. Nie bardzo czuje się to zetknięcie z wodą, tacy jesteśmy już przemoknięci. Rzeka sięga nam do kolan, do drugiego brzegu jest tak coś ze dwadzieścia metrów. Niemcy oddają parę nieśmiałych strzałów — ale już nie czynią nam szkód — już jesteśmy na brzegu, już Wójtowicz dużymi susami pędzi na jakiś bunkier — naprzód, naprzód! — och, dziś wcale się nie boję!

Nie ma żadnej bitwy. Niemcy haniebnie uciekają. Opuszczają bunkry, zostawiają MG, „panzerfausty". Wójtowicz krzyczy ochrypłym głosem: „Dalej! Dalej! Za mną!" Cekaemiści ustawiają „Maksymy", wyrównują taśmę. Z prawej strony słyszę krzyk:

— Nie chodzi!

— Co ci nie chodzi?! — wrzeszczę.

— Zamek!

— Sprężyna ci odeszła, idioto! Napraw!

Ktoś krzyczy (to chyba do mnie):

— Schyl głowę, durniu! Samobójca! Ja bym cię, k.... ci mać, nauczył wojować!

Cekaemy już grzechoczą.

— Naprzód!! — ryczy Wójtowicz. Pędzi przez rozmokłe poszycie lasu, wypada na polanę, potyka się, znowu biegnie. Ktoś tam skacze za nim, potem drugi, trzeci, dziesiąty.

Cekaemiści znów ładują na barki oślizgłe i ciężkie jak jasna cholera „Maksymy". Wójtowicz — oszalał, czy co? — ciągle pędzi naprzód, odbił się od nas chyba o jakieś pięćdziesiąt metrów. Nagle — trach! — chwyta się za bok i zwala w błoto.

— Joj! — jęczy stojący obok mnie strzelec. Znam go, nazywa się Ofkiel, ma już pod pięćdziesiątkę, jest z porucznikiem z jednej wsi.

Żołnierze zatrzymują się, kładą się tyralierą na ziemię. Natarcie na chwilę ustaje — trzeba zabrać porucznika.

— Zaraz go przyniosę — mówi Ofkiel i chce się podnieść, ale go ktoś przytrzymuje za ramię: leż, zginiesz, dokulga się do nas sam.

Koło ucha bzyka mi raz po raz.

— Szuka, suczy syn — pada czyjaś uwaga.

— Żeby go tak wymacać, co?

— Cholerę go wymacasz, to nie baba. Porucznika trzeba zabrać.

— Porucznik, żeby nie podnosiwszy się tylko kulgał się do nas, to będzie dobrze, bo on go ma na muszce. To snajper.

Ale Wójtowicz, jak na złość, gramoli się z ziemi, chce się podnieść. Tamten, Niemiec, tylko na to czekał — strzela. Znów Wójtowicz pada. Potem znów podnosi się i znów strzał. I znów. I znów. On chyba jest nieprzytomny! Żołnierze zakrywają oczy dłońmi.

— Sito z niego zrobi.

— Poruczniku, leż! — krzyczą z rozpaczą.

— Leż, dupo wołowa!

— Kulgaj się do nas!

Ofkiel płacze. Cekaemista szepcze „Jezusie Maryjo" i naciska spust. Rozsypuje serię po lesie, po drzewach.

Nagle Ofkiel ociera łzy rękawem, wyskakuje z pozycji, człap—człap—człap po błocie, pędzi stary naprzód. Wstrzymujemy oddech. Snajper bije weń raz po raz, potem rozlega się ujadanie niemieckiego MG, przyłącza się do tego hiena-automat, o kilka metrów od Ofkiela wybucha pocisk „panzerfausta". A ten nic — żyje. Już nawet nachyla się nad porucznikiem, próbuje go unieść, nie może.

— Kładź się! — ryczą od nas. — Kładź!

Ofkiel pada.

— Co robić, panie poruczniku? — pytają mnie.

Prawda, jestem tu tylko gościem, ale najstarszy rangą. Widzicie, jak to źle bez dowódcy? O wynik natarcia nie ma obaw — na skrzydłach nasi już ominęli polanę i są w lesie. Chodzi teraz o tych dwóch. Ofkiel już czołga się, wlokąc za sobą bezwładne ciało porucznika.

— Trzeba iść naprzód. Ogarnąć ich, a Niemców wybić z pozycji.

Wiem, że teraz wszystko czeka na mnie. Ja mam powtórzyć to, co zrobił Wójtowicz. Czuję na sobie jeszcze czyjeś uważne, niewidoczne dla mnie oczy: niemieckiego snajpera. Każę tym przy cekaemach walić krótkimi seriami. Będzie przykrycie, no i zawsze w hałasie raźniej. I rzeczywiście, nawet w tym hałasie to tak wychodzi, że wszyscy jakoś razem się podrywają, wcale nie jestem pierwszy, krzyczymy „hurraaa!", przelatujemy nad Ofkielem i Wójtowiczem (żyje! żyje! — krzyczy Ofkiel) — rozpryskujemy błoto, oblepiamy sobie nim twarze. Piersi rozrywa mi ból, pot zalewa oczy. Na naganie pełno mam błota — łajno się z tego zrobiło a nie broń, dekoracja tylko. Wiem, że nie byłbym w stanie teraz wystrzelić. Ale już słaniając się dopadam lasu. Ktoś tam w jego głębi zeskakuje z drzewa, przemyka się między cieniami sosen. Trzeszczą gałęzie, grzechoczą automaty. Żołnierze krzyczą:

— Masz go! Masz go, sukinsyna!

Kapral, który biegł obok mnie, przystaje na chwilę, przykłada karabin do ramienia. Strzał — i kapral wykrzykuje głośno:

— Jest!

— Kto?

— No ten... snajper! Żeby go...!

Potykam się w biegu o korzeń i padam. Dłonie wgłębiają się w mokry, miękki mech. W piersiach boli — rwie na strzępy. Leżę rozkraczony na brzuchu, ręce wyciągnąłem przed siebie, spoglądam półprzytomnie na oblepiony błotem rewolwer i szybko, boleśnie oddycham.

Trzeba wstać i biec dalej.

Znowu jest słońce. Wybieramy się do pobliskiego miasteczka... zmieniać bieliznę. Pełno jest tego w opustoszałych niemieckich domach, tandeta najczęściej,

ale przynajmniej nie ma kłopotu z praniem. Spryciarz Kowalski wynalazł gdzieś wiadro spirytusu, ale nie chcemy pić. Piło się przedtem, będzie się pić potem, ale teraz nikt nie ma ochoty. Władek Jasieński zdobył gdzieś kurę i Janka ma co pitrasić.

Siedzimy przy stole — Łazarski, Żuch, Jasieński i ja (Rajewski już poszedł na linię do 29-go pułku) — i krzywimy się nad jakimiś niesamowicie kwaśnymi wekami. Maryśka pochyliła się nad maszyną — dziś się nie śmieje, nawet się nie drapie. Wójtowicz umarł w szpitalu nie odzyskawszy przytomności, a to był, okazuje się, jej narzeczony. Teraz wiemy, po co tak często jeździła do 27-go pułku. Strasznie jest dziś kłótliwa, ta Marysia. Kiedy Żuch mówi na przykład, że zjadłby teraz lody, dziewczyna wybucha:

— Czekajcie, czekajcie! Dobrze wam tak gadać, politykom! Tam giną, a wy tu sobie siedzicie! Lodów chcecie!

Kapitan uroczyście wstaje. Ten przystojny, mocno zbudowany blondyn potrafi być czasem bardzo oficjalny:

— Przywołuję panią do porządku.

— Tam...

— Tylko rozgoryczenie przez panią przemawia. Wie pani doskonale, że największe straty mamy właśnie wśród oficerów politycznych. Że Bański i Rajewski już odeszli z Wydziału... I wszyscy pójdziemy, jak zajdzie potrzeba. Nie mówiąc o tym, że stale przebywamy na linii.

Marysia milczy. Wchodzi major. Wstajemy. Daje znak ręką, żeby siadać. Nic nie mówi, przechadza się tylko po pokoju. Nogi ma długie, trochę pałąkowate, ręce kościste, twarz pociągłą, surową. Niespodzianie zatrzymuje się przed Marysią:

— Niech pani pisze rozkaz dla porucznika Żucha.

Żuch wstaje, szepcze:

— Słucham, panie majorze?

— Dwudziesty siódmy pułk — oznajmia krótko major. — Na miejsce Klechy. Klecha... Lipski... Kamiński... Mańkowski... — wylicza. To są straty dzisiejszej nocy. Mańkowski zginął, tamci ranni.

— Widzi pani — mówi Łazarski, ale tak cicho, jakby do siebie.

— Dziś poszedł na linię batalion szkolny. To nasza ostatnia rezerwa. Strat w zabitych nie ma wielkich, ale rannych jest dużo. Żołnierz niedoświadczony, ma więcej odwagi niż rozumu.

Łazarski uśmiecha się:

— Z naszymi to właśnie tak.

Jest najwyraźniej zadowolony, jakby ktoś jego osobiście pochwalił.

— Czy jesteście gotowi, poruczniku Żuch?

— Tak jest.

Żuch nakłada plecak, salutuje, dochodzi do drzwi, ale zatrzymuje się i wraca.

— Nie pożegnaliście się? — pyta major.

— Nie, nie to. Co innego. Ja chcę tak parę słów powiedzieć. Chyba wolno?... Ja, panie majorze, jestem prosty człowiek. Chociaż i nauczyciel, ale wiejski,

taki prostak. Tak... I chcę to powiedzieć: nie jestem już młody, pamiętam dwudziesty rok. Wtedy też kazano: idźcie, bijcie się, ojczyzny brońcie. A potem, jak wróciliśmy, co nam dali? — funt kłaków, nie? Ojczyzna była, owszem, jak dla kogo. Kto wtedy siedział na tyłach, to potem miał, a myśmy własne palce obgryzali.

— No i co?

— No i chcę, panie majorze, żeby teraz nie było to samo.

Milczenie. Major:

— Co za bzdury wygadujecie!

— Ja wiem, panie majorze, ja tylko tak w trosce o żołnierza. Że my tu przecież wojujemy. Chyba mi wolno? Jak na sercu leży, to wolno? My się tu bijemy — to jest racja, trzeba z nimi skończyć, to jest racja. Ale tam banda cywilów żre się o posady, mieszkania, meble. A jak my wrócimy, to gówno będziemy mieli, panie majorze. Oni tam lody żrą. Tak, panie majorze, lody żrą i jedwabne pończochy kobitom kupują, baby mają i meble mają i lody żrą. A my wrócimy — to gówno dla nas będzie! Tyle, panie majorze! Tyle!

— Nieprawda!!! — Major jest czerwony. Trzęsie się cały z gniewu.

Żuch wyprostowuje się. Przez chwilę milczy.

— Rozkaz, panie majorze. — Po chwili: — Porucznik Henryk Żuch melduje swoje odejście na linię, do dwudziestego siódmego pułku.

A już przy drzwiach odwraca się i dodaje:

— Więc żeby tak nie było...

Połączenie wojsk sprzymierzonych nastąpiło na kilku odcinkach — u nas ciągle trwają walki.

Berlin padł — my się jeszcze bijemy.

Czujemy już nosem koniec wojny, powiew nowego, nieznanego nam życia — dni pracy, nocy wypoczynku, spokoju i słodyczy, — a tu trzeba jeszcze wstawać, biec, atakować, kryć się, ginąć. Noce mamy teraz niespokojne. Dotarły tu do nas dwie pancerne dywizje niemieckie, walą z „ryczących krów" — słuchowo bardzo ponure wrażenie, efektywnie strat szczególnych nie wyrządzają. Walki teraz osłabły. Tylko szkolny batalion pod dowództwem majora Stanickiego, najświeższy w ludziach, opanował jakieś ważne ponoć wzgórze i broni go ze wszystkich sił.

Nasz biuletyn bojowy stał się trybuną żołnierską. Sami żołnierze przysyłają notatki. „Jest u nas taki kapral, nazywa się Śliwiński, to on dwa razy był przeprawiwszy się przez rzekę tę Szwarceszeps, bo chciał sprawdzić, gdzie jest ta giwermaszyna niemiecka, tych naszych wrogów, co to teraz kara boska za ich grzechy na nich przyjdzie, żeby ją tak zrobić, co by ją sam ten drań Hitler nie rozpoznał, to jakbym ja nie napisał, to nikt by się o nim nie dowiedział, bo taki człowiek skromny i ta mu nie zależy, ale trzeba, żeby naród znał, co on za jeden i jak potrafi po własnej woli życie narażać, żeby żołnierzom było widniej dokąd strzelać".

Przyszedł kapelan dywizji, ks. mjr Wiśniewski, i przyniósł kartkę o leka-

rzach: że ten i ten z narażeniem życia, a tamten sobie na odtrąbiono; na zakończenie kilka cytat z Ewangelii.

Przynieśli mi kartkę od porucznika Chojeckiego, politycznego zastępcy dowódcy szkolnego batalionu. Pisze: „Poruczniku, zginął ukochany nasz ppor. Marian Gotowiec. Zróbcie szerszą wzmiankę. Warto by napisać jakiś wiersz".

Nazajutrz przyszła do mnie kobieta w mundurze kaprala podchorążego. Niska, czarna, duże smutne oczy.

— Pan wie, że zginął Marian Gotowiec? — zapytała.

— Wiem.

Staliśmy oboje przy parapecie okna. Kobieta sięgnęła do górnej kieszeni munduru, odpięła guzik i wyciągnęła kartkę kratkowanego papieru.

— Tu jest wiersz o nim. Podpisane tak: „Kolega".

— Chojecki? — zapytałem przez ciekawość.

— Nie.

— Pani?

Nie odpowiedziała. Wziąłem od niej tę kartkę papieru, przeczytałem — zdaje się, że się nawet skrzywiłem. Oddałem jej to z powrotem.

— Słabe.

Zatrzepotała niespokojnie rzęsami:

— Dlaczego słabe?

— Zupełnie nieudolne. Tego nawet nie można poprawić. Nawet w naszej powielanej gazetce nie można tego odbić To jest śmieszne.

— Jak kapitan Betlej zginął, to przecież był wiersz.

— No tak, ale tamten był zupełnie poprawny.

— Ten też jest dobry — przekonywała kobieta. — Żołnierzom się podobał. Mówili, że to wszystko co tu napisane, to prawda, że jakbym im to z ust wyjęła.

Więc to ona... Poczułem nagły ucisk w gardle.

— Bardzo mi przykro, proszę pani. Żołnierze naprawdę mogą się na tym nie rozumieć. Ten wiersz jest gorzej niż słaby. To dziecinne.

— Dziecinne? Dlaczego? Czasem i żołnierz jest jak dziecko. To wszystko co tu napisane, to prawda, panie poruczniku; na przykład to, że on leży bez życia, a my go wspominamy, i że był „krew przelać gotowy". Wszystko to prawda.

— No więc cóż? Prawda, ale źle wyrażona.

— Prawda — powtórzyła z uporem. Przez chwilę wydawało mi się, że w jej oczach zaszkliły się łzy. Ale to było tylko złudzenie.

Rozłożyłem bezradnie ręce.

— Przecież on powinien mieć wiersz — przekonywała mnie. — To był dobry żołnierz. Niech pan sam napisze.

— Ja... nie wiem. To tak nie można. Nie znałem go. Zresztą nie jestem poetą.

— Mariana wszyscy kochali — rzekła niespodziewanie. — Wszyscy. A teraz on nie żyje. Więc trzeba chociaż ten wiersz wydrukować.

— Mówiłem pani...

— Pan go nie znał, to pan nie wierzy. Ale myśmy go wszyscy kochali. Tu właśnie to jest napisane. Żołnierze powiedzieli, że im to z ust wyjęłam. Oni go znali, a pan nie, to pan nie może wiedzieć. A Marian był dobry i odważny. Niech pan to wydrukuje.

— Kiedy...

— Mariana wszyscy kochali. Tu właśnie to jest napisane. Żołnierze powiedzieli, że im to z ust wyjęłam.

Milczałem. W gardle ściskało mnie do bólu.

— Mariana wszyscy kochali...

— Dobrze — przerwałem jej. — Niech pani to zostawi.

Zostawiła mi tę kartkę, zasalutowała i odeszła.

Łużyce.

Miejscowość, w której kwaterujemy, nazywa się Novi Hust'. Na rozstajach stoją figury z napisami „Mario", „Isusie" i jeszcze w tym rodzaju. Gospodarz mówi o sobie, że jest *Lausitze Serbe* (Niemcy nazywają ich język *wendische Sprache)*, a kiedy indagują go, ile kilometrów jest do Bautzen, przykłada rękę do ucha, kilkakrotnie zapytuje *„so? so?"* i wreszcie, zrozumiawszy, odpowiada:

— Aa, Budziszyn!

I głagoli coś ze słowiańska, z czego wnioskuję, że do Budziszyna jest dwadzieścia kilometrów. Jesteśmy trochę zamroczeni tą łużyckością. Wydaje nam się, że to sen, że rozmawiamy z wykopaliskami archeologicznymi. Przeglądamy z Łazarskim modlitewniki łużyckie — wszystko zrozumiałe, pacierz i litanie, tylko litery gotyckie.

Jest już 5 maja, wspaniała, zielona, błyszcząca rosą i słońcem wiosna, i trochę lżej na naszym odcinku. Dwie pancerne dywizje niemieckie („Hermann Goering" i „Brandenburg"), które usiłowały się przedrzeć przez II Armię do Berlina, ustępują najwidoczniej w stronę Sudetów i Austrii. Poza tym mówią, że krąży gdzieś za nami drugi pułk zapasowy, więc chyba przyjdzie uzupełnienie.

Od sztabu gen. Świerczewskiego jesteśmy odcięci, porozumiewamy się bezpośrednio tylko przy pomocy kukuruźnika.

Walki trwają. Nasi żołnierze pchają Niemców, nacierają, te drańskie szkopy ustępują i zajmują nową linię obrony. Z zawiścią słuchamy, jak w radio Anglicy się chwalą, że tu i tam — pod Hamburgiem i we Włoszech — całe armie niemieckie składają dobrowolnie broń. U nas ciągle się opierają.

Wiemy dlaczego: ze strachu. Jeszcze w ostatnich dniach wojny nabroili niemało, dobijali na przykład bagnetami rannych żołnierzy z kompanii por. Stawrowskiego. Boją się teraz naszej nienawiści. Chłopcy nie chcą ich brać do niewoli — nie rozumieją, że to właśnie przedłuża opór wroga. W dowództwie uradzono tak: mam napisać ulotkę wzywającą Niemców do złożenia broni, a potem Bibelkraut przetłumaczy to po niemiecku. Naradzamy się obaj z Bibelkrautem, co napisać.

— Napisz im pan — mówi ten stary babiarz — że będziemy tak postępowali, jak oni.

— Niech pan nie żartuje.

— Ja nie żartuję.

— To nic z tego nie wyjdzie. Oni doskonale wiedzą, co robili. Trzeba wyliczyć konkretnie, co im przysługuje: darujemy wam życie i zapewniamy wyżywienie — w ten sposób.

— Dopisz pan: traktowanie według praw konwencji międzynarodowej — radzi Bibelkraut. — To ładnie brzmi.

— Konwencja haska, zdaje mi się.

— Niech będzie, że haska. I pisz pan, że zapewniamy im powrót do domów natychmiast po zawarciu traktatu pokojowego.

— Nie mamy prawa im tego zapewniać — protestuję.

— Mamy. Na pewno. To zawsze się tak robi: po traktacie wszyscy wracają do domów. Miejmy nadzieję, że to nieprędko będzie.

Zredagowaliśmy ulotkę, major przeczytał, powiedział, że dobra. Zapytał nawet, czy nie możemy podać numeru któregoś z artykułów konwencji haskiej, tak na wszelki wypadek. Powiedziałem, że nie, chociaż Bibelkraut upierał się, żeby podać „13" i „44" — co to komu szkodzi? Odbiliśmy tę ulotkę na powielaczu w kilkuset egzemplarzach, a kukuruźnik rozrzucił ją nocą po stronie niemieckiej.

Minął dzień pełen napięcia. U aliantów był już całkowity jubel — miasta poddawały się telefonicznie, Amerykanie rozbijali się po szosach Willysami, rozdawali *horse meat* i zakładali kantyny „tylko dla alianckich żołnierzy" — u nas szła haratanina na całego. W południe przyszła wiadomość, że zginął porucznik Stogryń. Posłano na jego miejsce Jasieńskiego. Janka zapakowała mu na drogę kurę na zimno. Łazarski pojechał do Berlina na defiladę.

Wieczorem przyprowadzono do sztabu jeńca. Był to zdrowy, czarniawy, opalony chłopak, ładny, dziarski — szkoda że Niemiec. Dwaj żołnierze, którzy go przyprowadzili, byli oszołomieni swoim sukcesem, pytali, czy będą w biuletynie, czerwienili się z podniecenia. Niemca złapali w lesie, szedł w naszą stronę. Chcieli mu dać trochę w ucho, na pamiątkę, za co, to chyba wiadomo, ale szelma zamachał jakimś świstkiem. Patrzą: nasza ulotka. Okazało się, że szedł do nas, chce się dostać do sztabu, pogadać z kimś odpowiedzialnym.

Niemiec jest wesoły, obyty, nazywa się Fuchs czy też Schulz. Umie przeklinać po rosyjsku, zna parę słów po polsku, po arabsku — nawłóczył się z tym Hitlerem *(jepi jefo matsch!)* po całym świecie *(kolera pscha kreff!)*. Patrzymy na niego spode łba: znamy was, wszyscy teraz ładnie śpiewacie. Powiedz lepiej, coś tam w Rosji i u nas wyrabiał. Nie zalewaj głodnych kawałków, gadaj: o co ci chodzi?

Chcą się poddać. Cała tam kompania jest. Zabiją oficerów, tak jak tutaj pisze (Niemiec odczytuje skrupulatnie odpowiedni ustęp z ulotki), tylko skąd oni mogą mieć pewność, że to nie jest jedynie obiecanka.

Szef sztabu odpowiada mniej więcej w ten sposób:

— Stąd, że możemy się bić dalej i wykończyć was do jednego.

— Jeśli potwierdzicie, że tu byłem — powiada Niemiec — i puścicie mnie powrotem, to będzie znak, że to wszystko jest *ernst* i przyprowadzę wam całą ompanię.

— Z bronią? — pyta szef sztabu, ppłk. Bobowski.

— Z bronią.

— Dobrze. Dajcie mu takie zaświadczenie — to było powiedziane do Bibelrauta. — *Gut?* — pyta Niemca.

— *Ja, bitte* — odpowiada tamten.

Umawiają się tak. Jutro o piątej nad ranem nasi oczekują ich przy lasku.)ni wkraczają w pełnym uzbrojeniu — i w szyku marszowym, z bronią na amieniu, udają się do sztabu. Nasza ochrona idzie obok nich z dwóch stron, ęsiego, z palcami na spustach.

— Śpiewać wolno? — pyta jeszcze Niemiec.

Ktoś z naszych warczy: „Jabym ci pośpiewał!" Ppłk. Bobowski spogląda na Niemca ciężkim wzrokiem i cedzi:

— Nie. Nie wolno... W tył zwrot!

Bibelkraut powtarza po niemiecku:

— *Los!*

I mówi w ślad za odchodzącym Niemcem:

— A gdyby mu tak, *na wsjakij pożarnyj słuczaj*, mordę obić?

Wszyscy milczą. Zobaczymy, co z tego wyniknie.

Rankiem 7 maja radio komunikuje: Praga wolna, Hans Frank schwytany, łowódcy alianccy przyjęli bezwarunkową kapitulację Niemców. Jutro mają się ebrać w Berlinie d'a podpisania aktu kapitulacji. Z naszego odcinka: „Kanonier Józef Junaszko ogniem zdobycznego erkaemu obronił swoje działo odczas kontrataku npla. Bił do wroga z odległości 30 metrów. Dzięki bohaterskiej postawie naszego kanoniera wypad nieprzyjaciela został odparty. Wróg ostawił kilkunastu zabitych".

Kiedy to pisałem, Bibelkraut zacierał ręce:

— O tak! Właśnie tak! Jeszcze trochę takich junackich Junaszków i skończymy.

— Ciągle jeszcze kontratakują — zauważyłem smętnie.

— Co pan chce, zwierzęcy strach... Co to?! — zawołał nagle. — Jakby jakiś ddział maszerował...

Olśniło nas: o n i ! Wybiegliśmy na ulicę. Szli! Ach, bydlaki, ścierwa, dranie, ranie — więc jesteście! Szli równo, pod nogę, z bronią przerzuconą niedbale rzez ramię. Twarze mieli wesołe, śmieli się i krzyczeli:

— *Ende!*

— *Nach Heimat!*

— *Kaput!*

Ten co szedł w przedzie, nasz wczorajszy gość, zakomenderował po niemiecku, żeby stanęli. Potem kazał im składać broń. Zaczęli z hukiem rzucać kara-

biny i automaty, ostrożniej obchodzili się z „panzerfaustami". Teraz nasz ochrona objęła komendę:

— No, siadać, siadać! *Alle sitzen!* Wszystko na ziemię! Skończyło się babo wesele!

Niemcy siadali, opierali się na łokciach, próbowali nawiązać rozmowę:

— *Ende, Kamerade! Wollen Sie Zigarette, Genossen?*

Nasi denerwowali się, wygrażali:

— Trzymaj mordę! *Stille!*

— Nie jestem twój kamerade, draniu szwabski!

— *Ende, kaput* — mówili beztrosko Niemcy.

— Zapłacicie za wszystko! — krzyczał jakiś potężny polski kapral. Poprawił sobie czapkę, bo mu opadła na tył głowy. — Teraz wam damy szkołę! Pas będę drzeć! Ścierwo, cholera! Przedtem rozrabiał, a teraz kamerade chce by Jakby ci tu dowództwo nie było przyobiecało, tobym tak ci przyfasował!... ta bym ci przyfasował!...

Kapral ścisnął olbrzymią pięść i pomachał nią groźnie. Niemcy struchleli.

Ale tego dnia na naszym odcinku pokój jeszcze nie nastąpił. Przeciwni przysłano nam czołgi, żebyśmy mogli przejść do generalnego natarcia. Niemc odstępowali walcząc. Jeszcze 8 maja zginął Jasieński i teraz Janka leżała n łóżku spazmując. Dopiero w nocy z 9 na 10 maja front runął. Niemcy rzuci broń i najzwyczajniej w świecie się rozeszli. Łowiliśmy ich po mieszkaniach szli bez oporu. Większość, ci z esesowskich dywizji, uciekała do Sudetów. Mie nadzieję wpaść tam do niewoli alianckiej, ale zdaje się, że się zawiedli. Wiedzie liśmy zresztą już, że jest rozkaz, by ruszyć za nimi w pogoń.

Pokój zastał nas w Bischofswerda, opustoszałym, ładnym miasteczku na gra nicy Sudetów i Saksonii. Było ciemno, elektrownia w mieście była zepsuta. N rynku, naprzeciw starego kościoła, palił się dwupiętrowy budynek. Strzelał z niego w ciemność czerwone pióropusze iskier, ozłacały nasze twarze. Noc był ciepła, pachnąca dymem i wiosną. Krążyliśmy po miasteczku, szczęśliwi i poc nieceni, pijani rozkoszą i ciszą...

PRELUDIUM

Jagnię wykute z kamienia zabłądzi,
to ręka wiatru prowadzi je z góry
płowej, czesanej gładko jak kądziel.

Jeszcze nas parzył palec słoneczny
a już, wetknięty w mroki, opuszcza
głaz czarnej chmury na nasze głowy
wzniesione prosto. Wieczór, ach taki
wieczór jak gacek w kręgach nad lasem,
raz tylko można czuć, aby nocą
pościel od rojeń pomiętą dusić,
walczyć i — śpieszyć komuś z pomocą,
maszt wiatru łamać i po dolinach
łopotać w okno zabite mrokiem.

Kamienne jagnię świątka bez dźwięku
wiatr toczy z góry. Czekaj na Śnieżce
jak świętokrzyski pielgrzym w uklęku,
gdy każde słowo rozbudza dreszcze
i każdy szept twój budzi w dolinach
wiatr wyschły nocą jak wąs Beduina,
mgłę, mokrą pannę, i gwizd harcerza
co się na szczyty piąstką zamierza...

BIERAWKA

Mała rzeczka, gdzie dzieciństwo kwili,
jeden szuwar, goły jak fasola.
Wąs kolejki i hałd rudy kilim,
spływający na jesienne pola.

Jadą małe wagoniki mostkiem
z żużlem, który przepala moczary.
Na dnie rzeczki cztery trupy włoskie
śpią splecione w dwie kościste pary.

Rowerzyści trenują wzdłuż rzeczki
na wstążeczce asfaltu. I syczą
czarne koła nad zdziwionym dzieckiem,
w ostrym wietrze ukrytym jak w biczu.

Inni mieli Dunajce i Wisły
jary Niemna i bagnisty Bug,
brzeg pachnący, biały i okisły,
dalej chutor dymiący i stóg...

My kolejkę wzdłuż brzegów i żużel,
robotników wykutych z cementu,
i dwóch Włochów podwodne podróże
przez powstańców tu na dno ciśniętych.

Mała rzeczka, na niej modra oliwa,
że i ryby wędka nie uświadczy,
igła mostów co krok, która zszywa
brzegi w zieleń tłustą coraz rzadsze.

Z rana biegnie chłopak z gazetami,
wieczór bucha nagły i rzęsisty
w trzepot kopalń porwany jak w zamieć;
wnet i księżyc opadnie jak listek

z rudziejącej nieba gałęzi;
dobrze nam tu i odejść stąd nie chce
nawet pliszka, urodzona w piędzi
żużlu, niby w ciepłej kolebce.

BUDOWA POMNIKA NA GÓRZE ŚW. ANNY

Poganiaj chmury kielnio murarza,
poganiaj wodę, co nie chce płynąć, bracie
pochylony nad architekturą ziemi,
dziwnie ciepłej i do uścisków skorej
jak wspomnienie, które sen odtwarza.

Tu leżą bohaterzy, mówi napis,
a tam na wysoczyźnie ku Odrze
łopianowe uszy nasłuchują burzy
wiosennej, co z północy idzie od niedzieli,
i plon, plon wonny wywróży.

W pracowni Dunikowskiego czekają robotnicy
zaopatrzeni w kamienne ramiona,
gołębie od Sukiennic trzepocą
i zmierzch drze się czerwono jak zasłona
w kalwaryjski dzień. To robotnicy
rozmawiają z dłutem przyjaznym,
i na drogę szykują się raźniej,
na św. Annę słynną w polskiej okolicy.

Na św. Annie ogniska palą chłopcy od krów,
smakowite dymy pełzną, więc uważaj
srebrna kielnio murarza, już nadchodzi pora
dług kamienny spłacić ziemi spękanej —
wieżą smutku, posągiem otuchy,
okrzykami, co spływają z warg
rozsupłanych kamiennym uśmiechem,
brwią, nad którą dumnie się wznoszą
jasne łuki wygranych klęsk.

STRACH

Rozgromiliśmy go, a oto wstaje, trzepocąc w krwi
sztandar pohańbiony naszą stopą.
Prawo za prawem odwraca kartę utłuszczoną przez wieki,
od inicjału z pierwszej strony po ostatnie westchnienie,
po ślinę zaschłą i muszkę przybitą fioletową dłonią kopisty,
po koniec sprawiedliwości,
wymalowany w postaci kulawego mnicha nad rzeką.

Zabiliśmy mu dzieci i oto rodzą się nowe,
piąstki zaciskają, krzyczą, złorzeczą nam, że żyjemy,
żony zabraliśmy, potem przegnaliśmy je przez szczyty
nocą. Dławił wściekłością się i umierał płacząc.
A oto stoi za węgłem, u wezgłowia, zwisa z pułapu,
patrzy i nowe prawo dyktuje zmarłemu kopiście,
kołyska skrzypi — to pióro liżące pergamin tłusty,
krew pada na dłoń — to atrament i farba mieszana w garnuszku.

Przestałeś istnieć wrogu,
słyszę dziś jeszcze, jak twój kark się łamie
z chrzęstem. I głowa pada, ciężka jak cegła.
Pokolenie zwycięzców z łona twych żon powstaje,
ze śpiewem kroczy ku ojcom, rzuca pierś matek i
z nami o świcie wychodzi do pracy gwarnego kościoła.

Czemu znowu przychodzisz,
czemu biednych buntujesz,
dzieciom czemu odbierasz chleb z rąk, gdy do szkoły
niosą go ufnie w papierze,
czemu opierasz głowę o loki żon naszych i twoich
i powiekami zmiatasz uśmiech z ich lic świeżych.
Czemu palisz wezgłowia i sny chichocząc plątasz,
choć jeszcze kanciatą głowę w skrzypiących trzymasz chomątach,
choć barwi się pędzel krwi, wystrzelający z żyły,
wrogu, miłością chudy, zbrodniami otyły,
znad rzeki i spoza góry, znad nieba i z głębi ziemi,
który wstałeś przeklęty pomiędzy żyjącymi,
pięść wznosisz nad zwiędłą głowę średniowiecznego kopisty
i zmuszasz go, by do żywych anonimowe słał listy.

KRYSTYNA BERWIŃSKA-GOGOLEWSKA

OCALENIE ANTYGONY

dramat w 3 aktach

AKT II

(Teby. Noc. Zaułek. Uliczka opada w dół. Kilka nędznych domków. Niektóre zrujnowane. Studnia. Mur nagi, poszczerbiony, w jednym miejscu obrośnięty bluszczem. Światło księżyca przesłanianego chmurami. Dalekie łuny pożarów. Z oddali wrzawa. Krzyki. Słów nie można rozeznać. Tu cisza. Pod murem, czepiając się go, przesuwa się STARA KOBIETA. Jest potwornie chuda, obszarpana. Siwe włosy, długie kosmyki opadają na twarz. Oczy obłąkane. Tuli do piersi jakiś przedmiot owinięty w szmaty. Jęczy cicho i monotonnie. Uliczką z góry biegnie ANTYGONA. Biała tunika. Włosy wymykają się spod opaski. Jest przerażona i zdumiona)

ANTYGONA: Jobat! *(słowo zamiera jej na ustach. Zobaczyła Starą Kobietę. Nieruchomieje. Patrzy ze zgrozą)*

STARA KOBIETA *(nie widzi Antygony. Zbliża się do niej)*: Nie ma... Nie ma...

ANTYGONA *(przerażona dopada drzwi — stuka mocno)*: Jobat! Jobat! *(stuka. Migoce światełko. Otwierają się drzwi. Wychodzi Jobat z kagankiem)*

JOBAT: Kto tu?

ANTYGONA *(nie odrywa oczu od Starej Kobiety, która ciągle zbliża się i jęczy)*: Jobat! Co to?

JOBAT: Antygona! O bogowie!

ANTYGONA *(chwyta go za rękę)*: Jobat! co to? co ona...

JOBAT: Tędy chodzą grzebać umarłych. Pewnie dziecko.

STARA KOBIETA: Ziemi... robactwu... oddać...

ANTYGONA: Dlaczego ona jest taka... straszna?

JOBAT: Nędza robi człowieka takim.

ANTYGONA: Ona nas nie widzi. Ja się boję!

JOBAT *(po chwili)*: Poszła.

STARA KOBIETA *(już jej nie widać)*: Oddać! *(krzyk)*

ANTYGONA: Dlaczego ona krzyczy?

JOBAT: Nie wiem, Antygono. Pewnie z bólu straciła zmysły. Pewnie nie miała na świecie nic prócz tego dziecka.

Co się stało, żeś tu przyszła Antygono. Nie powinnaś tu przychodzić.

ANTYGONA: To straszne. Czy dużo jest takich ludzi w Tebach?

JOBAT: Jakich ludzi?

ANTYGONA: Powiedziałeś: „Nędza robi takich ludzi".

JOBAT: Dużo.

ANTYGONA: Dlaczego Kreon o tym nie wie?

JOBAT: On wie.

ANTYGONA: Ja myślałam, że ty jesteś najbiedniejszy.

JOBAT: Ho, ho, Antygono. Ja jestem bogaczem. *(po chwili)*

Nie powinnaś schodzić ze Wzgórza.

ANTYGONA: Bałam się, że ciebie nie ma. Bardzo się bałam.

JOBAT: Co się stało?

ANTYGONA: Wszystko ci powiem. Teraz już się nie boję. Pomożesz mi, prawda?

Patrz, rozdarli mi tunikę. Żołnierze. Szarpali mnie. Uciekłam.

JOBAT: Dlaczego zeszłaś ze Wzgórza, Antygono? Powinnaś tam zostać. Strach ściska ludziom gardła i milczą. Ale gdy są głodni, przestają się bać. Wróć na Wzgórze.

ANTYGONA: Czego oni ode mnie chcieli?

Bałam się, że jeszcze nie wróciłeś z wojny. Nie byłeś ranny? Kiedy wróciłeś?

JOBAT: Dziś.

ANTYGONA: Twoi synkowie i żona śpią?

JOBAT: Dziś chyba nikt w Tebach nie śpi.

ANTYGONA: „Antygona kocha senne zamyślenia starych kobiet..."

O Ajetesie.

JOBAT: Co mówisz, Antygono?

ANTYGONA: Nic. Myślę o tamtej strasznej kobiecie.

JOBAT: Żona zaniosła synków do krewnych. Wolą być w gromadzie. Ja muszę pójść. Bała się tu zostać sama.

ANTYGONA: Dokąd musisz pójść, Jobacie? Przecież wojna już skończona.

JOBAT: Wojna skończona. Ale nie wszystko jeszcze jest skończone, Antygono. Muszę pójść.

ANTYGONA: Nie rozumiem.

JOBAT: Pamiętaj, że lud tebański nie zrobi ci krzywdy.

Lud tebański kocha cię, Antygono. Nie bój się.

ANTYGONA: Są straszni. Szarpali mnie. Dlaczego?

Czy zaraz musisz pójść? Myślałam, że mi pomożesz.

JOBAT: Mało mam czasu, ale mów, Antygono.

ANTYGONA: Chcę, żebyś mi wskazał drogę. Przyszłam pogrzebać Polinika.

JOBAT: O!

ANTYGONA: Nie chcę, żebyś szedł ze mną. Naraziłbyś się na śmierć. Nie, zrobię to sama.

JOBAT: Antygono...

ANTYGONA: Nic mi nie mów, Jobacie. Nie powstrzymuj mnie. Już mnie teraz nic nie powstrzyma. Chcę, żebyś pokazał mi drogę. Którędy mam pójść, żeby nie spotkać nikogo. Ty znasz wszystkie zaułki Teb, poprowadź mnie.

(Jobat klęka i obejmuje jej kolana)

Co robisz? Wstań. Nie trzeba tak. To jest zupełnie łatwe, gdy się już raz postanowi.

JOBAT: Tam są strażnicy, Antygono.

ANTYGONA: Nie znasz proroctwa? Proroctwo mówi, że wiatr im zaprószy oczy.

JOBAT: Tak.

ANTYGONA: Nie wierzysz w proroctwa? Ja wierzę.

JOBAT: To proroctwo jest straszne.

ANTYGONA: Znam je do końca.

JOBAT: Nie wracaj na Wzgórze. My cię ukryjemy.

ANTYGONA: O, już on mnie dosięgnie. Proroctwo musi się spełnić. Pójdziesz ze mną?

JOBAT: Mam cię prowadzić na śmierć?

ANTYGONA: Nie myśl o tym. Myśl tylko, że spełniasz moje życzenie. Zawsze lubiłeś to robić.

Och, Jobacie!

JOBAT: Zrobię wszystko.

ANTYGONA: Obiecywałeś, że wylepisz mi wazę, gdy wrócisz z wojny. Pamiętasz? Miała być na niej dziewczynka i psy.

Zapomniałeś...

JOBAT: Nie zapomniałem, Antygono.

ANTYGONA: Dziewczynka i psy. Ach, jak mi żal tej wazy, Jobacie. Już ją lubiłam. Już wiedziałam, gdzie ją postawię. Co za szkoda, Jobacie!

Ale chodźmy, dobrze? Muszę to zrobić, póki jest noc.

Biedny mój braciszku! Tak długo już czekasz na mnie. Za długo. „Mała Antygono — mówił zawsze, gdy miałam zmartwienie — nie płacz, zobaczysz, będę tańczył na twoim weselu". Moje wesele... moje wesele. Biedny Polinik! Ślicznie tańczył i ślicznie prowadził kwadrygę. Nawet Kreon to przyznaje.

Kreon go nienawidził, wiesz? Eteokla też. Wolałabym, żeby mnie nienawidził także. On niszczy wszystkich. Tych, których nienawidzi i tych, których kocha. Bo on mnie kocha. Stał całe noce na tarasie pałacu, aby mnie powstrzymać. Przecież mógł postawić straż, prawda? A on stał sam.

(Od strony miasta rośnie wrzawa. Kilka postaci ukazuje się u szczytu uliczki. Kłócą się)

Dlaczego nic nie mówisz? Chodźmy już.

JOBAT: Cicho, niech przejdą.

GRAJA *(tęga, niestara jeszcze przekupka, bardzo ordynarna)*: Zrobię to, kundle! Choćbyście do rana szczekali!

ŻOŁNIERZ I: Przysięgnij! Przysięgnij na swój stragan, wiedźmo!

GRAJA: Na wszystko, co na nim sprzedałam i na wszystko, co na nim jeszcze sprzedam!

ŻOŁNIERZ I: A to przysięga!

ŻOŁNIERZ II: Graja durna. Pyskuje, sama nie wie co.

GRAJA: Nie wie co? Ty nie pyskuj, bo ci jęzor obetnę.

ŻOŁNIERZ II: A idź! Grzeb go! Zobaczymy, jak będziesz wisieć.

GRAJA: To ty będziesz wisiał. Babka ci wywróżyła, nie pamiętasz?

ŻOŁNIERZ II: Tfy! Paskudztwo! Proroctwo mówi, że pogrzebie go Antygona.

ŻOŁNIERZ I: Dwa dni śmierdzi i jakoś go nie grzebie. Proroctwa kłamią! Ludzie pamiętają tylko te, które się sprawdziły, ot i masz, skąd się bierze wiara w proroctwa.

ŻOŁNIERZ III: Biedny chłopczyna. Za życia brat go okpił z królestwa, a po śmierci musi publicznie gnić. A co proroctwo dalej mówi?

ŻOŁNIERZ II: Że Antygonę pojmają i że Kreon skaże ją na śmierć.

ŻOŁNIERZ I: Jeżeli już ma umrzeć, mogłaby pospieszyć się ta mała. Gdyby zrobiła to pierwszego dnia, nie byłoby w mieście zarazy.

GRAJA: Kara śmierci! Śmiercią szafuje, jakby dawał życie.

Próżne biadania! Dosyć! Proroctwa łżą i wy łżecie. Idę.

ŻOŁNIERZ I: A co zrobisz ze strażą, głupia babo?

GRAJA: Powiem im to, co wam mówię. Że są durnie i bydlaki! I łajdaki, żeby przeciw całemu miastu z tyranem trzymać. Jak zaraza się rozhula, to i tak wszyscy zdechną. „Chcecie zdychać jak barany? Wy pierwsi zdechniecie — powiem im! — O, już ci gęba puchnie!" Już ja im powiem! Bachory padają jak muchy.

ŻOŁNIERZ II: A bo ty masz dzieci?

GRAJA: To co, że nie mam? To mam zamknąć ślepie i nic nie widzieć? Dosyć tego! Albo jesteś człowiek, albo jesteś baran!

ŻOŁNIERZ I: Mało to naprosili Kreona.

GRAJA: Narodził się! Stary bałwan! Tak! Liżcie mu nogi, a on was będzie kopał! Dobrze! Za karę, żeście się ośmielili prosić, nałoży nowy podatek. I zapłacicie! Choć będziecie zdychać z głodu! Ale ja nie! Ja nie!

Idę go grzebać i niech mnie wieszają!

ŻOŁNIERZ I: Graja, durna! Myślisz, że przekupka tebańska może grzebać królewicza, choćby to był królewicz śmierdzący? Handlarka rupieci może sprawować obrzędy? Co tobie do niego?

GRAJA: Strach, żeby tak leżał.

ŻOŁNIERZ II: Ma siostrę, niewinną Antygonę.

GRAJA: Widać nie ma siostry!

Boją się! Wszyscy boicie się tyrana!

ŻOŁNIERZ II: Nie boimy się! Niechno tylko wszyscy wrócą.

GRAJA: Zawsze szczekacie i dalej liżecie łańcuch.
ŻOŁNIERZ II: Uważaj, żebym ciebie nie polizał.
GRAJA: Puśćcie mnie! Idę.
ŻOŁNIERZ II: A idź do hadesu!
ŻOŁNIERZ I: Złapią cię i powieszą!
GRAJA: Niech wieszają!
ŻOŁNIERZ I: Byłaś jego dziewką?
GRAJA: Wara ci ode mnie!
ŻOŁNIERZ I: Wara? Ty suko!
ANTYGONA *(biegnie do Graji)*: Graja!
GRAJA: A to co? Coś ty za jedna?
ANTYGONA: Chcę cię ucałować.
GRAJA: Dlaczego płaczesz?
ANTYGONA: Nie gardź mną. Jestem Antygona. Szukam ciała Polinika. Przyszłam do miasta, aby go pogrzebać.
SZEPT: Antygona — — Antygona — — —
ŻOŁNIERZ III: Ta mała łże! Już ją tu w mieście widziałem. Zabawiała się z żołnierzami.
ŻOŁNIERZ IV: Pewnie! Antygona nie włóczy się po nocy! Antygona śpi w puchowym łóżeczku.
JOBAT: Precz! Nie dotykaj jej!
ŻOŁNIERZ III: A tobie, staruszku, co do tego? Jeżeli nie chcesz zobaczyć wszystkich gwiazd, zostaw ją!
GRAJA: Dajcie spokój tej małej! Mówisz, że jesteś Antygona.
ŻOŁNIERZ III: Ale, Antygona! *(chwyta ją za rękę i ciągnie)*
(Ajetes biegnie szybko z góry)
JOBAT: Ajetesie! Na pomoc!
AJETES: Puść ją! To jest Antygona.
ŻOŁNIERZ III: Znasz ją?
AJETES: Tak. Widziałem ją dzisiaj na Wzgórzu.
SZEPT: Antygona... Antygona...
GRAJA: Mówisz, że pogrzebiesz Polinika?
ANTYGONA: Tak.
ŻOŁNIERZ II: Niech cię bogowie prowadzą.
(Cisza pełna czci. Antygona w objęciach Graji)
GRAJA: Dzielna mała królewna.
ANTYGONA: Nigdy cię nie zapomnę.
ŻOŁNIERZ III: Wybacz nam, królewno...
ANTYGONA: Ależ tak. Nie rozumiem tylko, czego ode mnie chcieliście.
(Wychodzą Graja i żołnierze. Żołnierze zmieszani i zatrwożeni)
AJETES: Gdyby nie moja przyjaciółka, mała chora Nefeli, nie wiedziałbym, że jesteś w mieście. Ona cię widziała. Szukałem cię, Antygono. Byłem przy siódmej bramie, gdzie leży Polinik. Potem pomyślałem, że może znajdę cię u Jobata. Nie drżyj już. Nic cię tu złego nie spotka.

ANTYGONA: Czego oni ode mnie chcieli?

AJETES: Dlaczego zeszłaś do miasta?

ANTYGONA: Ajetesie, czego oni ode mnie chcieli? Dlaczego mnie szarpali? Chcieli mnie zabić? Dlaczego?

JOBAT: Są głodni, Antygono. I byli na wojnie. I nie ma wody. To prawda, są źli. Ale musisz pomyśleć, że nie ma wody, a oni wrócili z wojny.

AJETES: Nie myśl już o tym. Obronię cię.

ANTYGONA: Ty jesteś silny. Jesteś duży. Musisz być bardzo silny.

AJETES: Jestem silny. Nie drżyj już.

ANTYGONA: Hajmon jest słaby. Ale gdyby mi groziło coś złego, stałby się odważny, bo mnie kocha, prawda?

AJETES: Antygono, daj mi rękę. Nie zaprowadzę cię na Wzgórze. Zostaniesz tu. Pokażę ci miasto.

ANTYGONA: Widziałam okropne rzeczy.

AJETES: Pójdziemy do mojej matki.

ANTYGONA: Nie, Ajetesie. Idę z Jobatem.

AJETES: Dokąd?

JOBAT: On jeszcze lepiej zna wszystkie zakamarki w mieście niż ja, Antygono. On pójdzie z tobą.

AJETES: Przyszłaś, aby pogrzebać brata?

ANTYGONA: Tak. Jobat...

AJETES: Ja cię zaprowadzę.

JOBAT: Niech bogowie nad tobą czuwają. O, Antygono...

ANTYGONA: Jobacie! *(całuje go)* Zrób taką wazę, dobrze? I niech będzie dla twoich synków. Nie sprzedawaj jej. Dla twoich synków — ode mnie.

JOBAT: ...niech... czuwają... *(odchodzi)*

AJETES: Jobat nie miał dość odwagi, aby cię prowadzić na śmierć.

ANTYGONA: Ty masz odwagę.

AJETES: Ja mam odwagę, żeby ci powiedzieć: nie!

ANTYGONA: Co?

AJETES: Żeby ci powiedzieć: nie.

ANTYGONA: Jobacie! Jobacie!

AJETES: Jobat nie wróci.

ANTYGONA: Oszukałeś mnie. Pójdę sama.

AJETES: Pójdziesz Antygono, jeżeli zechcesz. Ale przedtem wysłuchaj mnie.

ANTYGONA: Nie chcę już nikogo słuchać. Od tych wszystkich słów mam w głowie zamęt. Nie mam czasu. Niedługo zaczną gwiazdy blednąć.

AJETES: Któż chciał cię powstrzymać?

ANTYGONA: Kreon.

AJETES: Czyżby ten mocny władca miał swoją słabość, która go gubi... Jest mądry, czyż nie rozumie, że tylko ten czyn może go uratować?

ANTYGONA: Dlaczego mówisz... uratować?... Co mu grozi?

AJETES: Nie czujesz, jak wzbiera nienawiść miasta? Rośnie jak żywioł powodzi. Ta powódź zniszczy w Tebach monarchię. Dlaczego cię powstrzymywał?

ANTYGONA: Musiałby ukarać mnie śmiercią. On mnie kocha. Chciał mnie ocalić.

AJETES: Wszyscy kochają cię, Antygono. Wszyscy pragną cię ocalić. Jesteś piękna.

ANTYGONA: Całe noce czatował na mnie. Mówił dużo słów. Bardzo dużo słów. On jest mądry. Ale ja muszę pogrzebać Polinika. To jest mój brat. Rozumiesz?

AJETES: Rozumiem.

ANTYGONA: Dziś przestał czuwać. Myślał, że mnie złamał. Odsłonił mi przeszłość. Wiem wszystko o Edypie i Jokaście. To było straszne, dowiedzieć się o tym tak nagle. Ale załamałam się tylko na chwilę. Widzisz, ja też jestem silna. Prawda? Powiedz, że jestem silna. Zrozumiałam, że to, co wydawało mi się buntem przeciw Kreonowi i miłością siostry, jest moim przeznaczeniem, jest wolą bogów, że muszę to spełnić, czy chcę, czy nie chcę.

AJETES: Gorzka wiedza.

ANTYGONA: Tak. Ale nie ma od niej ucieczki. Mówię to po to, abyś mnie nie przekonywał.

AJETES: Wola bogów jest dla ciebie najwyższym prawem?

ANTYGONA: A jakże inaczej? Dla ciebie nie?

AJETES: Nie.

ANTYGONA: Nie wierzysz w bogów? Musisz wierzyć.

AJETES: Wierzę w lud.

ANTYGONA: To nie jest wiara.

AJETES: Jest.

ANTYGONA: Takiej wiary nie ma.

AJETES: Jest. Chcę cię na nią nawrócić.

ANTYGONA: Nie bluźnij.

AJETES: Moja wiara jest prosta: Wierzę, że człowiek jest dobry i pragnie czynić dobrze swemu bliźniemu. A oto spójrz — człowiek jest zły i czyni źle swemu bliźniemu. Muszę więc walczyć o swoją wiarę. Przeciwko Kreonowi, który czyni człowieka złym i nieszczęśliwym. Jak będzie trzeba, to i przeciwko bogom.

ANTYGONA: Dlaczego przeciwko bogom?

AJETES: Są z Kreonem. Pomagają mu, a on składa im ofiary zapewne nie wierząc ani w ofiary, ani w bogów.

ANTYGONA: Są ponad Kreonem i ponad wami. Są prawa bogów, które się czuje. Ja muszę pogrzebać Polinika. To jest mój brat. Jego hańba zatruwa mi powietrze, jak jego rozkładające się ciało wasze studnie. Nie mogę oddychać. Wszystko, na co spojrzę, zdaje się mówić, że jestem podłym zdrajcą. I Graja... i ci ludzie... wszyscy. Oni byli na Wzgórzu... błagali mnie. Ja ich nie zawiodę.

Ajetesie! Powiedziałeś: wierzę w lud. A przecież to oni żądają ode mnie tego czynu. I oni, i bogowie. Widzisz — tu bogowie są z ludem.

AJETES: Błagali cię niewolnicy, głodni, nędzarze. Oni są ciemni i mają

ciemne, gorzkie tęsknoty. Nie przeczuwają wolnego życia, a żeby w ogóle mogli żyć, łakną twego czynu. Jeśli nie zaspokoisz ich łaknienia — zbuntują się, zrzucą skorupę niewolników, wyprostują plecy, otworzą oczy — Antygono, uśmiechną się — zobaczą świat. Ofiaruj im swój czyn. Przezwyciężaj miłość do brata, który jest przecież jednym człowiekiem — dla nich. Choćby cię teraz przeklinali — bądź mężna. Uczyń to, Antygono! Możesz tym ludziom ofiarować świat, lub strącić ich w przepaść na długo.

ANTYGONA: Ja?

(Wrzawa miasta rośnie. Wybijają się poszczególne, wulgarne głosy)

AJETES: Rozbijają kramy i spichrze. Grabią. Mordują się. Wybuchła nienawiść, tamowane przez strach żądze. Wyrzucają z siebie brud swego życia. Wieść: Antygona pogrzebała Polinika, wieść groźna i piękna: Kreon skazał Antygonę na śmierć — uspokoi miasto, tak.

ANTYGONA: Więc dobrze, że grabią, że mordują? Jesteś obłąkany. Idę.

AJETES: Gdy spłyną pierwsze brudne wody — popłynie czysta. Pozwól — niech popłynie.

ANTYGONA: Jobat ukląkł, gdy powiedziałam, po co zeszłam ze Wzgórza.

AJETES: A Jobat jest jednym z nas.

ANTYGONA: Kto wy?

AJETES: Walczymy. Nawet takich jak Jobat urzeka twój czyn. Jakżeby urzekł innych!

ANTYGONA: Żołnierze ucichli, gdy uwierzyli.

AJETES: Znieś ich pogardę, ich nienawiść, Antygono. Jutro będą cię wielbić.

ANTYGONA: Cóż z tego umarłym?

AJETES: Będziesz żyła. Ja cię ocalę, obronię.

ANTYGONA: Dlaczego życie stało się nagle takie trudne? Wydaje mi się, jakby piłka, którą bawiłam się jeszcze wczoraj, stała się główką dziecka. Poczułam się siostrą tej kobiety, która chciała pogrzebać mego brata, a która jest, jak mówią, najpospolitszą przekupką Teb. Ogarnia mnie pragnienie...

AJETES: Tak wielkie, że drżysz.

ANTYGONA: ...aby objąć ich smutki, zbrodnie, rozpacze, rozprostować pogięte, uleczyć chore, przycisnąć do serca, uzdrowić.

AJETES: Jakżeś młodziutka, Antygono. Wydaje ci się, że jednym porywem serca zdołasz naprawić to, co niszczyły wieki.

ANTYGONA: Nie zdołam, wiem.

AJETES: Jesteś odważna i czysta. Pomożesz nam. Musimy wrócić przyrodzone piękno człowiekowi. Został potwornie zniekształcony. Chodź z nami.

ANTYGONA: Dokąd mam pójść? Chcesz, abym porzuciła swój dom?

AJETES: Ten ponury pałac, tyle razy splamiony krwią? To twój dom, Antygono? Nie. Twój dom to Teby. Przychodziłaś tu w gości. Wymykałaś się czasem ze Wzgórza, gdzie uczono cię wielkich kłamstw. Teraz zamieszkaj w nim.

ANTYGONA: Czy, gdybyś kochał dziewczynę, nie obejmowałbyś jej przed ślubem?

AJETES: Ależ tak.

ANTYGONA: To nic złego, prawda? Hajmon jest tak delikatny, że boi się wszystkiego. Jest dla mnie bardzo dobry. Muszę się nim trochę opiekować, bo on nie jest silny. Żal mi było zostawić go samego.

AJETES: Antygono — —

ANTYGONA: Jakie masz teraz oczy. Co ci się stało?

AJETES: Pomyślałem o dziewczynie, którą kocham.

ANTYGONA: Ach, więc to jest miłość! Pozwól mi patrzeć w twoje oczy. O — o — więc to jest miłość. Bardzo ją kochasz?

AJETES: Bardzo.

ANTYGONA: Czemu ja drżę, Ajetesie? Jakie to dziwne...
Jeszcze nigdy nie widziałam, jak to jest — pewnie dlatego — —
Jeżeli myśl o niej tak cię zmienia, cóż by się stało, gdybyś ją widział?

AJETES: Wziąłbym ją w ramiona — o tak — Całowałbym jej skronie — — potem oczy — potem kąciki ust — a potem —

(pocałunek)

ANTYGONA: Och, Ajetesie — to jest miłość — — szumi mi w skroniach — — dlaczego drżę?
Och, muszę to opowiedzieć Hajmonowi.
Muszę go nauczyć. Najpierw skronie *(całuje)* potem oczy... *(całuje)* potem...

AJETES: Kąciki ust... a potem... *(pocałunek)*

ANTYGONA: Ajetesie, czy nie robimy nic złego?

AJETES *(przeczący ruch głowy)*

ANTYGONA: Bardzo kocham Hajmona.

AJETES: Nie wrócisz na Wzgórze. Rewolucja zniszczy Wzgórze. Wszyscy, którzy tam będą — zginą.

ANTYGONA: Wrócę. Tam jest Hajmon. Ajetesie, czy to już wszystko?

AJETES: Nie. To pierwsze krople, a potem jest ulewa. To poranne promienie, a potem jest żar południa.

ANTYGONA: O — Ajetesie — czy zniosłabym ten żar? Poranne promienie tak mnie oszołomiły. Nie pamiętam już, co było przedtem. Powiedz, co to jest żar?

AJETES: O — Antygono...

(Pod murem idzie kilka kobiet, dźwigają ciało owinięte w płótno. Wszystkie obojętne, zmęczone. Jedna z twarzą wykrzywioną bólem. Przechodzą)

AJETES *(chwyta ostatnią z kobiet za rękę)*: Matka?

KOBIETA: Matka.

AJETES: Nie płacze...

KOBIETA: Szósty syn. *(przechodzą, cisza)*

ANTYGONA: Nie będę czynić przeciw bogom.

AJETES: Jest ktoś, kto sprzeciwił się bogom dla człowieka. Imię jego budzi zachwyt, grozę i miłość.

ANTYGONA: Prometeusz.

AJETES: Prometeusz.

ANTYGONA: On był pół-bogiem. Bardzo cierpiał.

AJETES: Tak. Musisz sama wybrać swój los, Antygono.

ANTYGONA: Mój los jest zły. Nie darmo jestem córką Edypa i Jokasty. *(Na górze, u wylotu uliczki, ukazują się dwie szamocące się w walce postacie. Krzyczą)*

PIERWSZY: Daj! Oddaj!

DRUGI: Puść! Moje!

PIERWSZY: Pierwszy wziąłem!

DRUGI: Łżesz, ty ścierwo!

PIERWSZY: A masz! *(Ajetes biegnie ku nim)*

DRUGI: A!! *(krzyk)*

PIERWSZY: A masz!

AJETES: Co to?

PIERWSZY: Kaftan.

AJETES: Stary kaftan. A ten?

PIERWSZY: Zdechł. *(ucieka)*

ANTYGONA *(biegnie w górę uliczki)*

AJETES: Nie zbliżaj się tu, Antygono!

ANTYGONA: Chcę zobaczyć trupa. Była wojna, a ja nie widziałam trupa. Urodziłam się w tym mieście, a nie znam go.

AJETES: To, co widzisz dzisiaj, to nie jest prawda o Tebach. Musisz się jej długo jeszcze uczyć. Ta noc staje się odmienna od wszystkich, które minęły i od wszystkich, które przyjdą. Tej nocy pękają wszelkie więzy. Ciebie to przeraża? Cuchnące ciało Polinika zatruwa wszystkie fałszywe wiary i idee.

ANTYGONA: Nie było we mnie nic prócz pragnienia tego czynu. Jestem jak we śnie. Czemu nie idę? Lud oczekuje tego ode mnie. Czemu nie idę — — Pójdę. Niech się nie zabijają. Nie chcę.

AJETES: Uwierz mi, Antygono. Czyż ja kłamię?

ANTYGONA: Wierzę ci. Nie chcę ci ulec, bo jestem uparta. Kim był ten człowiek?

AJETES: Zginął w walce o stary kaftan.

ANTYGONA: O Poliniku, czy mi wybaczysz?

(Wrzawa rośnie. U wylotu uliczki, na górze, ukazują się pierwsze postacie tłumu)

GŁOSY: Ona tu jest. Antygona! Ona tu jest.

AJETES: Ukryj się. Oni chcą cudu. *(ukrywają się w zrujnowanym domku)*

GŁOSY: Antygono! Antygono!! Nie ma jej tu.

(Uliczkę wypełnia tłum)

GRAJA: Poszła go grzebać.

ŻOŁNIERZ I: Tam jest straż.

KOBIETA I: Proroctwo mówi, że wiatr strażnikom zaprószy oczy. Mamy nie wychodzić z miasta?

GRAJA: Zostajemy.

KOBIETA I: A jeżeli nie stanie się cud? Jeżeli woda będzie zatruta?

KOBIETA II: Nie chcemy umierać.

STARZEC: Boję się...

GRAJA: A cóż za życie... bez domu?

ŻOŁNIERZ III: Kto wam da jeść?

GŁOSY: Zostajemy.

ŻOŁNIERZ II: Znowu trup.

KOBIETA I: Ile dziś trupów w Tebach — strach.

KOBIETA II: Cóżeśmy winni, że tak nas bogowie karzą?

ŻOŁNIERZ I: Bogowie? Kreon!

ŻOŁNIERZ III: Proroctwo mówi, że Kreon skaże ją na śmierć. Szkoda tej małej.

KOBIETA II: Znalazł się mądry! A naszych dzieci to mu nie szkoda!

ŻOŁNIERZ II: Jeszcze ci widać jęzor do gardła nie przysechł, że się tak nad nią litujesz.

KOBIETA I: O bogowie! Odwróćcie swój gniew od Teb. Pozwólcie nam znów czerpać wodę z naszych studzien.

GRAJA: Antygona ocali miasto. Musi to zrobić. Ale wam wara bronić nam litości. Idę na siódmą bramę. Będę całować ślady jej stóp na mokrym piasku.

GŁOSY: Tak. Tak. Będzie woda. Będzie chleb.

ŻOŁNIERZ III: A jak mi się który bez czci odezwie o królewnie — zabiję!

ŻOŁNIERZ II: To ciało cuchnie aż tu.

GRAJA: Żal mi... Toż to dziecko. Sama w nocy z cuchnącym trupem brata.

ŻOŁNIERZ I: Przecież i ty chciałaś go grzebać.

GRAJA: Dlatego rozumiem.

(Przechodzą. Zostaje Grabarz. Siada na kamieniu pod murem, mruczy).

GRABARZ: Ciekawi, jak się grzebie. Ja nie ciekawy. Grzebię od rana do nocy i od nocy do rana. Za darmo. Powiadają: ostatnia posługa. I nie mają pieniędzy. A choćby i płacili, co z tego? Ani wody, ani chleba nie kupisz. Grzebać trzeba, bo zaraza. Teraz mogę odpocząć, bo mnie wyręcza królewna. Honorowe zajęcie. Antygona patronka grabarzy. Zedrze białe rączki.

(nuci)

O łąko zielona, zielona
Czy ty się ach — sierpa nie boisz?
Dziewczyna w korale się stroi.
Kochanek na brzegu ją czeka.
Plusk wiosła — a on się uśmiecha.
Gdzie płyną? — „To miłość nie śmierć".
Tu słońce. Tam księżyc. Tu cień.

Osobliwy czas. Królewny grzebią umarłych, a grabarze śpiewają piosenki.

ANTYGONA *(wchodzi)*: AJETES: Zostań tu, Antygono!

ANTYGONA: Nigdy nie widziałam grabarza. *(podchodzi blisko grabarza)*

O dębie zielony, zielony,
Czy ty się topora nie boisz?
Dziewczyna nad dzieckiem swym stoi,
Kołysze kolebkę i śpiewa:
„Ach, czemu schną liście na drzewach?
Syneczku, to życie, nie śmierć!"
Tu słońce, tam księżyc. Tu cień.

O ptaku, ty ptaku zielony,
Czy ty się jastrzębia nie boisz?
Hej starzec...

ANTYGONA: Nie przerywaj piosenki. Czy wszyscy grabarze śpiewają piosenki?

GRABARZ: Ty jesteś Antygona?

ANTYGONA: Tak.

AJETES *(równocześnie)*: Nie.

GRABARZ: Pogrzebałaś go, królewno?

ANTYGONA: Nie.

GRABARZ: Nie pogrzebałaś? Ona tu jest! Ona tu jest! *(biegnie z krzykiem)*

AJETES *(chwyta go za rękę)*: Ty także boisz się śmierci?

GRABARZ *(wyrywa się, wybiega z krzykiem)*: Ona tu jest! Tu! tu!

AJETES: Chodźmy stąd.

ANTYGONA: Nie.

AJETES: Przecież wiesz, czego oni chcą.

ANTYGONA: Boisz się że ulegnę?

Chcę się uczyć mojego miasta.

AJETES: Przysięgnij, że nie ulegniesz. Przysięgnij.

ANTYGONA: Jeżeli go pogrzebię, będą mieli wodę, będą mieli chleb.

AJETES: I nigdy nie przestaną tak żyć.

Zaspokoją pragnienie. Nasycą głód. Tak.

Ale usta ich pozostaną zaciśnięte. Plecy zgarbione. Serca zdrętwiałe.

Chcę, żeby śpiewali. Żeby w Tebach brzmiał śmiech, a nie charkot pijaków i konających. Żeby się wyprostowali. Podnieśli ramiona. Zobaczyli niebo. Żeby odkryli świat. Żeby się poczuli jego mieszkańcami.

ANTYGONA: To wszystko stanie się, jeśli go nie pogrzebię?

AJETES: Będą rabować. Będą niszczyć. Będą mordować. Tak. Jeszcze dziś. Ale otworzy się Jutro.

Runie ten świat. To będzie jak błysk pioruna.

Spalą się ich zbrodnie, grzechy, krzywdy, zostaną oczyszczeni ogniem.

ANTYGONA: Skąd to wiesz?

AJETES: Spójrz, Antygono. Nad Tebami czyste niebo i gwiazdy.

ANTYGONA: A w Tebach nienawiść i zbrodnie.

AJETES: To skorupa narosła przez strach i pogardę. Lud grecki zrzuci ją w pierwszym porywie gniewu.

Pod tą skorupą bije czyste serce.

ANTYGONA: Skąd to wiesz?

AJETES: Uczy mnie tego moja wiara.

ANTYGONA: A bogowie? Czy wystarczy im zemsta nade mną? Czy nie będą mścić się nad twoim ludem?

AJETES: Oni runą z ich światem.

ANTYGONA: Strasznie bluźnisz. Bogowie nigdy nie runą. Oni są wieczni.

AJETES: Prometeusz cierpi, ale człowiek ma ogień. Bogowie ukarali buntownika, ale nie mogli już odebrać człowiekowi ognia.

ANTYGONA: Przecież to jest moje przeznaczenie.

AJETES: Są w dziejach momenty, kiedy Mojra przymyka jedno oko. Wybierz swój los sama.

ANTYGONA: Wczoraj oglądałam zaręczynowe pierścionki, a dzisiaj już jest przede mną tylko śmierć.

AJETES: Nie umrzesz! Wyrwę cię nawet bogom! Nawet Mojrze!

Prometeusz cierpiał, bo był samotny. Ulitował się nad człowiekiem, wyłamał się z praw boskich, ale nie był człowiekiem. Ty nie będziesz sama. Lud cię ocali.

ANTYGONA: Oni żądają, bym go pogrzebała. Oni mnie nie ocalą. Oni będą mnie przeklinać.

AJETES: Dziś. Ocali cię lud, który stanie się jutro.

ANTYGONA: Jakże jesteś okrutny, Ajetesie!

(Wrzawa rośnie. Tłum zbliża się)

AJETES: Skryj się tu. Nie wychodź. Nie ukazuj się im.

ANTYGONA: Boisz się, że ulegnę. Puść mnie.

AJETES: Przysięgnij mi! Przysięgnij — —

GŁOSY: Jest tu! Antygona! Antygona! Antygona!

AJETES: Czego chcecie?

GŁOSY: O Antygono, nie pogrzebałaś Polinika!

ANTYGONA: Nie pogrzebałam.

GŁOSY: Pogrzeb go. Pogrzeb go. Wypełnij proroctwo.

AJETES: Nie! Antygona nie pogrzebie Polinika! Chcecie ją skazać na śmierć?!

ANTYGONA: Pozwól im mówić, Ajetesie.

KOBIETA I: Co mamy czynić?

KOBIETA II: Chcieliśmy opuścić miasto, ale mówią, że ty, Antygono, pogrzebiesz Polinika.

KOBIETA I: Odwróć gniew bogów od Teb!

ŻEBRAK: Nie ma już muru, na którym mógłbym oprzeć plecy.
Nie ma już miejsca w Tebach, gdzie słońce może ogrzać kości.

STARZEC: Myśmy wrócili, a mówią, że lepiej było nie wracać.

STARZEC II: *(czerpie wodę ze studni)*

ŻOŁNIERZ II: Nie ruszaj tej wody! Cóż to? Masz ochotę przespacerować się do Hadesu?

STARZEC II: Nie mogę już... nie mogę *(pije)*, niech umrę.

GŁOSY: Szalony! *(odsuwają się od starca)*

STARZEC II *(pije łapczywie)*: Niech umrę! o — o — niech umrę!

(śmiech obłąkany)

GŁOSY: Antygono, ratuj nas!

ŻEBRAK: Do kogo wyciągnę dłoń? Cóż ma czynić żebrak w mieście nędzarzy?

ŻOŁNIERZ III: Czyż mamy na zawsze opuścić to miasto?

KOBIETA I: Tylko ty możesz przebłagać bogów.

GŁOSY: Pogrzeb go. Pogrzeb go.

KALEKA I: Ja wyjdę z miasta. Nie chcę wracać do domu. Nie chcę łez matki. Nie chcę patrzeć, jak moja dziewczyna tuli się do innego. Grałem na cytrze. Cóż uczynię bez rąk?

KOBIETA II: Chcemy tu zostać. Cóż za życie bez domu?

STARZEC I: Bez ojczyzny.

ŻEBRAK: Gorzka jałmużna wysycha, jak chleb porzucony dawniej w bramie domu, po który chyłkiem skradam się teraz bacząc, aby nikt mnie nie ubiegł.

KUPIEC: Co mi po moim złocie?

KOBIETA III: Podarły się moje piękne tuniki.

STARZEC I: Oto moje mienie. Ten węzełek.

KUPIEC: Oddałbym wszystko za wodę.

KALEKA II: Nie chcę ciemności. Chcę obejmować dziewczynę. Byłem dyskobolem — gdzie moja radość? Kto mi da chleba? Dokąd pójść?

GŁOSY: Czy mamy wyjść z miasta? Antygono — ratuj nas!!

ŻEBRAK: Ławy kamienne oblane słońcem. Czysta wodo studzienna. Torbo pełna chleba. Modlitwy u progu świątyń. Szyderstwa małych dzieci. Śnie bez marzeń, dniu, który mijasz, aby przyszła noc, która minie, aby przyszedł dzień, który minie. Łagodne niebo Teb. Wy już nie dla mnie. Już nie dla mnie!

GŁOSY: Czy mamy opuścić miasto? Ocal nas, Antygono!

Ratuj nas! Wypełnij proroctwo! Pogrzeb go!

KALEKA I: Gdzie pociecha, zapomnienie, sen?

Usnąć, usnąć.

KALEKA II: W środku nocy obudzi cię płacz matki, śmiech siostry, krzyk niemowlęcia — pośrodku życia będziesz martwy.

ŻOŁNIERZ III: Antygono, ty milczysz? Ty go pogrzebiesz!

KOBIETA I: Nasze dzieci! Antygono — ocal je.

ŻEBRAK: Kiju sękaty, ranisz ręce. Kamienie na ścieżkach do innych miast poranią stopy. Żebrak tebański opuszcza miasto.

KOBIETA II: My wszyscy dziś żebracy. Czy mamy opuścić miasto? Żebrać po drogach i wsiach?

ŻEBRAK: Jest jeszcze jeden mur, o który oprzeć mogę głowę — mur tebańskiej bramy. Ale tam trzeba umrzeć. A ja, choć nie wiem, dlaczego mija dzień, umierać nie chcę.

GŁOSY: Nie chcemy umierać! Pogrzeb go!

KOBIETA IV: Patrz, Antygono, podeptali mi ręce. Na klęczkach szukałam ziarna. Stara jestem. Odepchnęli, nie dali.

GŁOSY: Nie chcemy opuszczać miasta. Chcemy żyć.
Chcemy wody. Chcemy chleba. Ocal nas! Pogrzeb go!
Na ulicach pełno trupów.
Ludzie mordują się.
Grabią.
Rozbijają kramy.
Rozbijają spichlerze.
Pijani żołnierze gwałcą kobiety.
Kradną ziarno, wino, sandały, tuniki, kaftany.
Sypie się ziarno.
Będzie głód. Jest głód.
Woda zatruta. Zaraza. Zaraza.
Dzieci umierają. Umierają ludzie.
Ocal nas. Ocal nasze dzieci. Pogrzeb go! Pogrzeb go!
Wypełnij proroctwo! Ocal nas! Antygono! Antygono!
Pogrzeb go!
Ty milczysz? Milczysz?

GRAJA *(biegnie uliczką z góry)*: Nie chciałam wierzyć grabarzowi. Byłam przy siódmej bramie. Ona go nie pogrzebała!

GŁOSY: Pogrzeb go! Pogrzeb go!
Pogrzebiesz Polinika?
Milczysz?
Pogrzebiesz — pogrzebiesz — ? Pogrzebiesz — —

(Narasta krzyk. Zbliżają się. Niemal szarpią jej tunikę. Antygona porusza się — cisza)

ANTYGONA *(po chwili)*: Nie pogrzebię. *(cisza. Ajetes obejmuje Antygonę. Tłum zafalował oniemiały)*

ANTYGONA *(ze smutkiem)*: Nie pogrzebię.
(Wybucha nienawiść tłumu. Pierwsza Graja chwyta kamień — rzuca)

GRAJA: Ty dziewko!

(Wygrażają pięściami. Rzucają kamienie. Wymysły. Ajetes osłania Antygonę — wycofują się — tłum napiera z furią. Nagle krzyk)

GŁOS: Wojsko tyrana! Wojsko tyrana!

(Tłum rozbiega się — pod murem, między ruinami. Przez chwilę słychać tylko równy żołnierski krok. Uliczką z góry maszeruje oddział żołnierzy z Hajmonem na czele)

AJETES: Nie uderzyli cię?

ANTYGONA: Tu w rękę. Ale wydaje mi się, że mam oczy, uszy zranione na zawsze.

Ty masz zakrwawione czoło!

HAJMON: Antygono, ty tu? Antygono!

ANTYGONA: Uratowałeś nas, Hajmonie. Ci ludzie chcieli nas zabić.

HAJMON: Ten człowiek z tobą?

ANTYGONA: Ajetes bronił mnie przed tłumem. Patrz, jest ranny.

HAJMON: Czego od ciebie chcieli? Jak to się stało, że tu jesteś?

ANTYGONA: Ajetesie, to bardzo krwawi. Chodź z nami na Wzgórze. Trzeba obmyć.

AJETES: Nie, Antygono. Muszę tu zostać.

ANTYGONA: Tu nie ma wody.

AJETES: To tylko draśnięcie. To nic.

HAJMON: Antygono...

ANTYGONA: Nie boli?

AJETES: Nie boli.

HAJMON *(chwyta ją za rękę)*: Czemuś tu przyszła?

ANTYGONA *(z trudem, półprzytomna)*: Uczę się Teb. Miałam być królową.

HAJMON: Będziesz królową.

ANTYGONA: Nie będę.

Ajetesie, lękałeś się, czy to zrobię?... Broniłam się, bo jestem uparta, ale wiedziałam, że zrobię wszystko, co chcesz. Czy dobrze zrobiłam?

AJETES: O, Antygono.

HAJMON: Chodź do domu. Drżysz. Co ci w rękę?

ANTYGONA: Rzucali kamieniami.

Widzisz, jesteś dobrym żołnierzem, Hajmonie.

HAJMON: Kto rzucał?

Rzucali kamieniami w ciebie?

ANTYGONA: Żegnaj, Ajetesie.

AJETES: Zobaczę cię wkrótce, Antygono.

(Antygona, Hajmon i Gwardia odchodzą uliczką w górę. Ajetes po chwili biegnie za nimi. Zatrzymuje się, wraca)

MŁODZIENIEC *(biegnie z góry)*: Ajetes! Ajetes!

AJETES *(odwraca się)*

MŁODZIENIEC: Gdzie ty się włóczysz? Szukam ciebie od kilku godzin. Czy cię już przestała obchodzić rewolucja?

AJETES: Nie, przyjacielu, nie przestała. Widziałeś tamtych?

MŁODZIENIEC: Gwardię Hajmona? Widziałem. Niegroźni. Wszędzie wśród żołnierzy są nasi. Wkrótce przestanie istnieć i gwardia Hajmona, i armia Kreona. Spotykamy się przy siódmej bramie. Hasło: Polinik.

AJETES: Zaraz tam przyjdę.

MŁODZIENIEC: Trzeba już iść. Czekają. Chodź.

AJETES: Chcę być chwilę sam, przyjacielu. Zaraz przyjdę.

MŁODZIENIEC *(odchodząc)*: Zaczynam wątpić, czy poeci mogą robić rewolucję.

AJETES: Właśnie ją robiłem. *(po chwili)*

Oto przyszła noc, o którą modliłem się we śnie i na jawie.
Runęli bogowie — a ja modlę się.
Spadła ciemność — a ja szukam światła.
Żywiole boski, którego pełna jest ziemia, wody i niebo,
który dajesz rozum mędrcom,
który dajesz dzielność wojownikom,
który dajesz łagodne ręce matkom,
który dajesz pierwszy uśmiech niemowlętom,
który stworzyłeś świat i Antygonę —
daj mi moc, abym nie błądził,
abym umiał odróżnić ziarno od plewy,
wodę źródlaną od błotnej kałuży,
sen strudzonego od snu rozpustnika.
Daj mi moc, abym umiał zapalić ich serca miłością,
otworzyć ich oczy, by widzieli w drugim człowieku brata,
ich uszy, by słyszeli jego skargę, śmiech, wołanie.
Daj mi moc, abym umiał odsłonić im świat.
Daj mi moc, abym stworzył pieśń, w której będzie prawda i żar, która ich porwie, która będzie pieśnią ich walki, pieśnią ich zwycięstwa.
I inną — która uciszy strudzonych, ukołysze tych, którzy padną.
Daj mi moc!
Pragnę być głosem twoim.
Twoim mieczem.
Twoim płomieniem.
Wyrzekam się szczęścia, które miało mieć wszystkie barwy tęczy i wszystkie dźwięki muzycznej gamy.
Wyrzekam się dziewczyny, o ciemnych wilgotnych włosach i pełnych ustach.
— Spraw jeno, bym matce mojej mógł jutro znów przynieść kubek świeżej wody —
Wyrzekam się dzieci szczebiotliwych i radosnych.
Wyrzekam się domu, w którego rogu palić się miał złoty kaganek.
Daj mi moc, abym stworzył pieśń.

(Kurtyna)

KOMEDIA

AKT I

(rozpoczyna się bezpośrednio po zakończeniu PROLOGU)

EDWARD *(stoi w plamie światła na wysokości podniesionej kurtyny. Scena pogrążona w ciemności)*: Moja matka Janina była typową mieszczką. Kochała ptaszki w klatkach, popierała misjonarzy i nienawidziła komunistów. Wróżkom ufała bardziej niż historii.

(REFLEKTOR oświetla matkę, Janinę)

JANINA *(stoi przed lustrem i zarysowuje kredką usta)*

(REFLEKTOR gaśnie)

EDWARD: Moja siostra Anna marzyła o dostaniu się na scenę.

(REFLEKTOR oświetla Annę)

ANNA *(próbuje kroków tanecznych przy otwartym głośniku radiowym)*

EDWARD: Anna miała dwadzieścia lat. Początkowo przypuszczałem, że ze wszystkich ludzi, którzy zachwycali się jej urodą, moja siostra Anna zachwycała się nią najbardziej. Było jednak inaczej.

(REFLEKTOR gaśnie)

EDWARD: Tak, Anna była inna. Zupełnie inna niż mój brat Piotr, który szedł ścieżką dzikich zwierząt. Takie ścieżki rozrastały się w naszych czasach do rozmiarów najszerszych dróg.

(REFLEKTOR oświetla Piotra leżącego na tapczanie)

PIOTR *(leży, pali papierosa, popielniczkę trzyma na piersiach)*

(REFLEKTOR gaśnie)

EDWARD: Najlepiej przypominam sobie okres po moim powrocie z wojska. Dopiero wtedy zaczęło się życie, w którym odnajdywałem właściwe proporcje, w którym moje określenia nie przerastały już ludzi i ich spraw. Działo się to w okresie poprzedzającym wojnę, wyczuwaliśmy bliską katastrofę. Kiedy otwierałem okna, czułem, że powietrze jest już przesycone trupim odorem i swądem spalenizny. Coraz więcej głodnych prostytutek włóczyło się o zmroku,

bladzi ludzie pili w szynkach wódkę, pęczniejące ciążą kobiety czekały na nich pochylone nad mydlinami.

Już nie domykały się klapki instrumentów, fałszowała wielka orkiestra świata, nawet dzieci słyszały...

W przerwach krzyczał przez megafony chrapliwie i ordynarnie wódz współczesnych Hunów: *Lebensraum!*

Ja słyszałem: *Todesraum.*

Wtedy właściciele limuzyn zamykali w swoich wozach głośniki radiowe, kelnerzy o tej porze nacierali parkiety taneczne kalafonią.

(Gaśnie REFLEKTOR oświetlający Edwarda. Równocześnie zapalają się światła na scenie).

(Scena: Umeblowanie raczej modne. Nieodzowne sprzęty: po prawej stronie tapczan, po lewej duża szafa z lustrem, lustro może być na zewnętrznej stronie drzwi szafy. Stół, wyścielane krzesła, na lewo ku przodowi stolik bridżowy, obok wygodne niskie fotele. Z prawej i lewej strony otwarte drzwi. Drzwi z prawej prowadzą w głąb mieszkania, drzwi szklane z lewej strony — do przedpokoju)

JANINA *(nakłada kapelusz spoglądając w lustro)*

ANNA *(próbuje tanecznych kroków przed głośnikiem radiowym. Melodia walca angielskiego).*

PIOTR *(leży na tapczanie, pali — popielniczkę położył na piersiach).*

EDWARD *(pozostał na uboczu, w półmroku, zamyślony, jak gdyby przypominał sobie to, co rozgrywa się na scenie)*

PIOTR: Anka, przestań już podrygiwać, nie wygłupiaj się!

ANNA: Przeszkadzam ci na pewno w paleniu papierosów!

PIOTR: W czymś, czego ty na pewno nie zrozumiesz... Przeszkadzasz mi w myśleniu.

ANNA: Od kiedy to mój genialny brat zajmuje się myśleniem?

PIOTR: Od chwili poznania ciebie.

ANNA: Sądzę, że dotychczas to ci się nigdy nie zdarzyło.

PIOTR: Więc jeżeli już raz się zdarzyło, powinnaś uszanować ten historyczny moment.

JANINA: Dzieci, przestańcie się kłócić! Denerwuje mnie to i nie mogę dobrze włożyć kapelusza.

ANNA: To niech mamusia źle włoży! W tym domu już nie można wytrzymać! *(zamyka głośnik)* Mama zawsze musi trzymać stronę Piotra!

JANINA: Nie marszcz czoła, Anka, i nie pleć głupstw. Powiedziałam tylko, żebyście się nie kłócili, bo drżą mi ze zdenerwowania ręce — i nie mogę *(mocuje się z kapeluszem)* — no widzisz, że nie mogę!

ANNA: Mama myśli, że ja mogę? Także nie mogę!

PIOTR: Niech mamusia odpowie Ance, bo będzie jej przykro.

JANINA: Prosiłam cię już tyle razy, żebyś nie był taki inteligentny. Przez to kariery na pewno nie zrobisz.

ANNA: Słyszysz, Piotruś, o czym mówi mamusia? Zapamiętaj to sobie.

PIOTR: Już zapamiętałem. Pozwólcie, że z kolei ja zaproponuję wam coś do zapamiętania: chcę spać.

(Gasną światła na scenie — równocześnie REFLEKTOR oświetla Edwarda na przodzie sceny, w tym samym miejscu, z którego mówił poprzednio)

EDWARD: Mniej więcej tak wyglądało życie naszej rodziny. Matka spędzała pół dnia przed lustrem, Anna sprzeczała się z Piotrem, Piotr palił papierosy, bez przerwy, jeden za drugim, nawet w kinie odważał się na to. Zdaje się, że dym wypełniał pustkę jego życia.

A ja?

(REFLEKTOR gaśnie — światło na scenie)

JANINA: Edziu, mówiłeś co? Czemu siedzisz cały dzień w tym ciemnym pokoju?

EDWARD *(wychodzi na środek sceny)*: Masz skłonność do przesady, matko. Byłem tam nie dłużej niż piętnaście minut... Ty naturalnie wychodzisz?

JANINA: Co znaczy „naturalnie"? Nie życzę sobie, aby moje dzieci mówiły do mnie w ten sposób!

EDWARD: O której wrócisz? Chciałem z tobą pomówić.

JANINA: O czym?

ANNA *(zdjęła w międzyczasie zamszowy pantofel i czyści go gumą)*: Na pewno o mnie...

JANINA: Nie wtrącaj się do rozmowy starszych. I nie marszcz czoła!

ANNA: Lepiej niech Edek nie wtrąca się do moich spraw!

PIOTR: Ciszej — przeszkadzacie mi w drzemce poobiedniej. Czy po to mamy aż pięć pokoi, żeby wszyscy gnieździli się cały dzień w jednym?

ANNA: Widocznie trudno nam rozstawać się ze sobą. Oto piękny przykład miłości rodzeństwa do siebie!... Edek, o czym chcesz mówić z matką?

EDWARD: Na pewno nie o jej miłości do kolekcji kanarków.

JANINA: Czy dostały dzisiaj papu moje ptaszki?

PIOTR: Dostały, dostały!

ANNA: Mamusiu, zwróć uwagę Piotrowi, żeby następnym razem innym tonem przemawiał do ciebie!

PIOTR: Nie łudź się. Matka nie ma czasu. Przygotowuje się wewnętrznie do kawiarnianej uczty duchowej z panią majorową, doktorową, mecenasową *(liczy na palcach)* — i z kim jeszcze, mamusiu?

JANINA *(jest już w kapeluszu, kończy przebierać pantofle, wkłada zdjętą parę do szafy)*: Prosiłam raz na zawsze, żebyś...

PIOTR: Nie marszczyła czoła — Anko. Twój płaszcz jest w kuchni, mamo. Hania wzięła go do czyszczenia.

JANINA: Przypomina sobie o czyszczeniu zawsze wtedy, kiedy muszę wyjść.

PIOTR: Nie masz racji. Hanka wzięła twój płaszcz jeszcze wczoraj.

JANINA: Edziu, zawołaj Hankę, bo ten wałkoń nie ruszy się z miejsca.

EDWARD: Wolałbym jej nie wołać. Po cóż tyle osób wprowadzać na

scenę? Im więcej ich będzie, tym bardziej zmniejszą się możliwości wystawienia tej sztuki.

JANINA: Nie filozofuj. Ja nie chodziłam na uniwersytet. Prosiłam, żebyś zawołał Hankę. Gdyby płaszcz mógł przyjść sam, nie potrzebowałabym Hanki. Ale ty jesteś komunista, tobie nie podoba się, że taki garnkotłuk jest — jak ty to nazywasz — eksploatowany!

EDWARD: Nie jestem komunistą. Im więcej będzie ludzi tak niezdecydowanych jak ja, tym bardziej będzie cuchnąć powietrze w takich pokojach jak nasze.

PIOTR: Cóż to ma wspólnego z Hanką?

EDWARD: Teraz nie będziemy o tym mówić. W każdym razie nie chcę wprowadzać Hanki na scenę. To, co ona mogłaby powiedzieć, może równie dobrze wyrecytować matka.

ANNA: Dlaczego tak mówisz?

EDWARD: Bo mama czyta z takim samym zainteresowaniem „Co tydzień powieść", z jakim czyta ją Hanka.

JANINA *(nie odczuwa ironii, śmieje się)*

EDWARD: Tylko że mama robi to z szykanami. Na nocnym stoliku kładzie Prousta, a spod poduszki wyjmuje „Tragedię miłosną w pięciu pokojach z kuchnią".

ANNA: Nie ma książki pod takim tytułem.

EDWARD: Ale można ją napisać. Poproś mamę o to, na pewno ci nie odmówi.

JANINA: Myślisz, że nie potrafiłabym? Gdybym tylko chciała! *(wychodzi po płaszcz drzwiami z prawej strony)*

EDWARD *(do Piotra)*: Nie byłeś dzisiaj na wykładach?

PIOTR: Nie. Bojkotujemy budę. Zresztą wkrótce zaczynają się wakacje.

EDWARD: Bojkotujesz dlatego, ponieważ nie chcą wprowadzić getta ławkowego?

PIOTR: Dlatego.

EDWARD: Jesteście głupcami. Na rok wykładów przypada pół roku burd i awantur.

PIOTR: Przede wszystkim głupcy nie studiują medycyny. Po drugie — wolę burdy niż siedzenie z Żydami w jednej ławce.

EDWARD: Ilu jest takich jak ty na twoim roku?

PIOTR: Pięć procent Żydów, piętnaście procent liberalnych zgniłków i osiemdziesiąt procent takich jak ja. Tych cyfr w roczniku statystycznym nie ma. Okaż mi wdzięczność za podanie ich.

EDWARD: Zdaje się, że wy macie po ukończeniu studiów wychowywać młodzież, że wy macie objąć rządy?

PIOTR: Zdaje się, że my...

EDWARD: Przypuszczam, że to się nie uda.

PIOTR: Myślisz o przewrocie?

EDWARD: Myślę o wojnie.

PIOTR: Żołnierze przywykli do umierania za nas. O tym szlachetnym obowiązku pouczano ich od wieków — z ambon i w ławach szkolnych. A jeżeli nie umieją czytać, tym chętniej umierają. Głupota idzie zawsze w parze z tego rodzaju bohaterstwem.

EDWARD: Od chwili zakończenia ostatniej wojny nauczyli się wielu rzeczy. Umieją być bohaterami także dzisiaj, w tym czasie, który wy nazywacie czasem pokoju.

PIOTR: Takich nie widziałem dotychczas. Gdzie ich ukryłeś?

EDWARD: Nasz ojciec w porozumieniu z innymi dobrodusznymi ojcami trzyma ich w rezerwacie. Nie sądź, że w tym celu, ażeby nie wyginęli! Ten rezerwat nazywa się: Bereza Kartuska.

PIOTR: Już wiem: chciałeś powiedzieć, że pali cię wstyd za Berezę. Jesteś romantyczny. Cały świat posiada dzisiaj obozy koncentracyjne. Jeżeli Niemcy zbudowali je dla swoich wichrzycieli — my zbudowaliśmy dla rodzimych. Jesteś tak nudny, jak twój cukierkowaty humanizm.

EDWARD *(przesłania usta dłonią, udaje, że ziewa)*

JANINA *(przechodzi przez pokój — ubrana w jasny płaszcz)*: Edek, nie pal tyle papierosów. A Piotrowi powiedz, żeby nie właził drugi raz w butach na tapczan. Nie marszcz czoła, Anka. Do widzenia, dzieci. *(wychodzi)*

ANNA: Do widzenia, mamusiu.

PIOTR: Doskonale. Pozwólcie mi teraz w spokoju przemyśleć problem antysemityzmu. I nie mówcie do mnie. Będę wam bardzo zobowiązany. *(odwraca się do nich plecami)*

EDWARD *(siada obok Piotra na brzegu tapczanu)*

(Światła stopniowo gasną.

Równocześnie jasny krążek światła, którego średnica jest nie większa od wysokości głowy, pada na twarz Edwarda. Wszyscy pozostali pogrążeni są w ciemności. Ta scena skraca czas akcji)

EDWARD: Anną martwiłem się. Była jedyną możliwą do zniesienia osobą wśród mojej rozległej rodzinki, w tej stercie kuzynek, wujków i ciotuń. Anna była bardzo subtelna i uczuciowa, właśnie tymi cechami tłumaczyłem sobie jej pozorną oschłość. Jest wielu ludzi, którzy uciekli przed sobą, którzy usiłują ukryć się w jakiejś powtarzanej często formułce, w cynicznych określeniach. Są takie klimaty, w których mędrcy wolą udawać głupców, a ludzie uczuciowi wolą grać rolę płytkich i tępych. Anna, nie mogąc znaleźć jakiegoś odpowiednika w swoim otoczeniu, nie mogąc się porozumieć, dostroiła się zewnętrznie do stylu pierwszej z brzegu cioci. To było niebezpieczne, przenikało coraz bardziej do wnętrza. I męczyło ją.

Dlatego Anna uciekała z domu. Jeżeli nie miała zajęć w szkole dramatycznej — uciekała. Uciekała nie wiadomo dokąd. Wracała późno, czasami nawet o północy. Nie wiem, dlaczego to czyniłem — ale zawsze czekałem na nią...

(Światło gaśnie na twarzy Edwarda i pada na twarz Anny)

ANNA: Edward dokucza mi często. Jego odezwania nie są złośliwe, ale

:anią najbardziej. Gdyby ze mną rozmawiał o mnie, stałabym się na pewno .epsza. Wywiera silne wrażenie na wszystkich, którzy go spotykają. Jest bardzo odmienny od swego otoczenia i dlatego ludzie przebywają z nim raczej niechętnie, chociaż udają, że jest inaczej. Brak przeciętności razi na ogół bardziej niż brak wykształcenia.

Zdaje się, że Edward mnie lubi, że mnie rozumie. Jednak ukrywa to przede mną. Piotra traktuje pobłażliwie nawet wtedy, gdy go lekceważy. Natomiast Piotr nie znosi Edwarda z powodu odmiennych poglądów politycznych. W dyskusjach na ten temat nie zajmuję nigdy żadnego stanowiska, te sprawy są mi obce.

(Światło gaśnie na twarzy Anny i pada na twarz Piotra, który leżąc na tapczanie podparł policzek pięścią)

PIOTR: Dom nudzi mnie w takim samym stopniu jak wykłady. Matka ubiera się tylko po to, żeby pójść do kawiarni, ojciec przebywa stale poza domem. Anna — albo jest w szkole dramatycznej, albo dostaje ataków melancholii. Edward oddala się od nas coraz bardziej, mówi zbyt często o wojnie, której prawdopodobnie nie będzie. Niemców boi się bardziej niż bolszewików, jakkolwiek ci drudzy są nietaktowni i barbarzyńscy, chociażby z tego powodu, że nie uznają aryjskich przywilejów rasowych i że nie mają zupełnie szacunku dla naszego dziedzicznego prawa rządzenia motłochem. Zastanawiające jest, że Edward chamieje nie pod wpływem złego towarzystwa, ale dzięki książkom, jakie czyta. Ja zachowałem zdrowy pogląd na świat, poczucie rzeczywistości nie opuszczało mnie nigdy.

(Światło pada z kolei na twarz Janiny stojącej w drzwiach)

JANINA: Jedyny kłopot mam z mężem. Siedzi miesiącami w Warszawie, nie pisze listów, a jeżeli już napisze, to tłumaczy, że ma zbyt wiele zajęć w ministerstwie i nie może zajmować się moją duszą. Ostatecznie z tą duszą ma rację, najważniejsze, że przesyła regularnie pieniądze. Myślę często o mężu, kiedy patrzę na Piotra. Są podobni jak dwie krople wody. Edward i Anna także są mili, nie martwią się światem i dlatego ja z nimi nie mam zmartwień. Trochę niepokoju wniósł ostatnio do domu Edward, kłóci się często z Piotrem i wygłasza jakieś rewolucyjne teorie. Ale młody jest jeszcze i przejdzie mu to wszystko.

Znałam dobrze pana Dmowskiego, pisał jakieś książki i musiał podobno za swoje poglądy siedzieć za granicą. Dziwię się, że taki sympatyczny i poważny człowiek mógł sądzić, że naprawi świat. Życie trzeba ułożyć sobie wygodnie, trzeba siedzieć tam, gdzie Bóg posadził.

(Gaśnie światło na twarzy Janiny. — Równocześnie zapalają się światła na scenie. Janina wróciła z kawiarni. — Za oknem mrok)

JANINA: Edek, gdybyś słyszał, co pani majorowa mówiła o rewolucji w Rosji, na pewno przestałbyś opowiadać w domu takie bzdury!

EDWARD: Wiem, o czym pani majorowa mówiła. Jej mąż był u Denikina.

JANINA: Cóż to za Denikin? Czy to ten sławny reżyser?

EDWARD: Nie. To był aktor. Marionetka — mamusiu.

ANNA: Edek, przestań dokuczać matce. Denikin walczył w czasie rewolucji z bolszewikami — a tu masz list od ojca.

JANINA: Co ojciec pisze?

ANNA: Że wyśle jutro pieniądze. Pyta się o twoje zdrowie i jak my się sprawujemy.

JANINA: Jeżeli przysyła pieniądze, nie musi się pytać o zdrowie. Choruje się tylko z niedostatku.

ANNA: Właśnie choruję na to.

JANINA: Na co?

ANNA: Musisz mi kupić ten beżowy kostium.

JANINA: Chyba na drugi miesiąc, kochanie, bo obiecałam Piotrowi zegarek. I czoła nie marszcz.

PIOTR *(leży na tapczanie odwrócony tyłem do rodziny)*: Która godzina?

EDWARD: Siódma.

PIOTR: Umówiłem się na szóstą. Ale siedzieliście tak cicho, że zaspałem. Czy naprawdę nie mieliście o czym mówić?

ANNA: Nie gniewaj się na mnie za to, że nie przykryłam cię kocykiem.

EDWARD: I za to, *(ironicznie)* że nie zdjąłem ci butów wtedy, kiedy zasypiałeś. Czy pomóc ci wstać? Przecież spieszysz się.

PIOTR: Rozrzewniacie mnie. *(do Edwarda)* Zapalisz? *(wyjmuje z papierośnicy papierosa i sam zapala. Wstaje, przeciąga się. Do Anki)* Czy jest w łazience ciepła woda?

ANNA: Będzie dopiero o ósmej. *(złośliwie)* Ale gdyby dozorca wiedział, że ty chcesz się myć o siódmej, zapaliłby pod kotłami o godzinę wcześniej.

PIOTR: Nie zdążyłem go uprzedzić. *(wychodzi)*

JANINA *(przebiera się za otwartymi drzwiami szafy — wychodzi stamtąd ubrana w kloszowy, barwny szlafrok. Mówi do wychodzącego Piotra)*: Piotruś, czy będziesz na kolacji?

PIOTR: Tak, ale zdaje się, że w Bagateli.

JANINA: Tylko nie wracaj późno.

PIOTR: Wrócę wcześniej niż Anna. *(wychodzi z pokoju)*

ANNA *(do Edwarda, który przerzuca kartki książki)*: Edek, chciałeś z matką rozmawiać.

JANINA: Właśnie.

ANNA: Odłóż książkę, odpowiedz. Przecież mówię do ciebie!

EDWARD *(odkłada niechętnie książkę)*: Słucham.

ANNA: Chciałeś z matką rozmawiać o mnie. Czy mogę być obecna przy rozmowie?

EDWARD: Będziemy rozmawiać po kolacji. Matka, gdy jest głodna, jest również mało uczuciowa.

JANINA: Słusznie. Nie lubię wzruszeń przed kolacją. To powoduje złe trawienie. Czy Hanka jest w kuchni?

ANNA: Wiesz, że nigdzie nie wychodzi. Boi się ciebie jak ognia.

JANINA: Tak powinno być. Tę swołocz trzeba krótko trzymać. *(pociąga kilkakrotnie nosem)* Zdaje się, że mleko przypaliła. *(wychodzi)*

ANNA: Niecierpliwiłam się, ponieważ muszę zaraz wyjść. Chciałam, żebyś w mojej obecności zaczął rozmowę.

EDWARD: Z tobą będę rozmawiać inaczej. Żałuję, że dotychczas nie znaleźliśmy okazji do mówienia ze sobą jakimś ludzkim językiem... Powiem ci prawdę, Anko. Jesteś jedyną osobą z naszego sławetnego rodu, na którą liczę. Z ciebie może jeszcze coś być. Tylko nie daj się wciągać w to wszystko, nie kręć się wraz z nimi na naszej rodowej karuzeli...

ANNA: Kręcę się, Edwardzie, kręcę — jestem przerażona, że głowa mnie coraz mniej boli mimo tego kręcenia się. Zatrzymaj karuzelę, każ mi wysiąść, ty potrafisz.

EDWARD: Nie wiem. Wysiadłem, jestem obok, ale jak urzeczony patrzę na to, co było. Powinienem rzucić dom — wyjść na ulicę, do ludzi — pracować jak oni. Czy nie widzisz mojej słabości?

ANNA: Myślę, że z takiej słabości możesz być dumny.

EDWARD: Nienawidzę jej.

ANNA: Nieprawda. Jeżeli chcesz, możesz być silny.

EDWARD: Kiedy spotykam tych ludzi z fabryk — podziwiam ich wiarę. Ale kiedy zaczynają mówić o przemianie, kiedy mówią z taką nienawiścią o rządzie, o właścicielach fabryk i majątków, wtedy zdaje mi się, że widzę krew na ich rękach i wtedy boję się wraz z nimi powiedzieć: NIE. I nie rozumiem, że ta krew jest potrzebna, że będą potrzebne więzienia, że ci prymitywni ludzie będą mówić kiedyś o sztuce i kulturze, oni, którzy nic o niej nie wiedzą.

ANNA: Wtedy, kiedyś ty się dowiadywał, kiedy czytałeś Dantego i kiedy milczałeś w Luwrze przed rzeźbą lub obrazem, wtedy oni musieli pracować, a tatuś brał część ich zarobku i wysyłał Edzia do Francji na studia i do Luwru, a Annę na Riwierę.

Taki jest porządek świata; jedni muszą pracować na drugich, głupsi na mądrzejszych, słabsi na silnych. Nie dziwiłabym się jakiemuś biedakowi, gdyby myślał tak, jak ty mówiłeś przed chwilą. Ale ty? Niczego nie zyskujesz, a tracisz wszystko.

EDWARD *(zamyślony, zapala papierosa, chodzi po pokoju)*: W tym wypadku warto stracić wszystko. Czy sądzisz, że to „wszystko" jest dużo warte? Czy nie możesz zrozumieć, że mam nieczyste sumienie? Że nie chcę być współodpowiedzialnym za to, co się dzieje?

ANNA: Czy ty spotykasz się z Ryśkiem?

EDWARD: Nie. Dlaczego pytasz o to?

ANNA: On mówił tak samo. Myślałam, że doszliście do tego wspólnie.

EDWARD: Niestety, nie wspólnie. Wielu ludzi dochodzi do tego samego, ale naszym przekleństwem jest fakt, że robimy to osobno, każdy na własną rękę. Ostatecznie kończy się taki bunt na rozważaniach filozoficznych lub na rozmowie z siostrą...

ANNA: Może powiesz, że jestem głupia, ale mnie się wydaje, że ty jesteś przepołowiony. Jedni każą ci walczyć — a drudzy każą kochać bliźniego. Jedną połowę wychował w szkole ksiądz katecheta, a drugą... ten, co tę książkę napisał — pokaż — *(nachyla się nad książką, czyta)* Engels.

EDWARD: Być może, że masz rację. Powiedz mi jeszcze, czy ty nie myślałaś nigdy o tych sprawach?

ANNA: Chcę byś dobrą aktorką. Reszta mnie nie obchodzi.

EDWARD: Chcesz być aktorką. Ale dla kogo?

ANNA: No — w teatrze...

EDWARD: Dla kogo chcesz grać?

ANNA: Nie rozumiem ciebie... przecież gra się dla widzów.

EDWARD: Dla tych, którzy mają pieniądze. Jest ich bardzo mało. Czy nie masz większych ambicji? Czy nie chciałabyś grać w jakimś ogromnym teatrze dla wszystkich ludzi? Czy nie chcesz być tak oklaskiwana, jak lud grecki oklaskiwał swoich aktorów?

ANNA: Nie myślałam nigdy o tym... Mówisz o dziwnych rzeczach. Czy aktorowi nie jest obojętne, dla kogo gra?

EDWARD: Wielkiemu aktorowi na pewno nie. Sztuka musi się stać własnością wszystkich ludzi.

ANNA: Sztuka należy do tych, którzy ją stworzyli.

EDWARD: Mylisz się. Stworzono ją dla wszystkich. Ale sztukę kupili dla siebie uprzywilejowani za pieniądze upośledzonej części ludzkości. Czy sądzisz, że rodzice naszej służącej Hanki mają w domu obraz jakiegoś dobrego malarza? Na pewno nie. Powiesili na ścianie prymitywnie malowaną odpustową Matkę Boską. A u nas w jadalni wisi Picasso.

ANNA: Denerwuje matkę, która nie rozumie tego obrazu.

EDWARD: Co jej nie przeszkadza pokazywać go z dumą wszystkim znajomym.

ANNA: Matka jest już taka.

EDWARD: Reprezentuje godnie naszą klasę.

ANNA: A co ty robisz?

EDWARD: Opowiadam ci o pięknych rzeczach, o które nie umiem walczyć.

ANNA: Brak konsekwencji odbiera ci prawo do mówienia o tych sprawach... Przyznam się, że nie obchodzi mnie to wszystko. Ale gdybyś walczył o to, co teoretycznie uważasz za prawdę — wtedy bym cię podziwiała.

EDWARD: Ja również podziwiałbym siebie. *(podchodzi do radia i przekręca wyłącznik. Płynna, spokojna melodia)*

ANNA *(patrzy na zegarek)*: Muszę już iść, Edek. Dziękuję ci, że mówiłeś ze mną tak szczerze.

EDWARD: I ja ci dziękuję. Czy wychodzisz na długo?

ANNA: Nie wiem...

EDWARD: Czy możesz mi powiedzieć, z kim spotykasz się obecnie?

ANNA: Naturalnie.

EDWARD: Więc?

ANNA: Z Ryszardem.
EDWARD: To porządny chłopak. Słyszałem o nim dużo.
ANNA: Razi mnie trochę jego szorstkość... Jest taki pewny siebie, nieustępliwy...
EDWARD: Czy jesteś jego kochanką?
ANNA: Dlaczego pytasz o to?
EDWARD: Przypuszczałem, że mi powiesz.
ANNA: Chyba nie jesteś zazdrosny?
EDWARD: Jestem.
ANNA: Edek!
EDWARD: Zdaje się, że nie zrozumiałaś mnie. Sprawa jest bardziej prosta, ale i bardziej trudna. Nie mam nikogo — i nikogo oprócz ciebie nie kocham... Czuję się źle, kiedy ciebie nie ma. Jest mi bardzo smutno, kiedy odchodzisz.

(Gasną światła)

(Na scenie w dekoracji środkowej jest wmontowane w odległości pół metra od poziomu sceny cienkie płótno wysokości i szerokości dwóch i pół metra, malowane w deseń całej dekoracji. Kiedy gaśnie światło na scenie, zapalają się ostre światła poza kwadratem płótna. Widać wyraźnie sylwetkę Ryszarda)
RYSZARD: Czuję się źle, kiedy ciebie nie ma. Jest mi bardzo smutno, kiedy odchodzisz ode mnie, Anno. I czuję się jak obdarowane dziecko wtedy, kiedy przychodzisz. Nie wyobrażam sobie życia bez ciebie. Już nie wystarcza mi powietrze, umiem oddychać tylko tobą. Wszystkie kobiety, które znałem przedtem, były tylko krótką przygodą, zapomnieniem, ucieczką. I chociaż kochałem każdą z nich i nie okłamałem żadnej, w tobie jednej kocham wszystkie poprzednie kobiety i kocham w tobie to, czego żadna z nich nie miała. Jesteś mi potrzebna jak powietrze, jak ogień, jak woda, jak ziemia. Jesteś walką i jesteś także spokojem i ciszą. Dzięki tobie mogę każdego dnia prowadzić wojnę o słońce dla wszystkich dzieci. Dlatego zostanę z tobą. I dlatego czekam tak uparcie na ciebie, jak gdybyś była zbawieniem moim i zbawieniem świata. Dlatego czekam, Anno!
ANNA *(wychodzi w międzyczasie z pokoju. Widać jej sylwetkę na ekranie — podaje dłoń na długość ramienia Ryszardowi — odchodzą trzymając się za ręce i znikają w mroku)*

(Gaśnie ekran — światło na scenie)

EDWARD *(rozwiązuje z trudnością krawat, zdejmuje go i wiesza na poręczy krzesła. Wyłącza radio)*
JANINA *(wchodzi — niesie tackę z kilkoma talerzykami, wędliny, ser, otwarte pudełko sardynek, kromki białego chleba. Ustawia na stole)*
EDWARD: Czemu Hanka nie podaje?
JANINA: U majorowej jest dzisiaj przyjęcie. Posłałam Hankę, żeby pomogła podawać do stołu. *(ustawia na stole talerzyki)*
EDWARD: Z jakiej okazji te ciągłe przyjęcia?
JANINA: Majorowa urządza je każdego tygodnia. Gdybyś nie był takim

mrukiem, ja także zaprosiłabym trochę znajomych. Ale cóż — moich dzieci nie ma nigdy w domu. *(wzdycha, zabiera tacę i wychodzi)*

EDWARD *(rozpina kołnierz koszuli, podchodzi do okna, patrzy na ulicę)*

JANINA *(wchodzi, wnosi na tacy dwa dzbanki porcelanowe, filiżanki i zastawę, ustawia na stole)*: Siadaj, Edziu, kawa stygnie.

EDWARD *(zasuwa firanki, podchodzi do stołu, nalewa do stojącej przed Janiną filiżanki kawę i z mniejszego dzbanka mleko)*: Cukier?

JANINA: Nie drocz się. Wiesz o tym, że piję zawsze bez cukru.

EDWARD: Przepraszam cię. Zapomniałem o tym. *(siada, podaje matce talerz z chlebem i wędlinami, potem sam bierze)* Smacznego.

JANINA: Smacznego.

EDWARD: Czy idziesz do majorowej?

JANINA: Inne dzieci cieszą się, kiedy matka zostaje w domu, a ty wysyłasz mnie do majorowej!

EDWARD: Nie podsuwaj mi tego, o czym nie mówiłem. Pytałem tylko.

JANINA: Jesteś rozdrażniony. Nie powiedziałeś mi nawet smacznego.

EDWARD: Powiedziałem.

JANINA: W takim razie przepraszam. Widocznie nie dosłyszałam.

EDWARD: Nalać ci jeszcze kawy?

JANINA: Dziękuję ci. Mam swoje ręce. Potrafię sama.

EDWARD: Jesteś rozdrażniona.

JANINA: Matce zawsze wolno. *(jedzą w milczeniu. Po chwili)* Chciałeś mówić o Ance.

EDWARD: Jesteś w takim nastroju, że nie mogę z tobą rozmawiać poważnie.

JANINA: Już mi przeszło. *(wyjmuje z kieszeni szlafroka lusterko i patrzy na odbicie twarzy)* Zobacz, zjadłam całą szminkę.

EDWARD: Czy mam ci powiedzieć smacznego?

JANINA: Jesteś niegrzeczny.

EDWARD: Nie rozumiem, dlaczego malujesz usta przed kolacją. Jesteś moją matką i dlatego takie śmieszności irytują mnie.

JANINA: Kobieta w moim wieku musi dbać o siebie.

EDWARD: Zjadanie kredki do ust na pewno nie należy do dbania o siebie.

JANINA: Nalej mi kawy, Edziu.

EDWARD: Proszę cię bardzo. *(nalewa kawę, potem mleko)*

JANINA: Za dużo mleka.

EDWARD: Będziesz lepiej spać.

JANINA: Bez tego śpię także dobrze. Ale ty powinieneś bardziej dbać o siebie. Czytasz całymi nocami.

EDWARD: Mieliśmy mówić o Annie.

JANINA: Anna także źle sypia. Jest za bardzo sentymentalna. Wczoraj w nocy, kiedy przechodziłam do łazienki, Anna stała w oknie. Skrzyczałam ją.

EDWARD: Zakochanym wybacza się takie rzeczy.

JANINA: Nie podejrzewasz mnie chyba o to, że ja nie byłam kiedyś zakochana? Znam dobrze to uczucie. Ale nigdy nie stałam w oknie. I to w nocy!

EDWARD: Szkoda.

JANINA: Twój ojciec też był taki jak ja. Robił karierę. Nie miał czasu na głupstwa. Kiedy ukończył studia, przyszedł z kwiatami do mojej matki, wypił kieliszek razem z nią i zapytał — niby niechcąco — o posag. I po wszystkim. Tego rodzaju sprawy powinno się załatwiać zupełnie prosto. Bez stania w oknie.

EDWARD: I bez miłości. Czyli umowa społeczna najmniejszej komórki, jaką stanowi w życiu narodu rodzina. Raczej umowa handlowa.

JANINA: Przecież kochałam twego ojca.

EDWARD: Czy ojciec ciebie także kochał?

JANINA: Dziwne pytanie.

EDWARD: Na przykład: czy ojciec całował cię przed ślubem?

JANINA: Tak... nawet przy rodzicach. Twój ojciec był porządnym człowiekiem.

EDWARD: I dlatego pracuje w ministerstwie.

JANINA: Widzisz.

EDWARD: Widzę, że nie możemy jakoś zacząć o Ance...

JANINA: Anka jest podobna do mnie. Jeszcze kilka lat i stanie się taka jak ja: zrównoważona i trzeźwa. Dla kobiety to jest nieodzowne. Ty nie wiesz o tym, że twój ojciec zdradził mnie w kilka tygodni po ślubie. Dowiedziałam się, ale nie robiłam mu żadnych scen. Nie chciałam psuć jego kariery. Żony wielkich ludzi muszą być wyrozumiałe, nawet w wypadku zdrady małżeńskiej.

EDWARD: To bardzo ładnie ze strony żon wielkich ludzi. Ale dlaczego wielcy mężowie robią takie małe rzeczy?

JANINA: Jesteś jeszcze młody, Edziu, i nie rozumiesz tego. Inteligentnemu mężczyźnie nie wystarcza jedna kobieta, męczy go szybko.

EDWARD: Więc po co inteligentni mężczyźni żenią się?

JANINA: Kawaler nie jest dobrze widziany przez władze, jeżeli poświęca się karierze politycznej. Powinien mieć koniecznie żonę, to świadczy o jego solidności.

EDWARD: Z tego wynika, że ty padłaś ofiarą solidności mego ojca wobec ministerstwa. Byłaś tylko pozorem.

JANINA: Pozory często mylą. Nie narzekam i jest mi z tym dobrze. A co do tych spraw, o które pytałeś, to przyznam ci się otwarcie, że pociągały mnie wtedy, kiedy byłam jeszcze panną. Później już nie. Nie przywiązywałam do tego żadnej wagi. W wyniku tych historii urodziłam troje dzieci i mam czyste sumienie wobec męża, wobec was i wobec ojczyzny.

EDWARD: A w wyniku obojętności wobec mężczyzn należy stwierdzić, że moja matka jest jeszcze nierozbudzona. Inne kobiety przywiązują ogromną wagę do tych spraw. Wiesz chyba, ile małżeństw rozwodzi się właśnie z tych przyczyn.

JANINA: Jesteśmy ludźmi, a nie zwierzętami. Niezdrowe namiętności przy-

padają do gustu motłochowi, a nie nam. Bardzo ci się dziwię, Edziu, że myślisz w ten sposób, chociaż jesteś moim synem.

EDWARD: Czuję w ten sposób. Wyobrażam sobie miłość nie tak, jak ty przeżyłaś ją z ojcem.

JANINA: Przejdzie ci to.

EDWARD: Miejmy nadzieję, że stanie się inaczej niż sądzisz. Wróćmy jednak do Anny.

JANINA: Czy chcesz coś ważnego powiedzieć na jej temat?

EDWARD: Tak. Chciałbym, żebyś Anną zainteresowała się bardziej...

(Dzwonek telefonu w przyległym pokoju)

JANINA: Odbierz telefon, Edziu.

EDWARD *(wstaje, przechodzi do przyległego pokoju)*

JANINA *(siedząc zbiera ze stołu nakrycie i układa na tacce. Ruchy ma ociężałe: jest zmęczona rozmową z gatunku tych, jakie między matką i synem zdarzają się nader rzadko. Woła dość głośno)*: Kto dzwoni?

EDWARD *(odpowiada z bocznego pokoju)*: Pani majorowa!

JANINA: Zapytaj, czy Hanka przyszła już do nich...

EDWARD *(wchodzi do pokoju)*: Kazała ci podziękować za przysłanie Hanki i pyta, czy przyjdziesz. Są u niej znajomi ojca. Może chcesz z nią mówić?

JANINA: Wolę, żebyś ty. Boję się, że zacznie mnie pół godziny nudzić. Wiesz co... powiedz jej... że mam migrenę.

EDWARD: Dobrze. *(wychodzi)*

JANINA *(wyjmuje z kieszeni szlafroka lusterko — podnosi w górę głowę i palcem ściąga lekko jedną, potem drugą dolną powiekę na dół, bacznie przyglądając się odbiciu w lusterku. Potem zwilża śliną palec wskazujący i kilkakrotnie przesuwa nim koliście po rzęsach górnej powieki. Woła w stronę otwartych drzwi)*: No i co, Edziu? *(teraz rozwiera szeroko wargi i patrzy uważnie na odbicie zaciśniętych zębów w lusterku. Paznokciem dotyka szczelin między zębami, wykrzywiając przy tym komicznie twarz)*

EDWARD *(wchodzi)*

JANINA *(pośpiesznie chowa lusterko do kieszeni)*: Co majorowa powiedziała?

EDWARD: Nie wiem.

JANINA: Jak to? Przecież rozmawiałeś z nią tak długo!

EDWARD: Tylko ona mówiła. Ja trzymałem słuchawkę w sporej odległości od ucha. *(pokazuje)*

JANINA: Na pewno się obrazi! W jaki sposób mogłeś jej odpowiadać?

EDWARD: Wiem, że majorowa należy do kobiet żądających w rozmowie tylko potwierdzenia swoich własnych słów. W chwili kiedy w słuchawce kończył się szum — mówiłem do tuby: No tak, pani majorowo, słusznie, pani majorowo, ma pani zupełną rację, pani majorowo — albo: dobrze pani to powiedziała, pani majorowo.

JANINA: I nie słuchałeś, co ona potem mówiła?

EDWARD: Nie. W każdym razie jest przekonana, że ja jestem bardzo miły, bardzo mądry i bardzo dobrze wychowany. Możesz być dumna ze mnie, mamusiu.

JANINA: O niczym takim jeszcze nie słyszałam. Jesteś dziwny chłopak.

EDWARD: Przede wszystkim rozsądny. Gdybym słuchał tyrady pani majorowej, musiałbym zaprzeczać jej każdemu zdaniu. Mniejsza o to, zacznijmy wreszcie mówić o Ance!

JANINA: Tak. Chciałeś ze mną mówić o niej.

PIOTR *(wchodzi z lewej strony)*: Dobry wieczór.

JANINA: Nareszcie przyszedłeś. Czy zjesz kolację?

PIOTR: Nie mam apetytu.

JANINA: Jesteś może chory?

PIOTR: Jadłem już kolację. *(przechodzi do następnego pokoju)*

JANINA: No cóż, Edziu? Czemu tak łamiesz zapałki?

EDWARD *(rzuca kilka połamanych zapałek na talerzyk)*: Trudno. Nie będziemy mówić o Ance. Zresztą powiem ci prawdę: Ance ta rozmowa na pewno nie pomoże. Nie masz już na nią wpływu, straciłaś kontakt, jaki każda matka musi utrzymywać z dorosłą córką i jakiego prawie żadna nie utrzymuje.

JANINA: Przecież kupuję jej wszystko, dbam o nią, rozmawiam...

EDWARD: Ale w tym nie ma serdeczności, nie ma ciepła.

JANINA: Dzieci nie wychowuje się w cieplarni. Ciekawa jestem, czy moje dzieci mają dużo serdeczności w stosunku do mnie?

EDWARD: Mamy na pewno. Tylko, widzisz, rodzina nasza jest rozbita, każdy z nas chadza własnymi drogami. To się nazywa rozkładem rodziny mieszczańskiej. A to wszystko, co się rozkłada, nie ma zbyt miłego zapachu. Dlatego dusimy się trochę, w każdym razie krztusimy.

PIOTR *(wchodzi, wyciera ręcznikiem ręce. Ręcznik wiesza na poręczy krzesła)*: Nie opowiadaj matce tych marksistowskich mądrości. Nie zmuszaj jej do myślenia. Do tego kobiet zmuszać nie wolno, tym bardziej własnej matki.

JANINA: Nie wtrącaj się, Piotruś, lubię, kiedy Edzio mówi...

PIOTR *(z belferskim zacięciem, przesadnie, przechadzając się z założonymi do tyłu rękoma)*: Pozwól, matko, że wytłumaczę ci to zwięźlej i przejrzyście. Żyjemy w epoce, w której wszyscy członkowie rodzin takich jak nasza uważają dom rodzinny za hotel, za luksusowy, dobrze urządzony hotel. Weźmy na przykład ciebie pod uwagę. Śniadanie jesz w łóżku, wstajesz bardzo późno, jesz obiad przyrządzony w kuchni w tajemniczy dla ciebie sposób. Potem dwie godziny siedzisz przed lustrem i wychodzisz do kawiarni. Wracasz z kawiarni i znowu kładziesz się do łóżka.

Weźmy drugi przykład *(zatrzymuje się przed Edwardem, chrząka)*: Edward wychodzi z hotelu niechętnie. Tutaj ma książki, ogrzany pokój i bieżącą wodę w umywalni, ciepłą i zimną, do wyboru. Według filozofii Edwarda świat jest pełen sprzeczności, jest także zimny i okrutny. A Edward nie ma takiego futra,

które nawet w sierpniu ochroniłoby go przed zimnem świata. Edward boi się tego, co uważa za prawdę, bo ta prawda wymaga wielkich ofiar.

Edward kocha swoje życie, ponieważ nie wierząc w Boga, nie wierzy również w świat pozagrobowy i wie dobrze o tym, że ma tylko swoje jedno jedyne życie ziemskie do dyspozycji. Edward nie chce swego życia ofiarować historii. Z drugiej strony nie chce rozstać się ze swoją ideologią, która nakazuje mu to uczynić. Dlatego Edward uciekł przed światem do naszego hotelu, dlatego rozpacza, że hotel ten nie jest domem i dlatego on jeden stanowi w naszych sferach wyjątek, on jeden zachowuje się pozornie tak, jak gdyby nasz hotel był domem. Edwarda można oskarżyć w związku z jego poglądami o to, że nie płaci hotelowych rachunków naszej klasie, która pozwala mu mieszkać w tak pięknie urządonym i wyposażonym we wszelkie wygody hotelu. *(przerywa, przechadza się po pokoju. Mówi do Janiny, która — zaskoczona przydługą mową — otworzyła ze zdziwienia usta)*: Mamusiu, otworzyłaś zupełnie niepotrzebnie usta. Tak. Przejdźmy z kolei do Anny.

JANINA *(dotyka palcami — jakby sprawdzając — rozwartych ust. Jest speszona)*: Wypraszam sobie, Piotrze!

EDWARD: Co opowiesz o Ance?

PIOTR: Nic. Wytrąciliście mnie z nastroju. Proszę ogłosić, że za tydzień, o godzinie dwudziestej trzeciej dwadzieścia, będę przemawiać znowu. *(częstuje papierosem Edwarda)*

JANINA: Co ty na to, Edziu? Bo ja niewiele zrozumiałam. *(zaczyna dłubać wykałaczką w zębach)*

EDWARD *(wstaje i ugrzecznionym ruchem wskazuje swoje krzesło Piotrowi)*: Ja będę przemawiać dzisiaj. Uważaj dobrze, matko — zaczynamy od Piotra. *(naśladuje mentorski ton Piotra)* Piotr mieszkał również w hotelu — i w tym nic dziwnego nie znajduję. Zastanawiał mnie jednak fakt, że Piotr się z tym pogodził i że nie tęskni nigdy do tego, ażeby mieszkać w domu.

Działo się tak dlatego, ponieważ Piotr nikogo nie kochał, a dom jest miejscem, w którym trzeba kogoś kochać. Piotr wyobrażał sobie, że świat należy urządzić na wzór zoologicznego ogrodu: poustawiać ogromne klatki oznaczone nazwami zamkniętych w nich gatunków ludzi. W tej klatce Polacy *(pokazuje dłonią)* — w tej Rosjanie — w tej Żydzi — a w tamtej Francuzi.

Zdaniem Piotra gatunki zamkniętych ludzi powinny szczerzyć do siebie zęby i nienawidzić się nawzajem. *(wprost do Piotra, nerwowo)* Świat nie jest ogrodem dzikich zwierząt, Piotrze! *(po chwili, spokojnie)* Piotr pochwalał niewolnictwo pracy, wierzył naiwnie w wyższość aryjskiej rasy i przyznawał prawo do rządzenia państwem garstce ludzi nie mających nic wspólnego z interesami większości narodu.

Piotr wierzył w biologiczną konieczność wojen i w prawo silniejszego do panowania nad światem. Piotr zapomniał, że prawo pięści i kłów jest prawem dżungli. Instynkt wodzostwa uczynił go Tarzanem, bezmyślnym przywódcą małej grupki małp bełkocących o panowaniu nad światem.

Skończyłem. Następny wykład nie odbędzie się za tydzień o godzinie dwudziestej trzydzieści z powodu braku uznania dla mówcy.

PIOTR *(klaszcze)*: Brawo! Brawo! Czy słyszysz wycie tłumów?

EDWARD *(w ukłonie)*: Dziękuję *(podnosi jak bokser zamknięte dłonie do góry i potrząsa nimi)*

PIOTR *(spokojnie)*: Pytałeś mnie o Ankę. Otóż widziałem, jak wchodziła z Ryśkiem do teatru.

EDWARD: Spędza czas pożyteczniej niż ty.

PIOTR: No tak — bo ty czytasz książki, a ona chodzi do teatru. Tylko ja jestem upośledzony. Jak mnie nazwałeś? Tarzanem. *(przykłada obie dłonie do ust i wydaje dziki, przeciągły okrzyk)*

JANINA *(drgnęła, krzyczy)*: Co ty wyprawiasz?! Jak się zachowujesz w domu?!

PIOTR: Boisz się, że zbudzę Hankę?

JANINA *(spokojnie informuje)*: Hanki jeszcze nie ma. Poszła pomóc majorowej.

PIOTR: Zobaczysz, że majorowa odbije ci kiedyś tego garnkotłuka.

JANINA: Co zrobi?

PIOTR: Obieca jej wyższą pensję i wychodne raz na tydzień.

JANINA: Ja bym jej wtedy pokazała!

EDWARD *(udając zgorszonego)*: Majorowej?

PIOTR: Skądże majorowej? Mamusia pokazałaby Hance.

JANINA: Pewnie że Hance! Niech tylko wróci do domu. Porozmawiam z nią jak należy!

EDWARD: Słusznie, bardzo słusznie. Niech Hanka cierpi za majorową.

JANINA: Ale kto ci powiedział, że majorowa ją namówiła?

PIOTR: Nikt mi nie mówił. Przypuszczam tylko, że tak może się stać.

JANINA: E — nie zawracaj mi głowy. Hanka ubóstwia Ankę i nie odejdzie od nas.

PIOTR: Dlaczego Anki jeszcze nie ma?

JANINA: A dokąd poszła?

EDWARD: Piotr widział, jak wchodziła do teatru.

JANINA: Sama?

PIOTR: Z Ryszardem.

JANINA: Czy tulili się do siebie?

PIOTR: Och, gdyby mamusia widziała, jak bardzo! Sam byłem podniecony.

JANINA: Nie mów świństw w domu. Do tego masz kolegów. Czy przedstawienie w teatrze już się skończyło?

PIOTR: Od godziny.

JANINA: Dokąd mogli pójść?

PIOTR: Nie wiem, dokąd chodzą zakochani.

JANINA: Czy Ryszard ma garsonierę?

EDWARD *(deklamuje)*: „Ryszard na pewno nie ma garsoniery, bo nie należy do naszej sfery"... Możesz mu zaufać.

PIOTR: Radziłbym, żebyś uważała na Ankę. Ostatnio źle wygląda.

JANINA: Zawsze jej powtarzam, żeby nie marszczyła czoła. A ty nie pleć głupstw. Jak nie zajdzie w ciążę, to wszystko w porządku.

EDWARD: Czy cytujesz któregoś z ewangelistów?

PIOTR: Propaganda antyreligijna nie jest u nas mile widziana. *(do matki)* Zwróć Edkowi uwagę, żeby był bardziej lojalnym obywatelem.

EDWARD: W kuchni jest zaparzona kawa. Idź, napij się, będziesz jeszcze bardziej podniecony.

JANINA *(wstaje, ziewa)*: Ze stołu Hanka zbierze, jak przyjdzie. Dobranoc, dzieci.

EDWARD i PIOTR *(razem)*: Dobranoc, mamo.

PIOTR *(podchodzi do Edwarda)*: Dobranoc, Edek.

EDWARD: Dobrej nocy. Nie gniewaj się na mnie za to kazanie.

PIOTR: O, już zapomniałem, o czym mówiłeś.

EDWARD: Ja nie mogę zapomnieć o twoich słowach.

PIOTR: Czujesz żal do mnie?

EDWARD: Miałeś dużo słuszności.

PIOTR: Ty również.

EDWARD: Więc dlaczego nie możemy się porozumieć? Dlaczego pewnych oczywistych rzeczy nie możemy uzgodnić?

PIOTR: Bo ja będę bronić odziedziczonych przywilejów bez względu na to, czy mam rację, czy nie. I chociaż ty masz rację, ja nie oddam robotnikom naszej fabryki, bo poczytanoby mnie za szaleńca. Czym płaciłbym za podróże, za wszystkie przyjemności życia, które zawsze można przeliczyć na pieniądze? Edek, nie uważaj mnie za idiotę, który rzuci w ogień akcje i dolary, który zrezygnuje ze stałego i pewnego dochodu! Przysięgam ci, że gdyby twój proletariat miał fabryki, także nie oddałby ich dobrowolnie!

EDWARD: A jeżeli zmuszą cię do pracy, jeżeli odbiorą ci przemocą to, co im się należy?

PIOTR: Wtedy będę się bronić. Być może, że przegram... Śpij dobrze, Ed. *(wychodzi)*.

EDWARD: Śpij dobrze. *(podchodzi w stronę gasnącej stopniowo lampy)*

(Światło gaśnie — równocześnie zapalają się boczne reflektory i oświetlają Edwarda na przodzie sceny)

EDWARD: Tego wieczoru czekałem znowu na Annę. Byłem niespokojny, rozdrażniony samotnością, która otaczała mnie coraz bardziej, coraz ciaśniejszym kręgiem. Byłem zaskoczony wygłoszoną przez Piotra oceną mojej osoby. Chodziłem przy zgaszonych światłach z kąta w kąt, pokój wydawał się ciasny, powietrze duszne. Czułem się w naszym domu jak człowiek skazany na banicję, oddalony bezpowrotnie od ojczyzny, obolały od nieokreślonej tęsknoty. Było już późno. Dęta orkiestra odegrała w głośniku radiowym hymn państwowy, speaker zamknął tę płytę i życzył uprzejmie paniom i panom dobrej nocy.

(Gasną boczne reflektory oświetlające Edwarda, równocześnie zapalają się światła umieszczone poza ekranem.

Na ekranie zbliżają się sylwetki Ryszarda i Anny, wypływają z mroku na oświetlone pole. Trzymają się za ręce. Kiedy podchodzą blisko do ekranu — Ryszard obejmuje Annę i całuje ją w usta tak, jak całują wszyscy zakochani. Z tego względu pocałunek trwa dłuższą chwilę, nawet w tym momencie, kiedy opada kurtyna — przerywając dzieje Edwarda i Anny i wszystkich pozostałych osób wymyślonych przeze mnie, nawet Hanki, która tak mało miejsca zajmowała w ich życiu i w życiu społecznym, że nie odważyłem się przedstawić jej na scenie)

Kurtyna

POŻAR LONDYNU

(WYJĄTEK Z „DZIENNIKA" SAMUELA PEPYSA)

„Dziennik" Samuela Pepysa, pisany szyfrem w latach 1660—1669, a odcyfrowany i wydany po raz pierwszy dopiero w 1825 roku, jest jednym z najznakomitszych utworów tego rodzaju. O jego trwałej wartości świadczą coraz nowe jego angielskie wydania, z których ostatnie, stanowiące wybór „popularny", ukazało się w roku ubiegłym (1947). Jako obraz ówczesnego społeczeństwa Anglii, a razem — wewnętrznych i prywatnych przeżyć autora, „Dziennik" jest prototypem wielkich powieści środowiskowych i psychologicznych XIX i początków XX wieku. Sam Pepys łączy w sobie klasycznie angielskie cechy mieszczanina, wytrawnego polityka, świetnego administratora i mistrza kompromisu. We wszystkim nadto urasta ponad przeciętność, a zmysł obserwacyjny, wielka wrażliwość na wszelkie przejawy życia, radość istnienia, upodobanie w sztukach pięknych (zwłaszcza w muzyce), poczucie społeczne i bujność życia osobistego — czynią z niego indywidualność zgoła niepospolitą. Co do jego znaczenia w życiu publicznym Anglii, to już Macaulay nazywa go „najzdolniejszym Sekretarzem Admiralicji Angielskiej w dziejach tego Urzędu". Arthur Bryant zaś, autor trzytomowej biografii Pepysa, w przedmowie do jej tegorocznego wydania powiada, że Marynarka Brytyjska, która przyczyniła się do zniweczenia potęgi Hitlera, jest po dziś dzień rządzona według zasad wypracowanych dla niej trzysta lat temu przez Samuela Pepysa. Nie od rzeczy będzie nadmienić, że Samuel Pepys pochodził ze starego, ale niskiego rodu małych dzierżawców rolnych i drobnych rzemieślników prowincjonalnych, a sam był synem krawca i słabo piśmiennej służącej. I że w ówczesnej Anglii nie on jeden bynajmniej był dygnitarzem ludowego pochodzenia. Wynik to m. in. rewolucji Cromweliańskiej, której republikańskich szkół, późniejszy rojalista, Samuel Pepys był wychowankiem.

Tematem niniejszego wyjątku z „Dziennika" jest pożar Londynu, jedna z wielkich klęsk, co wespół z wojną holenderską i głośną w świecie, a wspominaną także przez naszego Paska, zarazą — nawiedziły Anglię w latach 1666—1667.

M. D.

2. IX. 1666. Niedziela. Niektóre z naszych dziewek siedziały wczoraj do późna, by przygotować wszystko w domu na dzisiejsze święto i jedna z nich,

Jane, około trzeciej nad ranem nuże nas wołać, że wielki pożar widać w mieście. Tedy wstałem i oblekłszy się w nocny przyodziewek podszedłem do jej okna; i zdało mi się, że to gdzieś na tyłach ulicy Marke-Lane najdalej, a nie będąc zwyczajny takich pożarów, jakie się potem okazały, mniemałem, że to dosyć daleko; tedy wróciłem do łóżka i zasnąłem. Około siódmej wstałem, by się przystroić i wyjrzałem przez okno i zobaczyłem ogień mniejszy niż był przedtem i dalszy. Zaczem poszedłem do gabinetu, by uporządkować sprawy Urzędu, stosownie do wczorajszych instrukcyj. Ale wnet przyszła Jane i mówi mi, że słychać, jakoby 300 domów spłonęło tej nocy od pożaru, któryśmy byli widzieli; i że teraz pali się cała Fish-street aż do London-Bridge. Tedy zebrałem się natychmiast i poszedłem do Tower i tam wdrapałem się na najwyższe miejsce, a synek Sir J. Robinsona (komendanta Tower, przyp. tłum.) wlazł też ze mną; i stamtąd ujrzałem domy po tej stronie mostu, wszystkie w płomieniach i olbrzymi pożar z obu stron mostu. Tedy zeszedłem z sercem pełnym troski do komendanta Toweru, który powiedział mi, że pożar zaczął się nad ranem w domu królewskiego piekarza na Pudding-lane i że strawił już kościół św. Magnusa i większość ulicy Rybnej. Zeszedłem na wybrzeże i nająwszy łódkę popłynąłem do mostu i tam oglądałem to opłakane widowisko. Ogień posuwał się coraz dalej, tak że bardzo prędko, podczas kiedy tam byłem, dosięgnął Steel-yard. Wszyscy usiłowali ratować swoje dobro; biedni ludzie trzymali się domów aż póki nie zajęły się ogniem, a wtedy rzucali się do czółen albo tłoczyli się z jednych stopni wybrzeża na drugie. I biedne gołębie, którem widział jak, wzdragając się porzucić domy, krążyły koło balkonów i okien tak długo, aż popadały opaliwszy sobie skrzydła. Postawszy tak z godzinę i napatrzywszy się szalejącego ognia, i nie widząc dokoła nikogo, kto starałby się go ugasić, tylko wszystkich łapiących, co mieli dobra pod ręką i zostawiających resztę na pastwę pożaru, i widząc ogień już w Steel-yard i że wiatr bardzo silny przerzuca płomienie ku Śródmieściu, i że wszystko po tak długiej suszy okazuje się palne, nawet same kamienie kościołów, i widząc m. in. biedną dzwonnicę, koło której piękna pani ... (w oryginale zostawiono tu puste miejsce) mieszka i gdzie mój stary kolega szkolny Elborough jest plebanem, jak zajęła się od szczytu i wnet, objęta płomieniami, zawaliła się — pośpieszyłem do White Hall i tam do gabinetu Króla i zdałem wszystkim tam przytomnym sprawę o rzeczy i przeraziłem ich i zaraz posłano z tym do Króla. A zaś wnet byłem przed oblicze Króla wezwany i powiedziałem Królowi i Księciu Yorku (król Karol II Stuart, ks. Yorku, jego brat, Jakub, później król Jakub II, przyp. tłum.), com widział i że o ile Jego Królewska Mość nie rozkaże burzyć domów, to nic nie wstrzyma szerzenia się pożaru. Zdawali się być bardzo poruszeni i król rozkazał mi pójść do Lorda Mayora (tytuł burmistrza Londynu — był nim wówczas sir Tomasz Bludworth, przyp. tłum.) i nakazał mu imieniem Króla, żeby nie szczędził domów, tylko burzył je wszędzie, dokąd zbliża się pożar. Ks. Yorku kazał mu też oznajmić, że gdyby potrzebował więcej żołnierzy, on ich da; to samo rzekł mi potem lord Arlington.

Spotkawszy kapitana Cocke'a, w jego kolasce, którą mi wypożyczył,

i wziąwszy ze sobą Creeda — do św. Pawła i chodziłem tam wzdłuż Watling-street, a chodziłem jak mogłem, bo wszystko, co żyje, uciekało stamtąd obładowane rzeczami, które chcieli ocalić; a tu i ówdzie niesiono chorych w łóżkach. Nad podziw kosztowne rzeczy wieziono też na wozach i niesiono na plecach. Aż dopiero na Canning-street spotkałem Lorda Mayora, zgoła zamęczonego, z chustką do nosa na szyi. Na zlecenie królewskie wykrzyknął jak mdła niewiasta: — „Boże, co ja mogę zrobić? Umęczyłem się, a ludzie nie chcą mnie słuchać. Jam kazał burzyć domy, ale ogień chybko pomyka, nie możemy nadążyć!" Dodał, że nie trzeba mu więcej żołnierzy i że co do niego, to musi iść odpocząć, bo był na nogach całą noc. Zaczem rozstaliśmy się i poszedłem do domu, oglądając po drodze ludzi prawie oszalałych, a nigdzie na żaden sposób nie przedsiębrano żadnych środków dla przytłumienia pożaru. Domy też tu wszędzie gęsto tak stoją i pełno palnych materyj jako to smoły i dziegciu w ulicach nad Tamizą; i domy towarowe z olejami, z winem, gorzałką i innymi rzeczami. Było już koło dwunastej, tedy do domu, gdzie zastałem już zaproszonych na dzisiaj gości, którymi byli: pan Wood i jego żona, Barbara Shelden i pan Moone z żoną; żona bardzo gładka niewiasta, a i mąż, ile wiem, grzeczny człowiek. Ale zamiar pana Moone i też mój — obejrzeć mój gabinet, którym dawno przezeń pożądanym widokiem chciałem go uradować, zawiódł nas całkiem, jako że byliśmy wszyscy w wielkim pomięszaniu i zatroskaniu z przyczyny pożaru, o którym ani wiemy, co myśleć. Ale obiad mieliśmy nadzwyczaj dobry i było nam wesoło, jak tylko w takim czasie być mogło. Zaraz po obiedzie ja i Moone wyszliśmy i chodziliśmy po Śródmieściu; w ulicach nic, tylko pełno ludzi, koni, wozów napełnionych wszelakim dobytkiem, gotowych lecieć jeden przez drugi, by przewozić dobro ludzkie z domów strawionych ogniem — w inne. Teraz wywożą wszystko z Canning-street (która rano przyjęła była dobytek z innych ulic) na Lombard-street i dalej. Doszliśmy do św. Pawła, stamtąd Moone do domu, a ja na bulwar św. Pawła; nająłem tam czółno i popłynąłem w dół, a potem w górę do mostu. Spotkałem barkę z Królem i Księciem Yorku i z nimi do Queenhith, gdzie wezwali do siebie sir Ryszarda Browne'a. Jedyny rozkaz, jaki wydali, to aby śpiesznie burzyć domy poniżej mostu wzdłuż wybrzeża; lecz niewiele było i mogło być zrobione, gdyż ogień się za szybko na te domy przerzucał. Rzeka pełna czółen wiozących ludzki dobytek i wiele cennych rzeczy pływało po wodzie. Napatrzywszy się tego dowoli, ruszyłem według umowy do White Hall i stamtąd poszedłem do Parku St. James, gdzie spotkałem żonę z Creedem i Woodem i jego żoną i siedliśmy do mojej łodzi; i znów dalej łodzią to w dół, to w górę ku pożarowi, który wzrastał, a wiatr był wielki. I tak blisko byliśmy ognia, jak tylko dym pozwalał; a płynąc Tamizą pod wiatr o małośmy się nie spalili od deszczu iskier. Tak — zaiste — jak zapalały się od tych iskier i strzępów ognia domy po trzy, po cztery, ba, po pięć i sześć, jeden za drugim. Kiedy nie mogliśmy już wytrwać na wodzie, weszliśmy do małej piwiarni na Strandzie, naprzeciw Trzech Żurawi, i tam zostaliśmy bez mała do zmroku i widzieliśmy jak pożar się wzmagał, a gdy się ściemniło, pokazywało się ich

oraz więcej a więcej w zaułkach i na dzwonnicach i między domy a kościoły; ak daleko jak okiem sięgniesz aż po wzgórze Śródmieścia (City), wszędzie naj-krutniejszy, złośliwy, krwawy płomień, ani podobny pięknym płomykom zwy-zajnego ognia. Zostaliśmy tam aż się ściemniło i widzieliśmy pożar jak jedno wielkie sklepienie ognia, sięgające z tej aż na tamtą stronę rzeki i łukiem roz-postarte nad wyniosłością na jaką milę długości; na płacz mi się zebrało, gdym o widział. Kościoły, domy, wszystko w ogniu palące się pospołu; i przeraźliwy huk, jaki się w tych płomieniach rozlegał, i trzask walących się domów! Z cięż-kim więc sercem do domu, a tam zastaliśmy wszystkich rozprawiających lamentujących nad tym ogniem; i biedny Tom Hater przybył z resztą swego dobytku ocalonego z domu, co spłonął na Fish-street. Zaprosiłem go, żeby został z nami i przyjąłem jego rzeczy; ale źle obliczył wybrawszy się do nas, po co chwila przychodziły wieści o rozszerzaniu się pożaru, tak że musie-liśmy sami przystąpić do pakowania naszych rzeczy i gotować się do prze-prowadzki; tedy przy księżycu (a po wietrznym dniu była piękna, sucha i cie-pła noc księżycowa) znieśliśmy wiele mego dobytku do ogrodu, a ja z panem Haterem przenieśliśmy moje pieniądze i skrzynię żelazną do piwnicy, mając to miejsce za najpewniejsze. Worki ze złotem, co ważniejsze papiery, a też talony bankowe w osobnym puzderku przygotowałem, by przenieść do Urzędu. Strach był tak wielki, że Sir W. Batten sprowadził ze wsi wozy, aby tejże nocy wywieźć całe swe mienie. Pan Hater, biedaczysko, położył się za naszą na-mową do łóżka, alić niewiele miał odpocznienia z przyczyny hałasu panującego w moim domu przy znoszeniu rzeczy.

3. IX. Około czwartej nad ranem lady Batten przysłała mi wóz dla prze-wiezienia wszystkich moich pieniędzy, serwisów i lepszych rzeczy do sir W. Ri-dera do Bednall-green. Z czegom skorzystał, siadłszy sam w nocnym odzie-niu na wóz; i o, Boże! widzieć tylko te ulice i wielkie drogi, zapchane ludźmi uciekającymi i jadącymi i najmującymi za każdą cenę wozy, byle wywieźć swe dobro. Zastałem sir W. Ridera bardzo znużonym, gdyż całą noc musiał wstawać i przyjmować rzeczy licznych przyjaciół. Dom jego pełen cudzego dobytku, osobliwie rzeczy sir W. Battena i W. Pena. Ulżyło mi, że mój skarb został tak dobrze zabezpieczony. Zaczem do domu i z wielkim trudem zna-leźliśmy drogę i całą noc nie spaliśmy ani ja ani moja biedna żona. A potem cały dzień pracowaliśmy i my i wszyscy nasi ludzie, by wywieźć resztę naszych rzeczy i wywieźliśmy je na Tower Hill, gdzie już było pełno ludzkiego dobra. Książę Yorku był dziś w Urzędzie i mówił z nami i jeździł ze swoją gwardią po mieście, aby utrzymać spokój. Tegoż dnia Mercer (panna pokojowa pani Pepys, z którą pan Samuel śpiewał duety, gdyż była obdarzona dobrym słu-chem i głosem, przyp. tłum.) wbrew zakazom swej pani, miast w domu sie-dzieć, poszła do matki; żona zasię, wybrawszy się tam dla pomówienia z Wi-lem Hewerem (najbliższy przyjaciel Pepysa, przyp. tłum.), wpadła w gniew i pobiła Mercer: a gdy jej matka rzekła na to, że jej córka nie jest dziewką czeladną, aby miała się opowiadać za każdym wyjściem, żona rozgniewała się,

mając po temu swoje racje, i kiedy Mercer przyszła do domu, kazała jej wrócić do matki. Tak tedy odeszła, czego żałuję, ale nie tak, jakbym powinien, a to z przyczyny kondycji, w jakiej jesteśmy i z obawy, że maluczko, a przyjdzie do tego, iż nie łatwo będzie nam utrzymać taką pannę jak ona. Noc przespaliśmy na pierzynie W. Hewera w Urzędzie, bo wszystkie nasze rzeczy popakowane albo wywiezione; a pożywiliśmy się resztkami wczorajszego obiadu, nie mając ni ognia, ni półmisków, ani żadnej możności przyrządzenia czegokolwiek.

4. IX. Wstałem o świcie, żeby wywieść resztę moich rzeczy, którem załadował na szkutę przy Iron Gate; a mając ręce pełne roboty, ledwie po południu zdołałem wszystko wywieść. Sir W. Batten nie wiedząc, gdzie schować swoje wina, wykopał dół w ogrodzie i tam je wstawił; a ja przy tej sposobności złożyłem tam papiery Urzędu, którymi nie wiedziałem jak dysponować. A wieczorem Sir W. Pen i ja wykopaliśmy drugi dół i wpuściliśmy tam nasze wina, a ja — prócz wina — także mój ser parmezański i trochę innych rzeczy. Po południu siedząc melancholicznie z sir W. Penem w naszym ogrodzie i rozmyślając nad tym, że nasz Urząd spłonie na pewno, jeśli nie zostaną przedsięwzięte nadzwyczajne środki ratunku, przedłożyłem, aby posłać po naszych robotników z Woolwich i Deptford i napisać do Sir W. Coventry'ego, żeby wystarał się o pozwolenie księcia Yorku na zburzenie domów okolicznych raczej, niż byśmy mieli stracić Urząd, co byłoby z wielką szkodą dla spraw koronnych. Tedy Sir W. Pen wyruszył wieczorem, aby przysłać robotników na rano, a ja napisałem do Sir W. Coventry'ego o tej sprawie, ale nie otrzymałem odpowiedzi. Tej nocy pani Turner i jej mąż wieczerzali z nami w Urzędzie, a mieliśmy tylko barani mostek z traktierni i ani bodaj serwety lub jakichkolwiek nakryć, smętną bardzo manierą, aleśmy byli weseli. Tylko od czasu do czasu, wyszedłszy na ogród, widzieliśmy, jak strasznie wygląda niebo całe w ogniu po nocy, i to było dosyć, i od tego widoku odechciewało nam się żartów; w samej rzeczy było to nad wyraz przerażające, bo wyglądało właśnie, jakby to już u nas się paliło, i całe niebo było w ogniu. Po wieczerzy poszedłem w dół ku Tower-street i tam też widziałem już wszystko w ogniu — i Trinity-House (siedziba nauk. inst. Urzędu Marynarki) z tamtej strony, i gospoda Pod Delfinem — z tej, co było już bardzo blisko nas; a paliło się z niesłychaną gwałtownością. Teraz na ostatek zaczęto praktykować burzenie domów na Tower-street, czego ludzie zrazu bali się więcej niż wszystkiego; aliści wszędzie, gdzie to uczyniono, pożar został wstrzymany. Ogień szerzy się już wzdłuż Fleet-street, spłonął już św. Paweł i cała Cheapside. Napisałem dziś wieczór do mego ojca, ale że i poczta spłonęła, listu nie mogłem wysłać.

5. IX. Śpię w Urzędzie znowu na pierzynie Hewera; jestem okrutnie zmęczony i nogi mnie bolą, bom się tak schodził, że ledwo mogłem na nich ustać. Około drugiej w nocy żona mnie budzi i mówi, że znowu krzyczą: Gore! i że

ogień ma już podchodzić do kościoła Barking Church, co jest już na końcu naszej uliczki. Porwałem się, a ujrzawszy, że jest jako rzekła, postanowiłem natychmiast wywieść ją i tom uczynił; a wziąłem też moje złoto, którego było około 2350 funtów. W. Hewer i Jane (służąca, przyp. tłum.) popłynęli z nami w dół do Woolwich; ale. o Boże, co za smutek, co za boleść widzieć przy świetle księżyca Śródmieście całutkie w ogniu, żeś je z Woolwich widział jak na dłoni. Gdyśmy przybyli, zastałem bramy zamknięte, ale żadnej przy nich straży; co mnie zgryzło, bo wszczęły się właśnie słuchy, że spisek jest w tym wszystkim i że jakoby Francuzi nam to zrobili. Kazałem otworzyć bramy i do pani Sheldon, gdzie umieściłem złoto, przykazawszy żonie i Hewerowi, żeby ni we dnie ani w nocy nie wychodzili nigdy oboje, tylko żeby zawsze któreś z nich w komnacie zostawało. Tedy z powrotem, zajrzałem do szkut ładownych moim dobrem w Deptford, dobrze schowanych i dobrze przez moich ludzi strzeżonych. Do domu — a gdy obawiałem się zobaczyć go w płomieniach, otom go ujrzał całym, a była już siódma rano. Za czym do pożaru i tu nabrałem więcej nadziei, niż mogłem oczekiwać; bo moja pewność, że zastanę nasz Urząd płonącym, była taka, żem nie śmiał nikogo po drodze pytać, jak tam z nami, aż póki nie przybyłem i nie zobaczyłem, że Urząd nie spłonął. Ale chodząc do pożarów przekonałem się, że burzenie domów i wielka pomoc dana przez robotników królewskich całkiem wstrzymały pożar u wylotu Marke-lane i naszej też uliczki; tak że spalił się tam tylko zegar słoneczny kościoła Barking-Church i część portalu i tam ogień stłumili. Wszedłem na wieżę kościoła i stamtąd zobaczyłem najżałośniejszy obraz spustoszenia, jakim kiedykolwiek w życiu oglądał; wszędzie ogromne pożary, płonące składy olejów, siarki i innych towarów. Straszno mi było stać tam długo, tedym zeszedł najśpieszniej do sir W. Pena i tam zjadłem kawałek zimnego mięsa, nie jadłszy od niedzieli nic jak tylko resztki niedzielnego obiadu (zapomniał o przodku baranim z dnia poprzedniego, przyp. angielskiego wydawcy). Spotkałem tam panów Younga i Whistlera; i mając już wszystkie rzeczy moje przeniesione, a i nabrawszy otuchy, że ogień od naszej strony przygaszono, poszedłem z nimi do miasta i znalazłem ulice koło Giełdy całkiem w perzynie. Giełda przedstawia smutny widok, wszystkie posągi i filary powalone, tylko konterfekt sir Tomasza Greshama ostał się w rogu. Potem na Moorefields (o mało nie poparzyliśmy sobie nóg chodząc po gorących węglach), gdzie pełno ludzi, osobliwie biedaków, którzy znieśli tu swój dobytek i każdy trzyma go przy sobie; i co za szczęście dla nich, że jest piękna pogoda, bo dzień i noc siedzą na dworze; tam napiłem się i zapłaciłem dwa pensy za zwyczajną bułkę wartą jednego pensa. Stamtąd ku domowi przez Cheapside i rynek Newgate, do szczętu spalone. Podniosłem z ulicy naczynie szklane z Kaplicy Kupców (którem sobie zachował), tak stopione i skręcone od gorącości ognia jak pergamin. Widziałem też biednego kota, wyciągniętego z dziury w kominie przyległym do murów Giełdy, z sierścią do skóry opaloną, a przecie żywego. Tedy po nocy już do domu i zastałem wszystkich z dobrą nadzieją ocalenia Urzędu; o co zabiegi czynimy, czuwając przez całą noc i ludzi trzymając w gotowości, których zakwaterowaliśmy

w Urzędzie, zaopatrzywszy ich w picie i chleb ze serem. Położyłem się koło północy i zasnąłem; noc była dobra, ale gdy wstałem, dowiedziałem się, że było wielkie larum o jakowyś rozruch między Francuzami i Holendrami, ale się nic nie okazało. I dziwna to rzecz, jak długi zdaje się ten czas od niedzieli, wypełniony tylu rozmaitymi zdarzeniami i prawie niespany; zda się, że to już minął tydzień albo więcej i prawie już nie pomnę, jaki to dzień w tygodniu.

6. IX. Wstałem około piątej; a przy bramie Urzędu (gdy miałem zamiar wyjść, jak co dzień teraz czynię, aby zobaczyć jak z pożarem) spotkałem pana Gaudena z wezwaniem dla naszych ludzi do Bishops-Gate, gdzie dotąd ognia zgoła nie było, a teraz się pokazał; co nie bez racji daje ludziom, a i mnie, do myślenia, że jest w tym jakiś spisek (o co wielu tymi dniami ujęto i żadnemu cudzoziemcowi nie było bezpiecznie chodzić w teraźniejszym czasie po ulicach); poszedłem z ludźmi i zagasiliśmy niebawem ten pożar, tak że już znowu wszystko w porządku. Dziwno było widzieć, jak ciężko pracowały kobiety w kanałach, ociekające wodą; ale potem złorzecząc domagały się wódki i popiły się jak diabły. Widziałem głowy cukru odpieczętowane na ulicy i ludzie brali i rozdawali go pełnymi garściami i kładli to do piwa i tak pili. Gdy na ostatek wszystko się trochę uspokoiło, wziąłem łódź i do Westminsteru, mniemając, że się tam trochę przeodzieję; ale nie mogłem tam znaleźć żadnego kramu, aby kupić koszulę czy parę rękawiczek; ludzie z dzielnicy Westminsterskiej wywieźli cały swój towar i dobytek, a w Westminster Hall pełno znów dobytku nawiezionego z innych miejsc, a Skarb Państwa został wywieziony do Zamku Nonsuch; tedy do gospody pod Łabędziem i tam się ogarnąłem i do White Hall, ale nikogo tam nie zastał, więc do domu. Co za smutny widok przedstawia Rzeka; ni domów ni kościołów na jej brzegach aż do Temple, gdzie ogień się zatrzymał. Z sir W. Battenem i naszym sąsiadem panem Knightly (który z drugim jeszcze byli jedynymi ludźmi lepszego stanu, co z całego naszego sąsiedztwa zostali na miejscu, gdy wszyscy insi wynieśli się z dobytkiem, zostawiając domy na pastwę ognia) poszliśmy do sir W. Forda i tam obiadowaliśmy na glinianej zastawie, pożywając smażony przodek barani; było nas na to wielu, jednak weseliliśmy się, a w rzeczy samej potrawa była wyborna, choć tak szpetnie podana, że mi się nigdy w życiu podobnie jeść nie zdarzyło. Potem w dół rzeki do Deptford i tam wyniosłem mój dobytek ze szkuty na ląd do sir G. Cartereta; i nic, o ile wiem, ku mej radości nie przepadło. To z wielką uciechą uczyniwszy, do Urzędu i do sir W. Battena i u niego z sir Fordem, panem Knightly i pewnym Withersem, zawołanym łgarzem i hulaką, zjadłem dobrą kolację w niezmiernym weselu, i wszystkie nasze strachy przeminęły. Od nich do Urzędu i tam nocowałem, a Urząd był pełen robotników, którzy gadali i spali i chodzili przez całą noc.

7. IX. Wstałem o piątej i chwała Bogu wszystko dobrze; więc wodą wzdłuż wybrzeża. Potem na brzeg i oglądałem całe spalone miasto. I co za

żałosny widok św. Pawła z zawalonymi sklepieniami i z zawalonym chórem; tak samo Szkoła św. Pawła i Ludgate i Fleet-street. To samo w perzynie dom mego ojca i kościół tameczny i znaczna część dzielnicy Temple. Tedy do Creeda, który mieszka niedaleko Nowej Giełdy; znalazłem go leżącym w łóżku, a dom cały bez sprzętów, usuniętych ze strachu przed pożarem. Pożyczyłem od niego koszulę i umyłem się. Do St. James, do sir W. Coventry'ego, który leżał bez zasłon, wywiózłszy cały dobytek, tak jak i Król z White Hall i jak uczynili to wszyscy. Spodziewa się, że nie będzie zamieszek z przyczyny pożaru, czego wszyscy się boją, ile że są słuchy, jakoby Francuzi maczali w tym rękę. A czas ten sprzyja niezadowoleniom; tyle tylko, że wszystkich umysły zaprzątnięte są ratowaniem siebie i swego dobra; milicja jest wszędzie pod bronią. Tedy do domu i kazałem go przyprowadzić do porządku; stamtąd do Woolwich, do żony, gdzie wszystko zastałem pomyślnie. Tego dnia nasi kupcy zebrali się po raz pierwszy w Gresham College, które, jak ogłoszono, ma im służyć za giełdę. Wiele dysputują o tym, gdzie mają stanąć Rogatki, aby na poszerzenie miasta dosyć miejsca przewidzieć. Lord Podskarbi Koronny jak mówią, a też i drudzy, chcą mieć Urząd Celny na drugim końcu miasta. Późnym wieczorem do sir W. Pena, który ofiarował mi łóżko, ale bez pościeli ani zasłon, bo wszystko popakowane. Tu tedy po raz pierwszy położyłem się na gołym łóżku, mając tylko to, co na sobie; i spałem dosyć dobrze; ale to śpiąc, to budząc się, miałem jeszcze ciągłe strach ognia w moim sercu, tak że niewielem wypoczął. Ludzie krzyczą na cały świat o głupocie Lorda Mayora w ogólności, a osobliwie w rzeczy onego pożaru, na niego winę składając. Ogłoszono postanowienie, że targi mają się odbywać na Leadenhall i Mile-end-green i na kilku innych placach dokoła miasta; a Tower-Hill i wszystkie kościoły mają stać otworem dla pomieszczenia biedaków.

8. IX. Do St. James, gdzie najpierw zebraliśmy się w komnacie sir W. Coventry'ego i tam załatwialiśmy, co się dało, nie mając jeszcze ksiąg Urzędu. Rozmowa, jak i wszystko inne, była bez ładu ni składu. Flota jest w Portsmouth, czekając tam na wiatr, co by ją poniósł ku Downe albo ku Boulogne, kędy jak mówią skierowała się flota holenderska i ma tam pono stać. Po prywatnym dyskursie doszliśmy do przekonania, że nie będziemy mieli ani grosza na zaspokojenie ludzi, jacy mogą się do nas zgłosić. Kupiłem nad Tamizą dwa węgorze, kosztowały mnie sześć szylingów. Potem z sir W. Battenem do Cockpit, dokąd przybył książę Albemarle (Jerzy Monk, za Cromwella jeden z głównych generałów republikańskich, przyp. tłum.). Pono król uznał go tak potrzebnym w teraźniejszych okolicznościach, że po niego posłał i chce go tu zatrzymać. W samej rzeczy jego wziętość w Mieście, z którego sprawami jest obeznany i jego troska o utrzymanie spokoju każą na niego liczyć, że się okaże przydatnym. Poszliśmy do niego; wszyscy, jak na to wygląda, skarbią sobie jego względy. Bardzo dla nas uprzejmy; i na ile wyrozumiałem, odkłada teraz na bok wszystkie sprawy floty i ma na myśli tylko Miasto, a spieszył właśnie do Gresham College, by się rozmówić z Radnymi. Sir W. Batten ze mną do

domu (gdzie zastałem brata mojego, Jana, który przybył do miasta, by się dowiedzieć, co z nami), a z domu zaraz do Gresham College; a tam siła narodu, po części gwoli nowości, by zobaczyć to miejsce obrad, po części, by jeden drugiego spotkać i jedni o drugich się dowiedzieć, co się z kim stało. Spotkałem niemało ludzi do szczętu zrujnowanych i jeszcze więcej takich, co ponieśli wielkie straty. Ludzie rozmaite wypowiadają zdania o początkach tego pożaru i odbudowie miasta. Stamtąd do sir W. Battena, dokąd wziąłem też mego brata, i tam obiadowaliśmy w wielkiej kompanii sąsiadów i przednią bawiąc się rozmową; m. in. o małoduszności niektórych bogaczy ze Śródmieścia, skąpiących zachęty i nagrody biedakom, co się krzątali około ratowania ich pałaców. M. in. Radny Starling, bardzo bogaty człek i bezdzietny, gdy ogień był już na naszej uliczce w przyległej do niego posesji, a nasi ludzie ratowali jego dom, dał im wszystkiego 2 szylingi 6 pensów na trzydziestu i jeszcze kłócił się z tymi, co chcieli usunąć rupiecie ze szlaku ognia, mówiąc, że przyszli kraść. Po tym wszystkim kolaską z bratem do Bednall-Green i zastawszy tam wszystko w porządku, zabrałem mój Dziennik, ażeby wciągnąć doń te minione pięć dni. W nocy czuwałem w łóżku, nie śpiąc, bardzo przestraszony hałasem który słyszałem przez długi czas na dole; i nikt ze służby nie nadbiegł, kiedy na nich stukałem. Co poszło stąd, że zdybali jakichś ludzi, kradnących u sąsiada wino leżące w beczułkach na ulicy. I tam się z nimi wodzili. Tedym zasnął i cała noc przeszła dobrze.

9. IX. Niedziela. Wstałem, wystroiłem się i posłałem brata do Woolwich żeby obiadował tam z moją żoną. A sam do kościoła, gdzie nasz pleban miał melancholiczne, ale dobre kazanie; i wielu w kościele krzyczało i płakało a osobliwie — niewiasty. Kościół pełny, ale mało dwornych ludzi, i dużo obcych. Po obiedzie znów do kościoła i słyszałem dziekana Hardinga, ale zdało mi się, że miał liche i nędzne kazanie, choć stosowne do okoliczności.

10. IX. Całe rano porządkowałem nasze piwnice i łamałem w drzazgi wszystko stare rupiecie, aby zrobić wolne miejsce i zabiec pożarowi. A potem do sir W. Battena i na obiad; i tam słyszałem, że sir W. Rider skarży się, jako w mieście pełno gadania o bogactwach złożonych w jego domu i że byłby rad jeśliby jego przyjaciele pomyśleli sami o bezpieczeństwie swojego tam dobytku. To sprawiło, żem najął wóz i pojechałem tam i wywiozłem cały mój skarbczyk. Rzeczywiście siła bogactw jest w jego domu. Chwała Bogu moje wydostałem w całości i złożyłem je w mojej kancelarii, ale zły byłem, że wszyscy to widzieli. I zły na sir W. Battena, który chciał mi zabrać ludzi, zanim wszystko moje popakowali. Ale po niejakim czasie przybył z morza brat żony, Balty z czegom był wielce rad; tedy zostawiłem jego i pana Tekera i pachołka, żeby czuwali w kancelarii całą noc, podczas kiedy ja wyruszyłem do żony.

11. IX. Po wieczerzy u sir W. Pena — do domu i z panem Heterem Gibsonem i Tomem przeniosłem wszystkie moje skrzynie do dalszej piwnicy z wielkim trudem, ale i bardzo kontent, gdym to skończył. Bardzo późno i bardzo zmęczony do łóżka.

12. IX. Wstałem i z panami Battenem i Penem do St. James, gdzie pracowaliśmy już zwyczajnym trybem u księcia Yorku.

13. IX. Wstałem i w dół rzeki do Deptford i do sir G. Cartereta, gdzie załadowałem na statek całą resztę mojego mienia, oprócz malowideł i rzeczy kosztownych, które sprowadzę, gdy już mieszkanie będzie gotowe na ich przyjęcie; tedy do domu, do którego znieśliśmy wszystko przed nocą ku mej niezmiernej radości; i tak po wieczerzy do łóżka pierwszy raz na koniec we własnym domu.

14. IX. Wstałem i do roboty, mając u siebie cieślów, którzy przyszli pomóc mi w ustawianiu sprzętów i rozwieszaniu opon; i tym zabawiałem się z moimi ludźmi cały ranek, aż dopiero sprawy publiczne zmusiły mnie wbrew chęci zostawić ich samych na popołudnie; choć już i będąc w domu frasowałem się widząc moje mienie walające się tam i sam bez dogladu, a obcy robotnicy, chodzący powszędy, brać mogli zgoła, co by chcieli. Ale całe popołudnie byłem na służbie; i sir W. Coventry do mnie przyszedł i zastał mnie i wszystkich, jak Bóg przykazał, w Urzędzie, porządkujących papiery; i dyskurowaliśmy o tym, że trzeba mieć gotowe obrachunki dla Parlamentu i dał mi siła roboty, i to pilnej, co mnie zirytowało; wszelako kiedy poszedł, zabrałem się do rzeczy i pracowałem do późna i z dobrym skutkiem. I wreszcie do domu i tegoż dnia jeszcze wykopałem moje wino i umieściłem je na powrót w piwnicy; ale z wielkim trudem powiodło mi się nie dopuścić, aby tragarze, co je wnosili, postrzegli moje tam skrzynie z pieniędzmi.

15. IX. Kapitan Cocke obliczył, że czynsz z domów zniszczonych przez pożar wart jest 600.000 funtów rocznie. I mówiliśmy o tym, że nigdy jeszcze na świecie tak wielka klęska jak nasza nie była ścierpiana przez obywateli równie dobrze. I że nie ma obawy żadnych zamieszek w Państwie, bo wszyscy zajęci są własnymi sprawami i własnym ocalaniem. Kiedy poszedł, skończyłem pisać listy i do domu do łóżka; i zastałem ku mej wielkiej radości większość pokojów uprzątniętą; i spaliśmy nareszcie z żoną w naszej własnej sypialni. Ale dręczą mnie tymi dniami w nocy sny o pożarach i walących się domach.

17. IX. Wstałem wcześnie i ogoliłem tygodniowy już przeszło zarost; i, o Boże, jaki brzydal był ze mnie wczoraj, a jaki piękniś dzisiaj! Na rzekę i przez całą drogę łodzią przypatrywałem się miastu; co za smutny widok! I w wielu miejscach jeszcze się pali!

Przełożyła *Maria Dąbrowska*

U w a g a. Posługiwanie się angielskimi nazwami oraz imionami własnymi nie zostało jeszcze w moim przekładzie ustalone. W niniejszym wyjątku używam na razie tych nazw w brzmieniu angielskim z wyjątkiem nazw gospód, piwiarń itp., które przekładam na polskie. Warto nadmienić, że wszystkie prawie powtarzające się w *Dzienniku* Pepysa nazwy dzielnic, ulic i zaułków Londynu zachowały się w niezmienionym brzmieniu po dzień dzisiejszy. *M. D.*

STANISŁAW WSZELAKI

STANOWISKO LEKARZA W LITERATURZE POLSKIEJ

(Wykład inauguracyjny w czasie uroczystego otwarcia IV roku akademickiego w Akademii Lekarskiej w Gdańsku, dnia 15. X. 1948)

Obywatelu Ministrze, dostojni goście, szanowni członkowie rodzin naszych współpracowników i naszych uczniów; Wasza Magnificencjo, koledzy profesorowie, koledzy docenci, adiunkci i asystenci i całe młode Koleżeństwo Akademickie! Wybór tematu wykładu inauguracyjnego w wyższej uczelni o tak wysokiej specjalizacji jak Akademia Lekarska nie należy do zadań łatwych, gdyż wykład taki jest przeznaczony przede wszystkim dla najmłodszych naszych kolegów, tych, których przedstawiciele przed chwilą właśnie przez złożenie ślubowania akademickiego i symboliczny uścisk dłoni Jego Magnificencji Rektora ulegli włączeniu w społeczność akademicką. Ci właśnie koledzy są bezpośrednią przyczyną, dla której tematyka możliwych prelekcji inauguracyjnych w zasięgu swoim jest ograniczona; słuszne jest bowiem, aby wykład wstępny był dla nich całkowicie dostępny; odpada przez to wielość tematów o treści bardziej złożonej. Nie dość na tym; jak wykazuje doświadczenie, nasi najmłodsi koledzy, wstępując w mury Akademii Lekarskiej, w znakomitej swej większości nie są należycie zorientowani co do wagi zadań, z którymi odtąd wiążą się na całe swe życie, co do blasków i cieni wybranego przez się zawodu, który o wiele bardziej niż jakiekolwiek inne z zajęć, wymagających wyższego wykształcenia, absorbować ich będzie przez cały przeciąg ich czynnego żywota. Skądże bowiem młody adept nauk lekarskich ma czerpać wiadomości o żmudnych obowiązkach życia codziennego, jakie mu przypadną w udziale, o konieczności nieprzerwanego kształcenia się zawodowego aż do schyłku swoich dni, o ciężarze odpowiedzialności przed sobą samym i przed prawem, a wreszcie, i co najważniejsza, o niezmiernym i coraz z dniem każdym wzrastającym znaczeniu społecznym zawodu, jaki sobie obrał? Żałować wypada, że słuszna inicjatywa pouczania kandydatów do wyższych studiów o warunkach pracy w poszczególnych dyscyplinach życia zawodowego drogą odczytów, pogadanek radiowych, broszur uświadamiających nie została dotąd należycie podjęta i zrealizowana. W chwili bowiem obecnej o szczególnych

właściwościach powołania lekarskiego należycie poinformowana jest tylko szczupła liczba tych kandydatów, którzy w swym dotychczasowym życiu mieli naoczną sposobność spostrzegać zasięg pracy swoich bliskich, rodziców, krewnych, przyjaciół, wykonujących zawód lekarza lub jedno z zajęć pokrewnych czy pomocniczych, jak również, w miarę normalizowania się warunków powojennych coraz malejąca garstka tych, którzy dla celów zarobkowych pełnili już czynności pomocnicze przy jednym z zawodów lekarskich. Reszta młodych medyków zapoznaje się z terenem swego zawodu dopiero przy bezpośrednim zetknięciu się ze szkoleniem lekarskim, a więc właściwie dopiero w latach studiów klinicznych, kiedy trudno już zawrócić z obranej drogi. Stąd czasami wydarzające się decepcje życiowe, tym bardziej bolesne, że wykonywanie zawodu lekarskiego bez prawdziwego do niego upodobania zaprawdę jest rzeczą godną rzeczywistego współczucia.

Potężny czynnik uświadamiający co do rodzaju pracy w poszczególnych zawodach, jakim mogłaby być literatura piękna, właśnie w zakresie zawodu lekarskiego bardzo mało przyczynia się do należytego zorientowania tych, którzy by w niej chcieli szukać wskazówek życiowych. Jeśli rozważyć olbrzymie miejsce, jakie w życiu każdego indywidualnego człowieka zajmuje troska o zdrowie własne i o zdrowie najbliższych, jeśli ocenić, jak coraz wzrastające znaczenie ma w życiu wysoko zorganizowanego tworu — państwa nowoczesnego — troska o dobro znacznie wyższego rzędu — o zdrowie ludu, społeczeństwa, narodu jako całości, wówczas zdziwić się wypadnie, że w literaturze pięknej całego świata istnieje podobna dysproporcja pomiędzy uwagą poświęconą zagadnieniom lekarskim w najrozmaitszym ich ujęciu a stopniem zainteresowania, jaki przypada zagadnieniom prawniczym, technicznym, rolniczym, nie mówiąc już o problematach wojskowych i religijnych. Podkreślić należy, że nawet przedstawiciele zawodu lekarskiego, których wśród wybitnych poetów i pisarzy wielu narodów nie brakowało, zagadnieniom lekarskim albo wcale nie poświęcali uwagi, albo tylko zgoła podrzędne wyznaczali im miejsce. Lekarzami wszak byli — od Franciszka Rabelais poczynając, poprzez Fryderyka Schillera — jeśli wyliczyć tylko twórców ostatniego półwiecza, w Anglii Artur Conan Doyle, William Somerset Maugham, w Niemczech Artur Schnitzler, w Rosji Antoni Czechow, we Francji Georges Duhamel, Roger Martin du Gard, u nas Tadeusz Boy-Żeleński, nie licząc wielu innych, pomniejszych. A przecież jeśli znajomość sztuki lekarskiej w ogóle znajduje w dziełach tych autorów jakiś odblask, to zgoła trzeciorzędny. I dopiero w latach bezpośrednio poprzedzających drugą wojnę światową spotykamy się po raz pierwszy z wielką problematyką lekarską, poruszoną w literaturze powieściowej przez lekarza — mówię o A. J. Croninie.

Niewątpliwie jednak, ogólnie ujmując, zawód lekarski, jakkolwiek w niektórych swych osiągnięciach naprawdę fascynujący, w literaturze pięknej świata całego znajdował, a i do lat ostatnich znajduje oddźwięk nieproporcjonalnie mały. Jakie są tego przyczyny, będę się starał wytłumaczyć poniżej.

W zagadnieniu stanowiska lekarza w literaturze pięknej istnieją dwa aspekty, pozornie od siebie niezależne. Pierwszy dotyczy stosunku autora do indywidualnego stanu zdrowotnego człowieka, którego sobie obrał za temat swego dzieła, oraz do indywidualnych czynności lekarza wobec chorego człowieka: ta strona zagadnień lekarskich może być przez autora obrazowana błędnie lub bezbłędnie, tj. zgodnie z obowiązującymi pojęciami naukowo-lekarskimi; waży ona wiele w prawdzie literackiej utworu, jest jednak sprawą mniejszego znaczenia. Drugi aspekt jest o wiele ważniejszy: dotyczy on stosunku autora do zagadnień rzędu ogólnego, jak sprawy tła zdrowotno-epidemiologicznego w malowidłach charakteru historycznego, czy sprawy społeczno-zdrowotne i ich bezpośredni wpływ na losy człowieka w obrazach typu „obyczajowego"; do tej samej grupy zagadnień należy obrazowanie stosunku lekarza do zagadnień zdrowia ogólnego. Oba powyższe aspekty pozornie łatwo byłoby od siebie odgraniczyć, gdyby ich szczegółowa analiza nie wykazała, że pisarze z należytym zrozumieniem odnoszący się do indywidualnych zagadnień zdrowotnych czy leczniczych są to zawsze ci sami, którzy w swych dziełach umieją poruszyć trafnie również problematykę natury szerszej. Dlatego też we właściwej treści swego wykładu bynajmniej nie silę się na rozgraniczenie obu omówionych powyżej grup zainteresowań pisarskich.

W wykładzie dzisiejszym omawiam wyłącznie literaturę polską, do zagranicznej zwracając się tylko wówczas, gdy potrzebne mi będzie wykazanie pewnych filiacyj lub poczynienie niektórych porównań.

W literaturze polskiej, od zarania jej dziejów aż poza połowę wieku XIX, zagadnienia lekarskie właściwie nie istnieją zupełnie. Ojciec literatury polskiej, Mikołaj Rej, w swym „Żywocie człowieka poczciwego", dotykającym wielu wycinków obyczajowych życia ówczesnego zamożnego szlachcica, spraw zdrowotnych nie porusza zupełnie; o lekarzach wspomina Rej dość często, ale tylko w swych „figlikach"; humor ich jednak jest dla człowieka nowoczesnego mało strawny, gdyż dotyczy tematów ściśle swoistych, ograniczonych wyłącznie do dolnych partyj ciała ludzkiego — *ab umbilico et inferius*. Pierwszy humanista typu zachodniego, Jan Kochanowski, w swych fraszkach mówi niejednokrotnie o „doktorze Hiszpanie" —wiemy jednak o nim tylko tyle, że chętnie pilnował dzbana; a musiał być dobrym kompanem, skoro przyjaciele dobijali się o jego towarzystwo. Gdy się wzdragał przed nową pijatyką i nie chciał towarzyszy wpuścić do siebie, zdarzało się, że „doktor nie puścił, ale drzwi puściły"; widać, że w dworskim środowisku, w jakim powstawały fraszki Kochanowskiego, nie było jeszcze miejsca na narastający z nawrotem ciemnoty późniejszy pogardliwy stosunek do lekarza. W sto lat po Reju i Kochanowskim wielkiej ilości równie jak rejowskie niewybrednych wierszyków o lekarzach dostarczył Wacław Potocki.

Przez długie lata następne i tego nie było. Zastraszający upadek oświaty pociągnął za sobą beznadziejny upadek literatury. Ponowny jej rozkwit w drugiej połowie wieku XVIII, jakkolwiek połączony z szerszym niż w Wieku

Złotym podmalowaniem tła obyczajowego, nie znalazł wszakże uwagi dla jakichkolwiek zagadnień lekarskich: nawet w pierwszej dużej polskiej powieści obyczajowej, „Przypadkach Mikołaja Doświadczyńskiego" Ignacego Krasickiego, nie znajdujemy ich; jedynym może śladem spostrzegawczości autora co do ludzi chorych jest zabawna postać Podczaszyca, wiecznie chorego na „ślinogorz" (anginę) i dlatego stale obwiązującego sobie gardło jedwabną chustką. Potworna wada ludzi owych czasów, opilstwo, wyszydzane jest przez Krasickiego raczej od strony obyczajowej niż zdrowotnej; obraz „katzenjammeru" w satyrze „Pijaństwo" jest jednak z punktu widzenia spostrzegawczości — również lekarskiej — trafny. W satyrach Naruszewicza, w komediach Zabłockiego, Bohomolca, Niemcewicza zagadnień zdrowotnych nie spotykamy. Trudno się dziwić temu zjawisku: całkowicie jednostronne, w olbrzymiej swej większości zastraszająco ciemne społeczeństwo szlacheckie zainteresowań dla spraw zdrowotnych nie zdradzało — i nie mogło zdradzać; lekarze byli przywilejem warstw magnackich, a te żyły własnym, najbardziej egoistycznym życiem. Byli lekarze i w mieszczaństwie, ono jednak głosu nie zabierało, bo zabierać wówczas nie mogło. Wybitni pisarze polityczni XVIII wieku, Konarski, Staszic, Kołłątaj, zagadnień lekarskich w swych pismach nie dostrzegali, jakkolwiek tenże Staszic, w długie lata później, w swym testamencie sprawom zdrowotnym w swych fundacjach poświęcił dużo trafnych uwag.

Pierwsze ćwierćwiecze wieku XIX, które zbiegło się z renesansem Wszechnicy Jagiellońskiej, powstaniem Szkoły Medyko-Chirurgicznej w Warszawie oraz stworzeniem Uniwersytetu Wileńskiego, przyniosło pierwsze próby publicystyczne, zatrącające nieraz o zagadnienia zdrowia publicznego; autorem ich był nie kto inny, jak największy uczony polski pierwszej połowy wieku XIX, Jędrzej Śniadecki, który w wolnych chwilach rad parał się piórem. Natomiast „zawodowa", że tak powiem, literatura spraw lekarskich w dalszym ciągu nie dostrzegała. Olśniewający wybuch wielkiej poezji romantycznej nie stwarzał oczywiście warunków do poruszania tych zagadnień. Gdy Mickiewicz w swych parabolach w „Księgach Pielgrzymstwa" mówi o potrzebie pospólnego wysiłku w celu osuszenia błot wobec rozszerzającej się epidemii malarii, lub gdy wspomina o sporze lekarzy, z których jeden chciał leczyć kobietę w letargu według metody Browna, a drugi według metody Hahnemanna, i żaden nie chciał od swego zdania odstąpić, aż chorą wyleczył syn bolesnym okrzykiem: „o matko moja!" — nie jest to oczywiście żaden konkretny stosunek do zagadnień lekarskich. Z czasów pierwszego czterdziestolecia wieku XIX zanotować możemy jedynie szereg fraszek Antoniego Goreckiego, który z upodobaniem znęcał się nad lekarzami, niewiele zresztą odbiegając od wzorów Reja i Potockiego.

Zmianę ustosunkowania do zagadnień lekarskich mógł w literaturze przynieść tylko nowy rodzaj literacki, w błyskawicznym tempie wysuwający się na plan pierwszy, tj. powieść. Józef Ignacy Kraszewski znaczną większość swego olbrzymiego dorobku poświęcił powieści historycznej. W stosun-

kowo nielicznych powieściach współczesnych Kraszewskiego, na ile je znam, nie spotkałem żadnych zagadnień lekarskich, poza przemykającymi się epizodycznie postaciami lekarzy, pozostającymi całkowicie na trzecim planie („Morituri"). Józef Korzeniowski, pierwszy apologeta wejścia zdeklasowanej szlachty w życie rozwijającego się mieszczaństwa, znalazł w swych powieściach miejsce dla szlachcica, który się stał technikiem, a nawet rzemieślnikiem; lekarza jednak nie spotkałem w znanych mi jego utworach. Świetne staroszlacheckie obrazy z czasów XVIII wieku, znajdowane u Ignacego Chodźki i Henryka Rzewuskiego, tym mniej miały miejsca dla spraw lekarskich.

Nawet zaczynający się po roku 1875 wspaniały rozwój powieści polskiej nie uwidocznił się zrazu szczególnymi zainteresowaniami dla spraw zdrowotnych. Tym dziwniejsze może się to wydać, że były to już czasy, gdy zaczynał się pierwszy właściwy rozkwit medycyny polskiej i gdy w życiu społecznym narodu zaczęła już ona odgrywać pewną zdecydowaną rolę. Olbrzymi wpływ Marcinkowskiego w Poznańskiem, Mayer i Dietl w Krakowie, Mianowski, Chałubiński i Baranowski w Warszawie — były to już zjawiska na miarę zgoła nie zaściankową. Mimo to z wielkiej trójcy powieściopisarzy, którzy zabłyśli z początkiem ostatniego ćwierćwiecza w. XIX, żaden nie znalazł właściwego miejsca już nie tylko dla zagadnień zdrowotnych, lecz nawet dla czynnej roli lekarza w życiu swych bohaterów. Henryk Sienkiewicz, w czasach gdy był jeszcze pozytywistą i zwolennikiem pracy organicznej, akcję swej pierwszej powieści („Na marne") umieszcza w studenckim środowisku kijowskim, wprowadzając tam również, mdłe zresztą, typy medyków. W „Starym sługe" szkicuje postać młodego „doktorka Stasia", który ośmielił się ożenić z obywatelską córką, co jej było poczytywane za mezalians, przy czym nie jestem pewien, czy w gruncie rzeczy nie myśli tak i sam autor. W „Hani" bohaterka romansu ulega potwornemu zeszpeceniu przez ospę, lecz tenże „doktorek Staś", jak się zdaje, nawet nie słyszał (akcja toczy się około roku 1860!) o szczepieniach przeciwospowych. Historyczne powieści Sienkiewicza nie były oczywiście właściwym terenem do poruszania zagadnień lekarskich, uderza jednak w nich zupełny brak zwracania uwagi na fakty dziejowe, które tak przemożne miały znaczenie w czasach akcji powieści: wojna trzydziestoletnia zredukowała w wieku XVII ludność ówczesnych Niemiec do 1/3 — nie tyle z powodu działań wojennych, ile na skutek różnych epidemii; nie inaczej było w czasach „Ogniem i mieczem" i „Potopu", mimo to jednak Sienkiewicz, który wszak bardzo starannie dokumentował swe utwory z punktu widzenia historycznego, a zwłaszcza wojskowego, ani słowem nie wspomina o czynnikach chorobowych, które tylekroć decydowały o losach kampanii wojennych. Gdy w epilogu do „Ogniem i mieczem" lakonicznie mówi: „przyszła potem zaraza i Szwedzi" — to jest wszystko. Stosunek „Trylogii" do lekarzy jest dość swoisty, inny niż za czasów Kochanowskiego; lekarzy w niej pamiętam czterech: pierwszy to pocieszne Włoszysko, beznadziejnie zakochane w Anusi Borzobohatej, ku wielkiemu oburzeniu Zagłoby z powodu podobnej śmiałości w człowieku tak podłej kondycji; drugi — to medyk przyboczny księcia Bogusława Radziwiłła;

wdzięczny pacjent kazał go rzucać w prześcieradłach z powodu nieudałej kuracji przeciwzimniczej; trzeciego Charłamp obuszkiem przygania do łoża śmierci Anusi; czwarty to kamieniecki medyk Rodopuł, którego srogi wachmistrz Luśnia w worku przywozi do łoża Basi Wołodyjowskiej, a Zagłoba swoiście zachęca do pracy zawodowej pokazując w jednej ręce worek cząstych, a w drugiej pistolet: „to nagroda za życie, a to za śmierć"; po tej miłej zachęcie i „po przemijających mdłościach" medyk zabiera się do czynności samarytańskich... W „Quo vadis" jest już mowa o epidemii tyfusu więziennego, ale ta była autorowi potrzebna przede wszystkim dla ocalenia cnoty Ligii... Nawet epidemia śpiączki afrykańskiej „W pustyni i w puszczy" wynika raczej z logicznych konieczności powieści, niż z poczucia realizmu.

Nie tylko jednak w romansach historycznych Sienkiewicza, ale i w jego powieściach współczesnych sprawy zdrowotne nie odgrywają żadnej roli, a bezceremonialna symplistyka, z jaką autor traktuje rozpoznania lekarskie, jest naprawdę bardzo drażniąca. Tak np. Anielka Kromicka w „Bez dogmatu" umiera na „paraliż kiszek" po przedwczesnym porodzie. Dziwne, że wielki pisarz, który miesiące i lata trawić umiał na dokumentacji zagadnień historycznych, wojskowych, religijnych, nie zatroszczył się o to, aby poradzić się kogoś z lekarzy: ten by mu na pewno podszepnął jakąś realną komplikację poporodową, jakiś krwotok, albo po prostu prozaiczne zakażenie połogowe...

Nierównie głębiej od Sienkiewicza patrzący na sprawy współczesne Bolesław Prus, nawet w pracach o zacięciu socjologicznym, jak „Najogólniejsze ideały życiowe", zagadnieniom zdrowia publicznego poświęca nieproporcjonalnie mało miejsca, jakkolwiek, zwłaszcza z „Kroniki tygodniowej", widać, że autor zdaje sobie sprawę z wagi problematów higieny społecznej. W swym dorobku powieściowym Prus wprowadza już liczniejszych lekarzy, zajmując się nimi raczej jednak tylko od strony anegdotycznej. Nieporównane pary studentów-medyków, Maleskiego i Patkiewicza w „Lalce", Gromadzkiego i Łukaszewskiego w noweli „Pojednani" — to postacie żywcem wyjęte z życia i pełne najprzedniejszej *vis comica*. Konkurenci małomiasteczkowi, leczący wymyślnymi receptami, dr Brzozowski i zwolennik prostoty w leczeniu dr Brzeski w „Emancypantkach", oraz nie mniej pocieszni antagoniści, stary lekarz wiejski i nowomodny doktorek warszawski, uczeń Chałubińskiego, w „Anielce" — bawią przede wszystkim komizmem kontrastowym. Dr Szuman w „Lalce" drażni tym, że odziedziczywszy niewielki majątek pospiesznie rozstał się z praktyką lekarską — zdaje się, że nawet Prus podświadomie uważał wykonywanie zawodu lekarskiego za jakieś zajęcie gorszego rzędu. Na dobro Prusa zapisać natomiast należy pierwsze piękne spostrzeżenia chorobowe, dotyczące jego bohaterów: Anielka, umierająca z nierozpoznanej i nieleczonej w porę malarii, a zwłaszcza świetny obraz narastającej niedomogi wieńcowej, zakończonej ostrym atakiem, dzisiaj powiedzielibyśmy zawałem mięśnia sercowego, u ostatniego romantyka, Ignacego Rzeckiego w „Lalce" — to już obrazy świadczące naprawdę o ostrym zmyśle obserwacyjnym pisarza i zgodne z rzeczywistością kliniczną.

Trzecia wielka pisarka omawianej doby, Eliza Orzeszkowa, jakkolwiek z całej trójcy najbystrzej odczuwała niedole ludzkie i rozumiała krzywdy wynikłe z wad ustroju społecznego, to przecież zagadnieniom lekarskim w swej twórczości poświęcała najmniej uwagi. Z poruszonych przez nią spraw lekarskich wymienić należy dwa odważnie postawione obrazy chorobowe: zespół „wielkiej histerii" u pani Emilii Korczyńskiej oraz ciekawą klinicznie sylwetkę morfinisty, jakie znajdujemy w wielkiej powieści Orzeszkowej „Nad Niemnem". Na podkreślenie zasługuje przenikliwość autorki, która umiała zdać sobie sprawę ze znaczenia klinicznego obu zespołów, i to w dobie, gdy nie zostały one właściwie ocenione nawet przez ogół świata lekarskiego.

Gdy wśród współczesnych Sienkiewiczowi, Prusowi i Orzeszkowej uwzględnimy również ptaki mniejszego lotu, wówczas, omawiając sprawę zagadnień lekarskich w literaturze, nie możemy pominąć milczeniem świetnego obrazu ostro przebiegających suchot płucnych, narysowanego przez Ignacego Dąbrowskiego w jego powieści pt. „Śmierć". Pyszne sceny obyczajowe z życia pogardzanego wówczas zawodu aptekarskiego spotkaliśmy już poprzednio u Prusa w jego humoresce „Kłopoty farmaceuty"; szerzej, z dużym nerwem realistycznym ujął je Wacław Gąsiorowski w swym „Pigularzu". Nowe sceny z życia medyków znajdujemy u Gamastona w powieści „Fata Morgana", i na tym bodaj wyczerpują się te obrazy z życia lekarskiego, które znane mi są z literatury polskiej ówczesnej doby.

Wielkie obrazy miały dopiero przyjść, i to niedługo. Były one niejako koniecznością. Zawód lekarski w drugiej połowie wieku XIX wchodzić zaczął nieuchronnie na nowe tory. Ze stanowiska mniej lub bardziej lukratywnego zajęcia zawodowego zaczęło się wyłaniać, zrazu mgławicowo, nowe ujęcie roli lekarza w społeczeństwie. Milowymi krokami posuwający się rozwój nauk lekarskich, gruntowanie dyscyplin dynamicznych, fizjologii i chemii lekarskiej, pierwsze, empirycznie stworzone szczepienia ochronne, początki nauk mikrobiologicznych i ich błyskawiczny rozwój, początki racjonalnej polityki sanitarnej, gruntujące się zwłaszcza w ówczesnych Niemczech pod wpływem nowopowstałej nauki — higieny, wszystko to w nieodwracalnej logice faktów prowadzić musiało do gruntownego przewartościowania dotychczasowej roli lekarza w życiu narodów. Coraz głośniej rozlegające się pomruki niezadowolenia społecznego kierowały uwagę socjologów również na jednostronność pomocy lekarskiej w ówczesnym społeczeństwie. W literaturze Zachodu już w latach trzydziestych w. XIX spotykamy pierwszą, na długi czas zupełnie odosobnioną wizję tego stanowiska, jakie lekarzowi w dalekiej przyszłości przypaść miało. Twórcą tej wizji był jeden z największych pisarzy świata, Honoriusz Balzac, który w swym „Lekarzu wiejskim" w osobie doktora Benassis stworzył pierwszy typ lekarza-społecznika. Dr Benassis w gminie, w której zamieszkuje, stał się doradcą nie tylko w sprawach lekarskich, lecz również

w sprawach rodzinnych, prawnych, rolniczych, hodowlanych; jako mer gminy przyczynił się do jej rozkwitu ekonomicznego, do zmniejszenia przestępczości, ani na chwilę nie tracąc poza tym z oczu swego zasadniczego obowiązku lekarskiego. Postać mało realna, raczej rodem z wyspy Utopii, czyni jednak zaszczyt genialnej intuicji Balzaca, który umiał sięgnąć spojrzeniem na długie dziesiątki lat naprzód. I chociaż „Lekarz wiejski" jest jako całość jedną z najsłabszych powieści Balzaca, i chociaż artystyczna wyrazistość doktora Benassis wydaje się absolutnie blada przy innym lekarzu Balzaca, ulubionym jego bohaterze, doktorze Bianchon, wyrosłym z ludu naukowcu i praktyku o tęgim mózgu i twardych łokciach, to przecież typ lekarza-społecznika, zapoczątkowany przez Balzaca, nie mógł przeminąć bez śladu. Gruntujący się w połowie wieku XIX kierunek myśli polityczno-społecznej, który światu całemu miał nowe wytyczyć tory, socjalizm, samą logiką faktów musiał zadaniom rzędu lekarskiego nadać nowe oblicze, przyczynić się do ich umasowienia i upowszechnienia. Jeśli w lat kilkadziesiąt później czołowi przedstawiciele myśli socjalistycznej, mówiąc o przyszłym — lepszym — świecie, twierdzić mogli: „przyszłość należy do techników i lekarzy", to wniosek ten był logicznym rozwinięciem tez wywodzących się jeszcze z „Manifestu Komunistycznego". Przejawem samoobrony warstw posiadających było paliatywne leczenie bolączek życia społecznego w dziedzinie medycyny społecznej, jakie znalazło wyraz w ówczesnej organizacji Kas Chorych, zapoczątkowanej w Niemczech Bismarckowskich; innym paliatywem było w Rosji carskiej zorganizowanie sieci lecznictwa samorządowego (szpitale ziemskie). O całkowitym zorganizowaniu lecznictwa społecznego nigdzie jeszcze nie było mowy, a sama jego idea dopiero zaczynała kiełkować.

W rozdartej Polsce nie było nawet takich rudymentów lecznictwa społecznego jak szpitalnictwo ziemskie, gdyż rządy zaborcze ze względów politycznych nie dopuszczały nawet do pozorów samodzielności. Zrozumienie potrzeb lecznictwa społecznego zaczynało dopiero dochodzić do świadomości nielicznych jednostek. W warunkach tych zjawisko, jakim był na terenie literatury polskiej Stefan Żeromski, było fenomenem, o wiele wyprzedzającym stopień dojrzałości społeczeństwa polskiego i nie znajdującym równego sobie ani na Zachodzie, ani na Wschodzie. Osobiste cechy Żeromskiego niejako predestynowały go do tego, aby w jego ujęciu zagadnienia rzędu lekarskiego wypadły najtrafniej; chorowity od lat najmłodszych — znał ciężar choroby i rozumiał radość zdrowia; z zaczętych studiów wyższych wyniósł przyrodnicze spojrzenie na świat; obdarzony był genialnym zmysłem obserwacji szczegółów; przeszedłszy najtwardszą szkołę życia — znał nędzę i rozumiał bezmiar cierpień i chorób z niej wynikających. Jeśli dodać do tego cechujące Żeromskiego wyjątkowe poczucie sprawiedliwości, indywidualnej i społecznej — wówczas jasne będzie, że więcej niż ktokolwiek inny nadawał się on do roli genialnego syntetyka, jakim się okazał na wielu polach, a przede

wszystkim na polu wizjonerstwa lekarsko-społecznego. Nawiązane bowiem w latach akademickich, a przez smutne konieczności zdrowotne narzucane przez całe życie Żeromskiemu stałe kontakty z wybitnymi indywidualnościami lekarskimi, od Radziwiłłowicza poczynając, wprędce zwróciły jego uwagę na rolę lekarza w społeczeństwie; toteż zajmował się nią z upodobaniem, i tak głęboko, jak bodaj nikt z wybitnych pisarzy świata.

Opisy chorób spotykane w utworach Żeromskiego — rzadko tylko szczegółowiej opracowane, jak np. obraz przewlekłej nosacizny u chorego doktora Poziemskiego w „Promieniu" lub gruźlicy kości w noweli „Cokolwiek się zdarzy", czy zakażenia przyrannego u groteskowego lokaja w „Charitas" — z punktu widzenia lekarskiego są bezbłędne, a w literaturze pięknej, pisanej nie przez lekarzy, równych szukać można chyba tylko u Aldousa Huxleya — w jego straszliwym opisie gruźliczego zapalenia opon mózgowych u dziecka. Widać, że pisarz zadawał sobie trud, aby każdy z tych obrazów należycie udokumentować, uzgadniając je ze znawcami, tj. z lekarzami. Ale i drobne spostrzeżenia dotyczące osób chorych imponują bystrością: wystarczy porównać obraz beznadziejnej suchotnicy, pani Daszkowskiej, w „Ludziach bezdomnych" z obrazem umierającego księżyka w sienkiewiczowskim „Bez dogmatu", aby wyższość obserwacji Żeromskiego przemówiła sama za siebie. Niejednokrotnie obrazy chorobowe rzucane przez Żeromskiego są w swym realizmie tak bezlitosne, że aż w najwyższym stopniu przykre: obraz ostrego otrucia strychniną Karusi Szarłatowiczówny w „Przedwiośniu" pozostawia wrażenie niepotrzebnej brutalności; może w jeszcze większym stopniu odnosi się to do sceny potajemnego porodu Ewy Pobratyńskiej w „Dziejach grzechu". Najbardziej jednak charakterystycznym dla mnie objawem wspaniałej spostrzegawczości Żeromskiego jest szczegół niedawno przeze mnie zauważony: inżynier Korzecki z „Ludzi bezdomnych" — neurastenik, dziwak, odludek, aktywny konspirator, wreszcie samobójca — był zawsze dla mnie postacią szczególnie fascynującą, choć niezupełnie zrozumiałą; przy setnym może czytaniu zastanowiłem się nad opisem powierzchowności Korzeckiego, a mianowicie nad obrazem jego oczu; nie wiem, czy Żeromski zdawał sobie sprawę z klinicznego znaczenia zespołu nierówności źrenic; jeśli nie znał go, jak mam prawo przypuszczać, to przyznać należy, że obserwatorem był wprost genialnym — bo ten drobny szczegół, bez stawiania kropek nad i, wyjaśnia dostatecznie niezwykłości charakterologiczne Korzeckiego.

Nie w ostrości spostrzegania zespołów chorobowych i nie w precyzji ich podawania mieści się jednak znaczenie Żeromskiego, jeśli mówimy o zagadnieniach lekarskich. Zadziwiające jest, z jaką intuicją potrafił on wynajdywać punkty neuralgiczne życia lekarzy, których sobie obrał za bohaterów: mówiąc o śmiertelnej chorobie doktora Poziemskiego w „Promieniu" porusza jednocześnie i zagadnienie chorobowości zawodowej wśród lekarzy, i kwestię braku zaopatrzenia chorobowego, i sprawę braku zaopatrzenia pośmiertnego dla rodzin lekarzy. Doktor Obarecki w „Siłaczce" pod wpływem nudy życia w sym-

olicznym powiatowym Obrzydłówku i niemożności wyładowania pulsują-ych w nim zrazu instynktów pracy społecznej marnuje się, grzęznąc w trzę-awisku życia codziennego; problemat nudy nieuspołecznionego lekarza pro-wincjonalnego, po raz pierwszy bodaj poruszony przez Flauberta w „Pani Bovary", i dotąd jeszcze nie stracił na ostrości. Dr Zenon w „Złym spojrze-niu" po stracie ukochanego jedynaka z całą pasją i samozaparciem poświęcił się ratowaniu dzieci, aż kiedyś, w chwili słabości, z zawiścią spojrzał na ki-piącego życiem syna swego sąsiada; a potem zabrakło mu koniecznej w ży-ciu lekarza odwagi, aby temu sąsiadowi, nieszczęsnemu ślepcowi, powiedzieć o śmierci jedynego syna — i wyrzut sumienia z powodu złego spojrzenia i chwilowego tchórzostwa na zawsze zaciąży na jego sumieniu. Bezimienny, znany z oschłości chirurg szpitalny z noweli „Cokolwiek się zdarzy", bez-radny zawodowo wobec postępującej gruźlicy kości u biedaka-fornala, zdo-bywa się na niespodziewany dla siebie samego gest pogłaskania nędzarza po głowie — i gest ten staje się źródłem otuchy i pociechy dla nieszczęsnego ka-leki. Wszystkie wymienione obrazy — a byłoby ich więcej — przemawiają żywo do każdego czytelnika; dla wielu lekarzy myślących i czujących stały się ponadto nauką i drogowskazem. I dla tych właśnie lekarzy, myślących i czu-jących, niezaprzeczoną pociechę w licznych rozczarowaniach życia zawodo-wego stanowi ujawniony we „Wspomnieniu o Adamie Żeromskim", najpiękniejszym w literaturze świata pomniku miłości ojcowskiej — wyrozumiały, pełen wdzięczności i współczucia stosunek do lekarzy, którzy przecie, mimo wszystkie swe wysiłki, okazali się bezsilni wobec choroby zżerającej organizm syna wielkiego pisarza.

Wszystkie wymienione obrazy z utworów Żeromskiego bledną jednak wo-bec „Ludzi bezdomnych". Na kartach tej żywą krwią pisanej powieści spo-tykamy rozległą galerię typów lekarskich. Wzorowany na postaci wybitnego warszawskiego społecznika i klinicysty Teodora Dunina — wykwintny i spo-kojny luminarz życia umysłowego lekarskiej Warszawy dr Czernisz; oschły znakomity praktyk dr Płowicz traktuje medycynę jako ciekawy zawód, a za rzecz osobistej ambicji uważa dobre wykonanie tego zawodu; staruszek dr Ka-lecki pokrywa merkantylne traktowanie praktyki szeregiem altruistycznych frazesów; świetnie zarysowany Żyd-lekarz dr Chmielnicki, komicznie bole-jący nad wojowniczym brzmieniem swego nazwiska, wyraźnie formułuje po-gląd, że zarobki z praktyki lekarskiej są równoznaczne z odcinaniem kupo-nów od zainwestowanego kapitału, a mimo to — sam wstydliwie uprawia filantropię wobec uciśnionych współwyznawców; widzimy wreszcie liczną rze-szę bezimiennych lekarzy, ukazaną przez autora tylko jako audytorium, roz-maicie reagujące na światoburcze projekty dr Judyma. W dalszym ciągu po-wieści zjawia się wytworny dr Węglichowski, dyrektor prywatnego sanato-rium w Cisach; ten — kosztem niewątpliwego, świadomego kompromisu etycznego — korzyściom reprezentowanego przez siebie konsorcjum akcyjnego podporządkowuje bezpośrednie interesy zdrowotne okolicznej ludności, mimo

iż doskonale zdaje sobie sprawę ze szkodliwości swego stanowiska. Skala typów lekarskich, jak widzimy, bardzo duża i rozmaita. Na ich tle zarysowany jest umiłowany bohater Żeromskiego, doktor Tomasz Judym, w którego usta autor wkłada całe swoje *credo* pojęć o roli lekarza w społeczeństwie. Judym, syn szewca-łaciarza, pochodzi z samego dna proletariackiej Warszawy. Żeromski, doskonale znający stolicę, z niezwykłą znajomością rzeczy umieścił rodzinną suterenę Judyma w najokropniejszej dzielnicy Warszawy, na rogu Krochmalnej i Ciepłej; otchłań nędzy, jaką był początek ulicy Krochmalnej, wstyd wyznać, przetrwała aż do czasu całopalenia lat okupacyjnych niemal bez zmiany od czasów akcji „Ludzi bezdomnych". Judym, zrazu za cenę niesłychanych upokorzeń, a potem drogą najtwardszej walki o byt, zdobywa wykształcenie gimnazjalne i kończy uniwersytet, jakimś cudem uzyskuje stypendium zagraniczne i po dwuletnim pobycie w Paryżu, jako kwalifikowany chirurg wraca do Warszawy, pełen poczucia krzywd społecznych i żądny ich poprawy. Postać pełna niekonsekwencyj — zaczyna od niefortunnej próby zdobycia praktyki prywatnej; kategorycznym wystąpieniem na zebraniu dyskusyjnym u doktora Czernisza nikogo z obecnych lekarzy nie przekonuje, choć u wielu zyskuje sobie świadomą lub podświadomą sympatię. Z nędzy rezygnuje z pobytu w Warszawie, przenosi się na stanowisko asystenta w modnym zakładzie kąpielowym w Cisach, tam rozwija pełną inicjatywy działalność wśród okolicznej ludności wiejskiej; niezdolny do kompromisów, niepotrzebnym wybrykiem wściekłości przekreśla swe stanowisko, przenosi się do robotniczego Zagłębia Węglowego i rozpoczyna lekarską walkę z nędzą i ciemnotą. Nieufny w swą odporność psychiczną, postanawia zostać sam; łamie serce ukochanej kobiety, aby mu nie była przeszkodą w jego działalności — i samotny odchodzi w życie. Taka jest w skrócie treść powieści. Nie fabuła jednak jest jej istotą. Przy okazji niefortunnego referatu „programowego" Judyma na zebraniu dyskusyjnym u doktora Czernisza poznajemy jego wyznanie wiary — uzupełnione później wielokrotnymi wypowiedziami w toku powieści: wierzy on w przyszłość medycyny, która będzie wykreślać ludzkości nowe drogi. Medycyna nie może być indywidualną akcją charytatywną — ma być zorganizowaną, świadomą działalnością budownictwa społecznego, ma mieć nadzór nad warunkami higienicznymi pracy i mieszkania, ma łączyć świadomą akcję zapobiegawczą z racjonalnym lecznictwem. Judyma przepełnia poczucie wartości stanu lekarskiego: nie jest to tania emfaza, nie jest to patetyczny frazes, gdy z dumą woła: „My, lekarze, my, sól ziemi, my, rozum, my, ręka kojąca wszelką boleść!". A jednocześnie brak w nim konsekwencji w dążeniu do swych ideałów: gdyby koniunktura wypadła lepiej, pewnie sam by się stał jednym ze zjadaczy chleba — jeszcze nic nie dokonał, jeszcze niczego nie stworzył — postępowanie dotychczasowe to tylko negacja; pod wpływem niepowodzeń coraz bardziej traci opanowanie; zamiast wejść jako czynny członek w organizację pracy lekarskiej, zdobywa się tylko na niepotrzebny akt, ni to bohaterstwa ni to poświęcenia, będący jednocześnie aktem niepotrzebnego okrucieństwa — odtrąca szczęście osobiste, w mylnym przekonaniu, że czyn ten ułatwi mu jego

zadania. Co osiągnął, nie wiemy, bo autor w tym właśnie miejscu przerywa tok powieści...

Wrażenie wywarte przez „Ludzi bezdomnych" było bezpośrednio ogromne, i pod wpływem tej książki w całym szeregu zawodów, nie tylko wśród lekarzy, znaleźli się ludzie wcielający w życie zasady „judymizmu", jak to sarkastycznie nazywali przeciwnicy ideowi lub po prostu sceptycy czy oportuniści. Sama powieść jednak była źródłem potężnego fermentu, który zaczął nurtować pojęcia i charaktery. Odległy wpływ „Ludzi bezdomnych" trudno ocenić w całej rozpiętości; jeśli jednak w Polsce wskrzeszonej, bezpośrednio po pierwszej wojnie światowej, polityka lekarska wzięła od razu szeroki rozmach społeczny, to jest w tym bezspornie część zasługi tak sugestywnie wyrażonych poglądów Żeromskiego, i nie jego to wina, że pierwotne zamierzenia medycyny społecznej uległy w latach międzywojennych zahamowaniu i spaczeniu. Gdy w chwili obecnej, w pięćdziesiąt lat z górą po napisaniu „Ludzi bezdomnych", rozważymy rewolucyjne naówczas postulaty Żeromskiego wypowiedziane ustami Judyma — nie wydadzą się nam one niczym innym, jak odzwierciedleniem tego, co ulega w dobie obecnej konsekwentnemu wcielaniu w życie: służba zdrowia jako konstruktywny czynnik państwowy, o działaniu przede wszystkim zapobiegawczym, o zasięgu powszechnym, oparta, nie jak w Stanach Zjednoczonych, na upokarzającym i dowolnym podłożu charytatywnym, lecz na niezaprzeczonym prawie każdego obywatela do pomocy lekarskiej, a pełniona przez zabezpieczonego materialnie lekarza-obywatela w służbie społecznej. Jednej rzeczy zabrakło w socjologicznych rozważaniach Żeromskiego na tematy lekarskie: rozważenia sprawy naukowej pracy lekarskiej i nauczania lekarskiego. Jednak wizja przyszłości medycyny, wyczarowana przez Żeromskiego w ponurym roku 1898, była nieomal prorocza.

Tym bardziej wydaje się prorocza, że mniej więcej w tym samym czasie, na dwóch przeciwległych krańcach Europy, dwaj wielcy pisarze zajęli w stosunku do zagadnień lekarskich stanowisko wyraźnie negatywne, co odbiło się szerokim echem i nie pozostało bez następstw. W Rosji Lew Tołstoj, zawsze przedziwnie zdrów, zawsze dziwacznie niechętny w stosunku do lekarzy („Anna Karenina", „Sonata Kreutzerowska"), wytoczył przeciwko nowomodnym wymysłom, bakteriologii i higienie, ciężkie baterie kpin, przeciwstawiając tymże zachodnim nowinkom zdrowy instynkt prostego człowieka, który okazuje się mądrzejszy nie tylko od snobów, ale i od rzeczywistych przedstawicieli zawodu lekarskiego („Owoce oświecenia" i inne). W Anglii genialny kpiarz, George Bernard Shaw, w swym „Dylemacie lekarza" postawił głównego bohatera swej sztuki, lekarza-wakcynologa, w obliczu nierealnego konfliktu etycznego — wobec możliwości leczenia wytworzoną przez niego szczepionką tylko jednego z dwóch (?) chorych; rządząc się wyłącznie osobistymi pobudkami, lekarz wychodzi ze swego dylematu jak najgorzej; zagadnienie, oparte przez Shawa na całkowicie błędnych przesłankach, dało mu pole do nieprzekonywającego persyflażu pracy naukowo-lekarskiej i osiągnięć medycyny zapobiegawczej; w obszernej przedmowie do wymienionej sztuki Shaw

postawił ponadto przedstawicielom zawodu lekarskiego szereg niedostatecznie umotywowanych zarzutów natury etycznej. Zasięg wpływu obu powyższych pisarzy był bardzo wielki, i śmiało rzec można, że żaden z nich nie oddał wspomnianymi swymi dziełami wielkiej przysługi ludzkości. W zestawieniu z nimi, jeśli idzie o zagadnienia zdrowotne społeczeństwa, Żeromski wyróżnił się twórczą intuicją.

Gdy przestało bić „serce nienasycone", jak pięknie nazwał Żeromskiego najwnikliwszy z jego dotychczasowych biografów i analityków, Stanisław Adamczewski — w literaturze polskiej nie znalazł się nikt, kto by umiał podjąć poruszone przez niego zagadnienia. Wielki rówieśnik Żeromskiego, Władysław Stanisław Reymont, poza sympatyczną postacią doktora Wysockiego w „Ziemi obiecanej", lekarzy nie wprowadza. Dał zabawną sylwetkę nieszkodliwego schizofrenika w „Fermentach"; obrazów choroby w dziełach swych raczej unikał i nie myślał o ich dokumentacji; stąd też np. genialny po malarsku obraz przedśmiertnego delirium Macieja Boryny w „Chłopach", zakończony symbolem siewu nowego zboża, jest dla czytelnika-lekarza mocno drażniący z uwagi na całkowite nieprawdopodobieństwo kliniczne. Najgłębiej odczuwający bolączki ustroju i z całkowitą odwagą odsłaniający je Andrzej Strug dla spraw zdrowotnych nie miał należytego zrozumienia. W swej „Odznace za wierną służbę" dał wzruszający obraz powolnego konania młodziutkiego żołnierza, którego duch był mocniejszy od płuc; jakże często w literaturze polskiej powtarza się motyw śmierci z suchot, które, ku naszemu największemu wstydowi, można by nazwać nieledwie narodową chorobą!... Bez obsłonek obnażający nędzę chłopa podhalańskiego Władysław Orkan, równie jaskrawe obrazy z życia robotnika górniczego i hutniczego kreślący Juliusz Kaden-Bandrowski nie znaleźli właściwego spojrzenia na sprawy zdrowia publicznego. W całej współczesnej Żeromskiemu i bezpośrednio po nim następującej literaturze polskiej nie było nikogo, kto by poszedł — zdawałoby się tak prosto przez niego wytyczoną — drogą właściwego zrozumienia problematów zdrowotnych.

A tymczasem tematyka zagadnień lekarskich, przygasła u nas, zaczynała w literaturach Zachodu zajmować coraz więcej miejsca, poruszając zagadnienia dotąd nietykane. Wspomnę tylko o najważniejszych. Sinclair Lewis, wspomagany doświadczeniem lekarskim swego przyjaciela Pawła de Kruifa, w jednej z najciekawszych swych książek, „Doktorze Arrowsmith", bezwzględnie najlepszej z napisanych kiedykolwiek powieści o lekarzu, poruszył szereg bardzo istotnych problematów: bezlitośnie obnażył ciasnotę i strupieszałość nauczania na pomniejszych amerykańskich wydziałach lekarskich, zdemaskował doktrynerstwo i zakłamanie nieprzygotowanych etycznie lekarzy urzędowych, z genialną intuicją zobrazował toczący duszę bohatera powieści dylemat wyboru pomiędzy obowiązkiem lekarza a wymaganiami beznamiętnej pracy naukowej, jeśli ta ma wytyczyć nowe drogi nauce. Tomasz Mann w „Czarodziejskiej górze" dał obraz nagminnej psychozy chorobowej wśród pensjonariuszy snobistycznego sanatorium przeciwgruźliczego; prawem kontrastu — na zawsze

w czytelniku upamiętnia się straszliwe malowidło śmierci chorego na gruźlicę krtani młodego oficera; niezapomniany pozostaje obraz pierwszej bytności bohatera powieści w pracowni rentgenologicznej. Pierwsza wojna światowa dała asumpt do licznych dzieł, w których zagadnienia chorób i ran, życia lazaretowego, chorobowości pozafrontowej znajdowały poczesne miejsce, że wymienię tylko najgłośniejsze, choć nie zawsze najbardziej wartościowe: słynne, dla mnie z gruntu fałszywe w sztafażu wspomnienia chirurgiczno-lekarskie pt. „Życie męczenników" Duhamela, książki Remarque'a, Hemingwaya, i legion innych. Czarujący szarlatan Axel Munthe, niezmiernym powodzeniem swej — fascynującej zresztą, choć w swym egotystycznym indywidualizmie bardzo nieprawdziwej — „Księgi z San Michele" otworzył drogę całej powodzi pamiętników lekarskich, z których poza książkami Forela, Morrisa, Macartneya mało zasługuje na uwagę. Powodzenie popularyzatorskich opowieści z rodzaju *vie romancée* Pawła de Kruifa pociągnęło za sobą mnóstwo naśladowców *minorum gentium*. „Dziesiąta Muza" — kino zwróciło uwagę na wyjątkowe efekty dekoracyjne, „fotogeniczność" niektórych specjalności lekarskich, z chirurgią wielkoklinicznią na czele, i pośrednio zrodziło liczne, w większości swej raczej szmirowate powieści z życia lekarsko-pielęgniarskiego, o typie scenariuszy filmowych. Z łaski Conan Doyle'a powstały, niezwykle rozpowszechniony nowy rodzaj literacki, powieść kryminalna, ze szczególnym upodobaniem porusza zagadnienia medycyny sądowej, niejednokrotnie zadziwiając pomysłowością tematyczną, przy czym podkreślić wypada ciekawy szczegół, że procentowy udział lekarzy wśród zbrodniarzy-bohaterów tego rodzaju powieści jest niezwykle wysoki, tak że mimo woli czytelnik-lekarz zaczyna się podejrzliwie rozglądać po swoich kolegach po fachu. Poza tymi ostatnimi, poślednejszymi gatunkami literatury zajmującej się sprawami lekarskimi pojawiają się jednak i dzieła wysokiej klasy, poruszające wielką problematykę lekarską, z powieściami wspomnianego już wyżej Cronina na czele.

W porównaniu z literaturami Zachodu, w latach bezpośrednio poprzedzających drugą wojnę światową, sprawy wiążące się tematycznie z zagadnieniami rzędu lekarskiego w literaturze polskiej zajmowały miejsce nieproporcjonalnie małe. Z ciekawszych wymienić należy „Zazdrość i medycynę" Michała Choromańskiego, utalentowane malowidło o wyraźnie, że tak powiem, ekspresjonistycznym charakterze, zawierające szereg kapitalnych spostrzeżeń z sali operacyjnej oraz bardzo ciekawe obrazy zmienności usposobień ludzkich pod wpływem wiatru halnego. Dwie „chirurgiczne" powieści Tadeusza Dołęgi-Mostowicza są chyba najsłabsze w dorobku tego utalentowanego pisarza i stoją całkowicie na poziomie nienajlepszych powieści filmowych. Z upodobaniem wprowadzani przez Kornela Makuszyńskiego lekarze odbici są według jednego szablonu, którego prototyp znajdujemy jeszcze w sienkiewiczowskiej „Rodzinie Połanieckich": są to zawsze starsi panowie w złotych okularach, o nieznośnym charakterze, choć o nie mniej od okularów złotym sercu. Nawet pisarz o niezwykłym po prostu wyczuciu bolączek życia indywidualnego i społecznego, a z racji swego wykształcenia lekarskiego zda-

wałoby się predestynowany do trafnego zabierania głosu w zakresie spraw związanych z medycyną, Tadeusz Boy-Żeleński, tematów lekarskich właściwie unikał, ograniczając się do raczej nieostrożnej, jak mamy prawo obecnie sądzić, akcji w sprawie przepisów co do przerywania ciąży, lub do „odbrązowiania" w świetle lekarskim szczegółów śmierci Mickiewicza. Wydaje mi się, że lata uniwersyteckie Boya pozostawiły w nim pewien uraz, pewien freudowski kompleks; wrażenie to wywarł na mnie jeden z ostatnich przedwojennych jego felietonów, stanowiący wspomnienie z lat studiów lekarskich w Krakowie: w postaci dawno już nieżyjącego profesora Napoleona Cybulskiego autor nie dostrzegł jednego z najwybitniejszych uczonych ówczesnej Europy; dziwny brak poczucia perspektywy w tak wnikliwym pisarzu jak Boy wiele daje do myślenia i każe szukać jakichś głębokich urazów psychicznych, przetrwałych w nim mimo wielu lat.

Na krótko przed wojną z inicjatywy Zakładu Ubezpieczeń Społecznych rozpisany został konkurs na pamiętnik lekarza ubezpieczeniowego. Wydane w roku 1938 „Pamiętniki lekarzy" nie przyniosły dzieł rewelacyjnych z punktu widzenia literackiego; jedynie pierwszy nagrodzony pamiętnik, którego autorką była dr Zofia Karasiówna, poza wartością dokumentu obyczajowo-społecznego wyróżnił się rzeczywistymi walorami pisarskimi. Mimo to, a może właśnie ze względu na nie zawsze udolną, ale przez to może tym bardziej przekonującą formę literacką, zbiór dziesięciu wyróżnionych pamiętników stanowi książkę, której najdokładniejsze przeczytanie należy gorąco zalecić każdemu, kto ma choćby jakiekolwiek zainteresowanie dla spraw społeczno-lekarskich; trudno bowiem o bardziej wstrząsający dokument odwiecznych zaniedbań i odwiecznych niesprawiedliwości, o bardziej wyrazisty obraz wszystkiego, co pozostało niedokonane, a co dokonane być musi. Nie wiem, jaki jest stosunek w czasie pomiędzy wydaniem „Pamiętników lekarzy" a słynną opowieścią Jalu Kurka pt. „Grypa szaleje w Naprawie"; istnieje jednak zadziwiająca zbieżność pomiędzy treścią tej opowieści a wymienionym powyżej pamiętnikiem dr Karasiówny; nie proste sąsiedztwo geograficzne terenu akcji obu tych utworów, lecz ich głęboka więź tematyczna przemawia za jakąś bezpośrednią filiacją. Stanisław Łukasiewicz w powieści „Nauczyciele" odważnie potrąca o zagadnienie niesprawiedliwości społecznej związanej z obłudnym stosunkiem do wstydliwego problemu chorób wenerycznych; poprzednio jedynie Gabriela Zapolska półgębkiem niejako odważała się na wzmiankowanie o tej kwestii (opowiadanie pt. „Taka była słodka...").

Gdy uderzył grom i rozpętała się nawałnica, jakiej ludzkość nie tylko nie znała w swych dziejach, lecz nawet przewidywać nie mogła i nie śmiała, na całym świecie przygasła działalność pisarska, a tematyka zagadnień uległa znacznej zmianie, gdyż uwaga narodów została odwrócona ku zagadnieniom nie tyle ważniejszym od spraw zdrowia publicznego, ile bardziej bezpośrednio absorbującym uwagę szerokiej publiczności: ku sprawom wojennym i politycznym. Niezmierne wprost osiągnięcia praktyczne medycyny leczniczej i zapo-

biegawczej, jakie się dokonały na całym świecie w ogniu ostatnich dziewięciu lat, w zakresie literatury pięknej czekają dotąd na właściwe zobrazowanie. Przyznaję się otwarcie do tego, że o dziełach literackich, powstałych za granicą w dobie wojennej i powojennej, wiem nierównie mniej niż o literaturze lat dawniejszych; nie tylko dlatego, że są one trudniejsze do osiągnięcia niż to bywało dawniej, ale dlatego, że bezpośrednie moje prace zawodowe, stanowiące w miarę sił moich pewien wkład w wykowanie nowej naszej rzeczywistości, absorbują tak wiele czasu, że trudno uszczknąć chwilę na odpoczynek przy książce o charakterze nie ściśle zawodowym; ponadto dawne upodobanie zbierania dzieł literatury pięknej, zatrącających o tematy lekarskie, było mimo wszystko słabostką dość kosztowną... I choć wiem, że zagadnienia społeczno-lekarskie i zawodowo-lekarskie na pewno są poruszane w literaturze pięknej tak Zachodu, jak i potężnego naszego sąsiada i sojusznika wschodniego, o czym dowodnie świadczą chociażby piękne radzieckie filmy o problematyce lekarskiej, jakie mieliśmy sposobność ostatnio oglądać, to jednak, z braku należytej znajomości tematu muszę się uchylić od dyskusji nad literaturą powojenną.

Najbliższa sercu literatura własna w beznadziejnej nocy okupacyjnej musiała zamilknąć zupełnie; tworzywo lat wojennych stopniowo tylko staje się własnością ogółu; nigdy się zresztą nie dowiemy, jak wiele, i jak cennych, dzieł powstałych w czasie okupacji uległo bezpowrotnemu zniszczeniu w kataklizmie roku 1944. Te książki, które po oswobodzeniu Polski ujrzały światło dzienne, aż nazbyt często potrącają o sprawy cierpienia ludzkiego; tym samym nie może być im obca i problematyka związana z zagadnieniami lekarskimi. Gdy jednak uwzględnić, jak żywe są w naszych umysłach i sercach rzeczy niedawno widziane i przeżywane, gdy klęska roku 1939, nędza wydziedziczenia Ziem Zachodnich, straszliwość epidemij, piekielne widziadło getta, koszmar obozów koncentracyjnych, beznadziejne bohaterstwo Warszawy dotąd stanowią dla nas ledwie przyschłe, ale jeszcze nadmiernie wrażliwe blizny, gdy zważyć, że tylko lekarz-Czas pozwoli na bardziej bezkarne ich dotykanie, wówczas jasne będzie, dlaczego trudno się zdobyć na należycie beznamiętne rozpatrywanie dzieł literackich, które dotyczą tego właśnie okresu. Z drugiej strony — brak należytej perspektywy w czasie nie pozwala na należyte zorientowanie się w tych znowu odcinkach twórczości powojennej, które dotyczą zagadnień, jakie wyłaniają się na tle gigantycznego wysiłku całego narodu nad odbudową i stworzeniem lepszej przyszłości. W całej ich wartości i w całym ich znaczeniu ocenić je będzie można dopiero znacznie później.

Jednemu jednak przekonaniu dać wyraz można już obecnie: w literaturze naszej lat najbliższych problematyka lekarska — zarówno na odcinku spraw indywidualnie zdrowotnych, jak przede wszystkim na tylekroć ważniejszym odcinku zagadnień społeczno-lekarskich — zajmie, bo zająć musi, miejsce nierównie ważniejsze, niż to było w latach dawniejszych. Gdy nieuchronna logika

dziejów i świadoma akcja nowego budownictwa społecznego z każdym dniem na coraz ważniejsze miejsce wysuwać każe troskę o zdrowie publiczne, gdy hierarchia trosk zdrowotnych ulega przewartościowaniu, a na plan pierwszy wysuwa się akcja zapobiegawcza, gdy lecznictwo ulega upowszechnieniu, gdy planowość organizacji służby zdrowia daje gwarancję stopniowego podniesienia zdrowotności na wyżyny dawniej nieosiągalne, oczywistym się staje, że zwierciadło życia narodu, jego twórczość literacka nie będzie mogła przejść obojętnie obok zjawisk tak dalece w tym życiu istotnych. I dlatego pewien jestem, że gdy za lat, powiedzmy, trzydzieści któryś z moich następców podejmie temat dziś przeze mnie omówiony, spotka w polskiej literaturze pięknej szereg nowych dzieł, tematycznie związanych z lekarzem i jego działalnością. A może nawet znajdzie w nich szereg nowych wartości i nowych tematów: może napotka na epos o historii zwalczenia którejś z groźnych chorób społecznych, może — na poemat bohaterski o drogach dokonania epokowego odkrycia naukowego. Może znajdzie się powieść obrazująca żmudne i pełne trosk i wahań codzienne życie zawodowe uspołecznionego lekarza; może odzwierciedleniu ulegną rozterki wątpliwości rozpoznawczych i tryumfy prawidłowego leczenia. Może znajdzie się wreszcie ktoś z pisarzy, który by przedstawił nie poruszony dotąd temat: rozkoszy dobrego nauczania w medycynie. Organiczne scalenie się nauk lekarskich z życiem narodu jako całości, proces, którego nieodwracalnego biegu jesteśmy wszyscy świadkami i współuczestnikami, stawia przed twórcami literackimi olbrzymie, nie wyzyskane możliwości tematyczne. A wtedy wśród pisarzy powstaną i tacy, którzy podejmą i udowodnią słuszność dumnych a proroczych słów Żeromskiego, włożonych w usta Tomasza Judyma: „Medycyna będzie wykreślała drogi życia masom ludzkim, podniesie je i świat odrodzi".

S P R A W O Z D A N I A

KSIĄŻKA POPULARNA O MICKIEWICZU

HENRYK SZYPER: *Adam Mickiewicz, poeta i człowiek czynu.* Zarys popularny. „Czytelnik", 1947, str. 244.

Połączyć typ książki popularnej z naukowością, z wyzyskaniem plonu dotychczasowych badań, i wpłynąć na to, by w świadomości czytelników utrwalił się wizerunek Mickiewicza jako działacza postępowego — oto cele, które spełnić ma książka już podtytułem działająca na pobudzenie uwagi w kierunku określonym: *Adam Mickiewicz, poeta i człowiek czynu.*

Dr Henryk Szyper przygotowany był należycie do podjęcia takiej pracy. Jest autorem jednego z najlepszych studiów ukazujących poetę na tle epoki: *Sentymentalizm w twórczości Mickiewicza*; w doskonały komentarz zaopatrzył wydanie *Dziadów* w *Wielkiej Bibliotece*[1]).

Zgodnie z dzisiejszymi tendencjami naukowymi stara się zredukować (ale nie wyeliminować) interpretację psychologiczną, uprzytomnić natomiast tło socjologiczne. Najwyraźniej zaznacza się to na kartach początkowych, gdy uwydatnione zostaje, że przeżycie lat wczesnych „w różnonarodowym społeczeństwie nie pozostanie bez wpływu na demokratyzm, na poczucie braterstwa z całą ludzkością", i że gmin szlachecki, z którego poeta pochodził, był predestynowany na wroga ustroju opartego na niesprawiedliwości społecznej („Tym się tłumaczy" — dodaje dr Szyper — „dlaczego w okresie burzliwych lat 1830 i 1848 tak wiele jednostek z gminu szlacheckiego stawało na barykadach rewolucji politycznych i społecznych"), ale jednocześnie „gmin ten nieraz stanowił podporę ówczesnego konserwatyzmu i wstecznictwa".

W obrębie biografii uwagę zwraca doskonała charakterystyka Maryli, w przedstawieniu twórczości młodzieńczej jasne wyróżnienie ideologii oświecenia i romantycznych dróg duchowych w *Odzie do młodości*, należącej „do tej wielkiej rodziny dzieł poetyckich, które podążając torami Marsylianki i Deklaracji praw człowieka głosiły hasła rewolucyjnego przeistoczenia świata".

Ballady i romanse zostały należycie włączone w całość romantyki europejskiej; tylko dziwne się wydaje, dlaczego obok programowej *Romantyczności* wysunięta jest na czoło *Świteź*, jedna ze słabszych ballad, nie mogąca się równać z *Powrotem taty*, z *Panią Twardowską*, z *Liliami*. Na pełne uznanie zasługuje związanie *Dziadów* części drugiej z folklorem, a przy tym zaznaczenie stylizacji obrzędu i zasadniczej idei humanitaryzmu. Wzorowa zaś jest analiza części czwartej oparta o rozległe tło porównawcze. Na niewielkiej przestrzeni siedmiu stron zdołał autor wyczerpać wszystkie kwestie zasadnicze dotyczące i typu kochanka, i kompozycji oraz stylu, i znaczenia utworu w ewolucji literatury naszej; wyzyskał wyniki dotychczasowych badań i własnych, i obcych. Dążności literatury polskiej i wybitne zjawiska literatury światowej z *Iliadą* na czele dają również pożądane tło porównawcze *Grażynie*, poetyckiemu świadectwu „dalekowzrocznego patriotyzmu".

W zakresie życiorysu poety najdokładniej przedstawiony jest okres pobytu w Rosji. Rumieńców życia nabiera dzięki

[1]) Świeżo wydał *Dziady wileńsko-kowieńskie* ponownie z objaśnieniami, uwagami historyczno-literackimi i materiałami w *Nowej Bibliotece Wiedzy* (1948).

autentycznym rosyjskim głosom: Wiaziemskiego, Kiriejewskiego, Boratyńskiego. W bogatą treść rozdziału wplata się także relacja Odyńca o *Historii przyszłości*; należało do niej dodać uwagę, że wspomnienia Odyńca nie dają gwarancji prawdy.

Z kolei omówienie *Sonetów*, w którym dla młodzieży pouczająca będzie analiza kilku *Sonetów Krymskich*; nowe wprowadzone przez poetę walory romantyczne wystąpiły tu jasno na równi z rolą w rozwoju artysty, co zdobył teraz „umiejętność artystycznego organizowania treści wewnętrznej". Wyraziście też wbije w pamięć czytelnika znaczenie powieści o tragicznym wielkim mistrzu krzyżackim („krystalizuje się w polskiej literaturze romantycznej idea władztwa poezji nad życiem narodu") — oraz tragizm Konrada Wallenroda i sentymentalizm Aldony.

W drugim wydaniu książki, którego należy oczekiwać, rozdziały o poezji okresu rosyjskiego wymagają drobnej modyfikacji: omówienie *Farysa* przesunąć trzeba poza obręb charakterystyki *Sonetów Krymskich*, by czytelnik nie nabrał przekonania, że są to utwory pisane w tym samym czasie; uwagę powinien autor zwrócić na dwa arcydzieła poezji balladowej, które nie zostały nawet wspomniane: *Czaty* i *Trzech Budrysów*[1]); cenniejsze to pozycje niż zaginiona *Historia przyszłości*.

Rozszerzenia wymaga rozdział „Za granicą (1829—1832). Zatarła się doniosłość okresu włoskiego (mimo uzupełniającej wzmianki w rozdziale następnym, na str. 106). Arcydzieła liryki *Do *** — Na Alpach w Splügen, Do matki Polki, Rozmowa wieczorna, Arcymistrz* zasługują na charakterystykę, której nie zastąpi nazwanie pierwszego wiersza „słynnym" i tak samo dwu ostatnich „słynnymi lirykami religijnymi". Przyjmując dawniejsze poglądy na liryki rzymskie dr Szyper zalicza do nich *Rozum i wiarę*. Tymczasem utwór ten powstał w r. 1832 w Dreźnie, a jego początkowe strofy to napisane po ukończeniu *Dziadów* części trzeciej potężne *Exegi monumentum*[2]).

Do wszechstronności zmierza rozdział o *Dziadach drezdeńskich*, bogaty w zagadnienia; góruje w nim jednak podanie treści nad ukazaniem artyzmu. Ciekawa i wyczerpująca jest część ostatnia rozdziału, poświęcona stosunkowi Mickiewicza i Puszkina; tylko jedno zdanie usunąć winna edycja następna: że w *Pomniku Piotra Wielkiego* „prawdopodobnie chodziło o Rylejewa". Jak wiadomo, istniała w nauce naszej i taka hipoteza; wbrew niej wszakże w wieszczu rosyjskim widzieć należy Puszkina[1]).

Tło europejskie i emigracyjne, mieszczące zarówno źródła jak oddźwięki, uwypukla zarysy publicystyki *Ksiąg* i artykułów politycznych. Autor podkreśla jako cechę ideologii Mickiewicza „nadanie rewolucjom sankcji religijnej", a nacisk kładzie na rozgraniczenie pierwiastków postępowych i tradycyjno-konserwatywnych.

Wielostronnością analizy zwięzłej a ujmującej rzeczy zasadnicze odznacza się rozdział poświęcony *Panu Tadeuszowi*, w którym to poemacie nie tylko spełnione zostały długoletnie aspiracje literatury polskiej, by stworzyć nowoczesną epopeję narodową, lecz nadto wyraził się nowy ideał życia, wypiastowany przez poetę po uświadomieniu sobie własnej winy wobec wysiłków wyzwoleńczych 1830 r. — „ideał ofiarnej, nie goniącej za wyróżnieniem służby. Pierwszym poetyckim symbolem tego ideału stał się ks. Piotr, drugim — ks. Robak". Charakteryzując „arcydzieło realizmu poetyckiego", autor książki wyraziście grupuje osoby na dwu „płaszczyznach", na płaszczyźnie wielkości tragicznej oraz na płaszczyźnie przeciętności i humoru. Uwzględniając wyniki dotychczasowych badań genetycznych i porównawczych wskazał tradycje literackie epopei szlacheckiej. Nie pominął też sądu współczesnych i potomnych; przypomniał sądy Słowackiego i przykrą ironiczną uwagę Norwida, zapoznał czytelnika z opinią Worcella i ukraińskiego tłumacza, Maksyma Rylskiego. Nie należało jednak tymi — trafnymi zresztą, głębokimi nawet — ocenami zakończyć rozdziału, gdyż budzą one asocjacje nie harmonizujące

---

[1]) Tylko na str. 133, w ustępie o stosunku Puszkina do Mickiewicza, znajduje się informacja, że Puszkin „przekładał ballady *Czaty* i *Trzech Budrysów*, powstałe w Rosji".

[2]) Por. Juliusz Kleiner: *Mickiewicz*, tom II, część I, str. 464 i przypisek 2 na str. 219.

[1]) J. w., str. 448—452.

z poematem: pożegnanie przeszłości jako bezpowrotnie minionej nie jest identyczne z rzuceniem „kamienia grobowego", o którym mówi Worcell, i nie ma w sobie uśmiechu „bezlitosnego", jakiego się dopatrzył autor pięknego przekładu.

Przechodząc do dalszej biografii i do procesu obumierania nerwu poetyckiego, zbyt szybko załatwia się autor z *Zdaniami i uwagami*, przytaczając tylko *Słowo i czyn*. Jest to zubożenie wizerunku Mickiewicza — i w dziedzinie ideologii, i w dziedzinie artyzmu. Także *Konfederatom barskim* i *Jakubowi Jasińskiemu* mimo ich niezbyt wielkiej wartości należała się poza wymienieniem tytułu jakaś uwaga charakteryzująca ich typ dramatyczny.

Wobec towianizmu stosunek autora jest bezwzględnie negatywny, potępiający, zgodny z oceną Boya-Żeleńskiego. Ale najostrzej nawet potępiając „mistrza Andrzeja" nie należy go oskarżać o winy niepopełnione. Powiada dr Szyper (nie on pierwszy zresztą), że „na skutek tyranii Mistrza poeta przestał tworzyć". Otóż wiadomo, że przestał tworzyć — na lat kilka przed poznaniem Towiańskiego.

Niechęć do towiańczyka nie przesłania walorów profesora literatury słowiańskiej. Brak wprawdzie uwydatnienia ideału człowieczeństwa, jaki zarysował się w wykładach, ale ukazane jest wyraziście znaczenie prelekcji, które i dzisiejszego czytelnika „fascynują polotem myśli, trafnością ujęcia, plastyką przedstawienia", które „stanowią wartościowy wkład do historii kultury i literatury narodów słowiańskich i godne są stanąć obok arcydzieł poetyckich Mickiewicza".

Con amore pisany jest rozdział o „publicyście i działaczu rewolucyjnym". Temat tego rozdziału nie jest oczywiście nowy. Ukazywali rewolucjonizm Mickiewicza Władysław Mickiewicz, Stanisław Szpotański, Emil Haecker, Artur Śliwiński. Ale nie utrwalał się przez czas długi w świadomości ogółu wizerunek redaktora *Trybuny Ludów* i twórcy legionu (nawet mimo *Legionu* Wyspiańskiego). Toteż rozdział ten w nowej książce może mieć znaczenie doniosłe, może wpłynąć modyfikująco na obraz Mickiewicza w oczach dzisiejszego pokolenia.

Autor tego pragnie — ale zachowuje obiektywizm. Nazywając Mickiewicza z lat 1848 i 1849 „skrajnym demokratą rewolucyjnym", wskazuje wszystko, co dzieliło poetę od rewolucyjnego socjalizmu: kult Napoleona (odgraniczający się wszelako od bonapartyzmu), „niechęć do wszelkiej dialektyki społecznej na temat przyszłego ustroju, niedocenianie roli partii politycznych, zaznaczenie prymatu idei moralnych nad ekonomicznymi, bezwzględną prawowierność religijną wobec tradycji chrześcijańskich, silniejsze akcentowanie roli indywidualności narodowej przy całym zresztą internacjonalizmie, brak wyraźnego stanowiska klasowego".

Odsłania się w Mickiewiczu „trzeźwy działacz polityczny", mający „własną głęboko przemyślaną koncepcję". Czytelnik jednak będzie skłonny przeceniać jego rolę w wypadkach dziejowych; nie uprzytomni sobie, że stworzony przez poetę legion włoski był garsteczką, co nie mogła wojskowo ni politycznie zaważyć na szali. Rozdział cały zyskuje sugestywną wyrazistość dzięki temu, że nie interpretowanie poglądów na plan pierwszy wysuwa, lecz umiejętny, celowy dobór najostrzejszych enuncjacji *Trybuny Ludów*.

O darze syntezy świadczą karty końcowe. Uprzytomnione zostały w zwartym przeglądzie zdobycze, które do skarbca kultury wniósł artyzm Mickiewicza i jego fascynująca osobistość.

W całym dziele niektóre rysy twórcy i działacza umieszczone zostały na pierwszym planie, inne, jakkolwiek wspomniane, usunięte zostały w cień. Dotyczy to zwłaszcza postawy religijnej Mickiewicza, bez której należytego uwzględnienia nie można zrozumieć drogi wiodącej od *Wallenroda* do *Dziadów* części trzeciej i do *Ksiąg* i nie można w pełni ukazać jego osobistości. Wizerunek jest więc jednostronny, ale w liniach, na które pada światło, prawdziwy i wyrazisty, przedstawiony jasno, przystępnie, rzeczowo, ze znawstwem gruntownym.

„Zarysem popularnym" nazwał autor swą zajmującą i cenną książkę. Nadał jednak zarysowi temu istotną wartość naukową.

Juliusz Kleiner

NA POGRANICZU REALIZMU

KAZIMIERZ WYKA: *Pogranicze powieści. Proza polska w latach* 1945—1948. Wydawnictwo M. Kot, Kraków, 1948; str. 389 i 1 nl.

PO TRZECH LATACH

W ciągu trzech lat po zakończeniu wojny, gdy na półkach księgarskich mnożyły się tomy prozy powstałej w okresie okupacji i — skąpymi na razie kroplami — sączyły się pozycje nowe, literatura krytyczna nie wykroczyła poza ramy czasopism. Sześcioletnia niemal wyrwa wojenna zezwalała wprawdzie na ujęcie w kształt artystyczny indywidualnego widzenia świata u powieściopisarza lub poety, musiała jednak całkowicie zahamować rozwój krytyki, która czerpie rację bytu ze zorganizowanych form życia społecznego, bierze w nim twórczy udział i przemawia do określonego odbiorcy.

Trzy lata normalizującego się życia — to okres niezbyt długi na zebranie sił, jeśli się zważy, ile pojęć trzeba było przewartościować, ile zużytych i nieprzydatnych rekwizytów niedawnej tradycji krytycznej odrzucić, by wreszcie z ułamkowych dorywczych wypowiedzi publicystycznych wejść w stadium porządkowania nowego literackiego dorobku i dać — próbę syntezy. A taka próba dopiero legitymuje tom prozy krytycznej.

W tym okresie przejściowym toczyły się w prasie dyskusje literacko-krytyczne: o zamówieniu społecznym, o realizmie, o prozie współczesnej, o literaturze dwudziestolecia; miały one być tym twórczym zaczynem, z którego rodzi się krytyka postulująca i walcząca o nowy typ kultury, miały być świadectwem palącej aktualności pewnych problemów. Spory przeniosły się wkrótce na teren samej krytyki: zarzucano jej z jednej strony, że nie stoi na wysokości zadań, jakie stawia przed nią doba przemian społecznych, z drugiej — że odważny start młodego pokolenia krytyków na drodze metody socjologicznej zdradza w zarodku niebezpieczną skłonność do uproszczeń i schematyzacji.

W sporach tych wytaczano ciężkie kolubryny argumentów, wysuwano też drobne szpileczki polemik i ataków personalnych. Stwierdzeniem ważnym w skali społecznej jest nie fakt, że konkretny wynik tych utarczek był niewspółmiernie nikły w stosunku do ilości zapisanego papieru, gdyż jest to częsty los dyskusji, lecz niezwykle słaba reakcja ogółu czytelników na poruszane zagadnienia. Przyczyna leży głębiej: czytelnik, który w okresie wojny buszował dziko po obszarach literatury, nadrabiając braki w lekturze na własną rękę, lub zatracając dawne dobre nałogi — odzwyczaił się od kierowników, którzy chcą go wychować i pokazać nowe drogi przeżywania utworu literackiego.

Czytelnik się odzwyczaił, a krytyk nie umiał, jak dotąd, znaleźć właściwego języka, by go znowu zachęcić, zresztą — iluż jest tych krytyków? Szeregi starszego i średniego pokolenia wojna ze szczególną złośliwością ślepego przypadku przetrzebiła właśnie w tym kręgu, a młodzi do niedawna stronili uporczywie od zawodu krytycznego. Młode pokolenie wzrasta i za rok, za dwa, nie będzie już może powodów do ubolewania, lecz nie na tych najmłodszych spoczywa obowiązek sporządzenia bilansu, podsumowania wyników, nawiązania pomostu między dorobkiem paru pokoleń i — wychowania czytelnika do zrozumienia wagi problemów krytycznych.

Dowodem, że nie tylko ogół społeczeństwa, lecz także środowisko „specjalistów" zobojętniało na te sprawy w obliczu innych, bardziej palących, podsuwanych ciągle przed oczy przez kształtującą się rzeczywistość—jest fakt słabej reakcji na ukazujące się wreszcie drukiem tomy prozy krytycznej. Mamy już przecież zbiory essayów o charakterze historyczno-literackim (dawniejszy Kotta i nowy Kubackiego), mamy próbę naukowego usystematyzowania działalności krytycznej (*Krytyka dzieł twórczych* Pietera), mamy wreszcie duże książki o charakterze aktualnym: Kazimierza Wyki *Pogranicze powieści*, oraz Ryszarda Matuszewskiego *Literatura po wojnie*.

Nie dajmy się jednak zasugerować obfitością tytułów. Wśród wymienionych pozycji tylko jedna z dwóch należących ściśle do działu krytyki literackiej nie jest przypadkowym zlepkiem drukowanych w czasopismach artykułów i recenzji, tylko jedna jest próbą ogarnięcia przez pryzmat literatury całokształtu zjawisk społeczno-literackich ostatniego trzechlecia. Jest nią *Pogranicze powieści*.

Książka zawiera zbiór prac krytycznych, zamieszczanych w ciągu trzech lat na łamach prasy literackiej; zostały one jednak nie tylko uporządkowane w sposób systematyczny, lecz wzbogacone o szereg symptomatycznych a pominiętych w toku bieżącej działalności krytycznej pozycji — oraz przystosowane do wydania książkowego. Bliższy wgląd w dokonane poprawki pozwala zresztą stwierdzić, że nie dotyczą one nigdy merytorycznej strony wypowiadanych sądów, stanowią jedynie ich dopełnienie lub zredukowanie wobec nowych przedłużających linię rozważań faktów, a także w wielu punktach — polegają na skromnej korekcie: zamianie trybu warunkowego (przewidywania i hipotezy) na orzekający. Jeśli postawa krytyczna Kazimierza Wyki uległa w ciągu trzech lat ewolucji, dzisiaj już narastających warstw rozdzielić nie podobna i tak jest lepiej. Autorowi nie zależało bowiem na odkryciu przed czytelnikiem własnych dróg myślowych, na wykazaniu w ilu punktach spełniły się jego proroctwa, a w ilu konieczne w zawodzie krytycznym ryzyko postulowania zmusiło go do wycofania się z zajmowanych pozycji, lecz o stworzenie całości, która wyczerpywałaby wszystkie najważniejsze dla niego zagadnienia i za którą — w skali ogólnej koncepcji i każdego wypowiedzianego sądu — może wziąć pełną w chwili bieżącej odpowiedzialność.

Książka — wbrew temu, że jednemu z recenzentów podobało się ją nazwać „indywidualistyczną i różnoaspektową" — jest jednolita i konsekwentna, i cierpliwemu czytelnikowi, który przebije się przez jej pozornie zawikłane tory myślowe, daje klucz do zrozumienia istotnie zawikłanych dróg literatury współczesnej.

UBI LEONES

Ludwik Fryde, przedwcześnie zmarły krytyk lat międzywojennych, którego pamięć tak trudno wydobyć spod niepojętej zmowy milczenia, w rozprawie swej pt. *Drogi współczesnej krytyki literackiej* (*Wiedza i Życie*, nr 12, 1938) sygnalizuje niebezpieczeństwa, jakie grożą krytyce wskutek krystalizowania się nowej jej formy: kierunku opisowego. Kierunek ten, który powstał w gruncie przezwyciężenia stanowisk końca ubiegłego i początku bieżącego stulecia: idealistycznego, naturalistycznego i psychologicznego, dzieli się na dwa odłamy: personalistów, dla których przedmiotem badań jest osobowość twórcza, i formalistów, którzy badają samo dzieło, jako autonomiczną całość.

Fryde zarówno jednych jak drugich — choć toczyły się między nimi zacięte spory — zalicza do zwolenników poglądu, że między krytyką literacką a nauką o literaturze nie ma zasadniczej różnicy, że jest ona dyscypliną poznawczą. Fryde, którego poglądy ulegały różnym fluktuacjom, nie zawsze łatwym do uchwycenia i oddalającym go nieraz od głównego nurtu aktualnych problemów, winien jednak pozostać w pamięci następnych pokoleń, gdyż był niestrudzonym obrońcą krytyki jako umiejętności praktycznej, która opisem posługuje się jako środkiem pomocniczym, i której właściwym zadaniem jest — śladem wskazań Ortwina i Irzykowskiego — problematyzowanie literatury i wytyczanie jej poprzez postulaty nowych dróg.

Już wówczas, gdy Fryde formułuje ten sąd, niebezpieczeństwo zbytniego rozpanoszenia się na terenie krytyki metody formalistycznej było zażegnane. Dążenie do oparcia krytyki na podstawach ideologicznych, na określonym systemie wartości, było coraz wyraźniejsze, a zrozumienie niedostatku metody opisowej skłaniało krytyków do ewolucji poglądów w kierunku socjologizmu lub moralizmu (Troczyński).

I oto po latach z górą dziesięciu pojawia się znowu na krętych drogach polemik literackich — straszak formalizmu, jako groźne niebezpieczeństwo. I jest to właśnie typowy straszak, choć przydatny — być może — w walce o nową postawę krytyczną, która mogłaby sprostać wymaganiom czasu. Oto jak pisze o tym Kazimierz Wyka: „Kiedy starzy geografowie oznaczali na dawnych mapach okolice dotąd nieznane i niezdeptane przez eksploratorów, pisali — *ubi leones*. Gdzie są lwy. Dzisiaj na mapie krytyki literackiej w podobnych miejscach wypisuje się — *ubi formalistes*... Kiedy podróżnicy zapuścili się w okolice, gdzie rzekomo były tylko lwy, odnaleźli również wiele innych stworzeń".

Jakież są te inne stworzenia, zaludniające teren współczesnej krytyki literackiej obok dziwotworów zwanych *formalistes*? Jakie tendencje znajdują swój wyraz w pierwszej

wydanej po wojnie poważnej i wyczerpującej pracy krytycznej?

CIĘCIE W POPRZEK

W recenzji z utworów Rudnickiego, jednej z najdokładniej przemyślanych i pisanych z pełną pasji dociekliwością, Wyka zaniepokojony pewnymi symptomatami w ostatniej noweli autora pisze: „Bo przecież nie od tego jest prozaik, ażeby wciąż preparował i ciął materiał historyczny wzdłuż, a nigdy nie spróbował przeciąć go w poprzek, ująć wiele warstw jednocześnie. Rudnicki przypomina człowieka, który mając utworzyć drzewo mocne w pniu stawia koło siebie preparaty drzewne, liczące tylko jeden słój, jedną warstwę rocznego narośla. Taki las podobny jest do trzcinowej gęstwiny, a nie do lasu zdolnego oprzeć się wiatrom".

Nie jest to jedyny przykład, że spostrzeżenia dotyczące prozy literackiej dadzą się przetransponować na teren metody krytycznej stosowanej przez samego autora. Cięcie materii historycznej w poprzek — oto stosowany przez Wykę konsekwentnie sposób interpretacji zjawisk literackich, sposób ścisły i niezawodny, nie dopuszczający do wypłynięcia na mętne wody pochopnych uogólnień i frazeologii. Jeśli ktokolwiek poszukiwałby w *Pograniczu powieści* gotowej formułki, służącej do niezawodnego rozstrzygnięcia każdego problemu, recepty, według której można by przyrządzić kryteria wartościowania, stanie zdezorientowany na pierwszym zakręcie drogi myślowej autora. Wyka nie wybiega w przyszłość zbyt daleką, nie da się porwać przez rozpędzone koło historii, nie stwarza ryzykownych paraleli i pochopnych syntez, lecz z cierpliwością doświadczonego lekarza pochyla się nad każdą pozycją, badając zarówno ją samą, jak jej związki ze współczesnością. Czyni to właśnie, co znowu w jakimś momencie przypisze Rudnickiemu: „nasłuchuje układu chóru", w którym indywidualny głos twórcy zestraja się z głosem historii lub brzmi dysonansem.

Owego „punktu przecięcia biografii indywidualnych (znowu cytat z recenzji o Rudnickim), śledzonych zawsze w ich odrębnej determinacji z losem historycznym, który tnie sumarycznie", autor poszukuje pilnie i cierpliwie w twórczości każdego pisarza i w ten sposób ustala jego miejsce na gęsto zaludnionym obszarze literatury współczesnej.

SPRAWA REALIZMU

Najważniejszą zdobyczą takiej postawy krytycznej, zdobyczą na miarę społeczną, jest nie tylko fakt, że na tej drodze walą się straszaki, na walkę z którymi zużyto tyle energii. Wynikiem ich jest także naturalne rozładowanie mniej lub więcej jałowych dyskusji.

Przykładem tocząca się w pismach literackich polemika na temat realizmu. W polemice tej od rozstrząsań teoretyczno-literackich przerzucano się na teren propagandy aktualnych haseł, realizmem posługiwano się jako narzędziem w przyspieszonym załatwianiu porachunków z przeszłością lub w zwalczaniu opornych wobec nowej rzeczywistości postaw światopoglądowych. Studium Wyki przerzuciło całą sprawę na inną płaszczyznę.

Realizmu w jego ujęciu nie można zamknąć w żadną formułkę, oznacza on po prostu postawę twórczą otwartą ku nowym doświadczeniom społecznym i artystycznym, „ku niespodziance obiektywnej, a wygląd tej niespodzianki nie zależy od zamiarów pisarza, ale dla niego samego bywa niespodzianką — cały mieści się w warunkach czasu". Z tego punktu widzenia uproszczeniem jest wartościowanie każdej nowej pozycji pod kątem postulatu realizmu, bowiem nigdy nie można przewidzieć, czy pisarz, który „rozpoczął od innego miejsca swą wędrówkę", nie wytyczy właśnie dróg dla przyszłej prozy realistycznej; stanie się to nie wówczas, gdy on sam tego zapragnie, lub gdy narzuci sobie sztucznie rygory odziedziczonych typów wielkiej powieści realistycznej, lecz wówczas, gdy historia stworzy warunki dla realizmu. Stanowisko takie tylko pozornie może wydać się ostrożnością krytyka, który wolałby się nie pomylić, nie odrzucić żadnej pozycji „obiecującej" — w istocie zaś oznacza odwagę w przeciwstawieniu się rozstrzygnięciom zbyt łatwym i prostym, zaszeregowywaniu zjawisk kultury według z góry ustalonych schematów.

Ta sama obawa przed uproszczeniami cechuje pogląd Wyki na literaturę dwu-

dziestolecia, co wiąże się ściśle ze sprawą realizmu. Rzeczywistość tego okresu „pełna pretensji i pewności siebie, jak gdyby miała przed sobą wieki trwania... a w ówczesnym układzie historycznym mniej trwała od bańki mydlanej", nie stwarzała podłoża, na którym mógł zrodzić się epos lub satyra, przejawy prawdziwego realizmu. Lecz pokolenie, które nie znało innego życia, innych form społecznych, broniło się jednak jak mogło, wprawdzie nie w sposób zbiorowy, lecz indywidualnie, broniło się — tragicznością lub drwiną. Dlatego też tragiczność lub drwina — postawy dziś już anachroniczne, były wówczas postępowe i twórcze, były przygotowaniem gruntu pod przyszłą literaturę realistyczną, w okresie, który do zrodzenia realizmu nie dorósł. Pomny na pomyłki krytyków międzywojennych, którzy pochopnie ukuli termin „neorealizm", Wyka nie wyprowadza z żadnego symptomu zbyt pochopnych wniosków, jedynie bada, śledzi, sygnalizuje osiągnięcia, które zdają się w kierunku realizmu zdążać.

W ten sposób realizm, nie nadużywany w terminologii, jest na każdej karcie jego książki i w jego postawie krytycznej wciąż obecny. Autor stoi jak gdyby na pograniczu realizmu, gotów w każdej chwili do uczynienia kroku, który by jego panowanie zatwierdził, i czujny na odnajdywanie w każdym utworze właśnie tych momentów pogranicznych. Jakimi tropami podąża i jakie stosuje kryteria?

GATUNEK PROZY

W *Pograniczu powieści* tak dużo mówi się nie tylko o gatunkach literackich, sposobach narracji, stylu utworu, lecz także o gatunku samej prozy, że doprawdy można by ulec sugestii silnych wpływów formalizmu w metodzie krytycznej autora. Według Konstantego Troczyńskiego, który we wczesnych swych pracach najpełniej realizował postulaty formalizmu, zadaniem krytyki jest najpierw ustalenie rodzaju i gatunku literackiego, do którego omawiany utwór można zaliczyć, następnie stwierdzenie, o ile utwór wypełnia prawa ustalone w definicji, następnie zaś wartościowanie pod tym kątem. Uważne przeczytanie choćby jednej recenzji Kazimierza Wyki natychmiast tę sugestię obala, gdyż nie ma tutaj ani śladu owych sądów jałowych i martwych, które wynikają z tego „obiektywnego" systemu ocen, zbudowanego na podstawie stosunku do poetyki formalnej.

Przynależność do pewnego gatunku literackiego gra w rozważaniach Wyki ważną, lecz zupełnie odrębną rolę. Posłuchajmy: „Postulat czystości gatunków jest, dla mnie przynajmniej, podstawą postulatu realistycznego... czystość i precyzja gatunku dają pisarzowi postulat formalny, pozwalający zgłębić rzeczywistość w sposób sprawdzalny... gatunek i precyzja narzędzi mówią zawsze o rodzaju i wartości zdobytego doświadczenia. Więcej — gwarantują tę wartość w każdej dziedzinie twórczości".

A jak ten postulat wygląda w sprawdzeniu na konkretnym materiale? Powieść, której głównym prawidłem jest „równowaga elementów artystycznych z roztopionym w niej nigdzie nie widzianym wprost akcentem osobistym"; rzadko wypełnia warunki właściwe tej definicji: Powieść Pruszyńskiego (*Droga wiodła przez Narvik*) jest w istocie reportażem, gdyż zbyt rozwinięty komentarz autorski świadczy o tym, że autor nie umiał odtworzyć faktów typowych i ukryć się poza nimi, zaś reportaż Szmaglewskiej (*Dymy nad Birkenau*) zdradza cechy prozy powieściowej, gdyż autorka jest tutaj „tak nieobecna osobiście i tak wszechobecna w wiedzy o faktach, jak narrator epicki".

W sądzie tym autor wiąże przynależność do pewnego gatunku z warstwą następną, którą można by nazwać stosunkiem autora do tematu. Nie ma to nic wspólnego z tzw. postawą duchową autora, lecz dotyczy samego sposobu obróbki materiału. Wyka jako krytyk unika nawet sugestii, które mogłyby świadczyć, że zagłębia się w analizę osobowości autora, że interesuje go jego ideologia i poglądy jako czynnik decydujący o kształcie utworu, unika nawet określeń „indywidualność pisarza", „temperament pisarski", gdyż trącą one psychologizmem lub odziedziczonym po naturalizmie traktowaniem utworu jako wycinka natury widzianego indywidualnie.

Sztuka pisarska zawiera się według Wyki „w umiejętności stworzenia zrównoważonego świata zastępczego, którego składniki

pochodzą przeważnie z wysiłku formalnego... z panowania nad nieskoordynowanym, wymykającym się nazwie chaotycznym materiałem rzeczywistości". To opanowanie rzeczywistości poprzez formę leży na drodze doświadczeń autora i to doświadczeń w wymiarze społecznym, wspólnych dla całego pokolenia. Przy takim nastawieniu odpada jeszcze jeden rekwizyt tradycji krytycznej — traktowanie przejawów literackich pod kątem sporu pokoleń, dyskusji ideologicznych, decydujących o problematyce i formie utworów. Nowe idee i nowe formy rodzą się bowiem nie w ścieraniu się poglądów między starymi i młodymi, lecz na drodze wspólnej operacji, w trakcie zdobywania wspólnych doświadczeń.

A więc znowu stajemy pod drogowskazem prowadzącym do realizmu jako najdoskonalszego typu prozy, który zrodzi się wówczas, gdy rzeczywistość dojrzeje jako socjologiczne podłoże, zaś autor dojrzeje przez zasób zdobytych doświadczeń. A więc znowu odniesienie do rzeczywistości, która ją wyłania, i podkreślenie ich związku najbardziej istotnego, najbardziej organicznego.

W tym naświetleniu dopiero zrozumiały jest ulubiony przez Wykę termin gatunek prozy. „Przez gatunek prozy — pisze autor — rozumiem ten jakiś ogólny jej wygląd, pewien specyficzny sposób wiązania obserwacji faktów i samych wreszcie ustępów oraz okresów stylistycznych, jaki przejawia się niezależnie od tematu i treści utworu". Nie jest to jednak, jak mogłoby się wydawać, kategoria formalna, lecz pewien odpowiednik „indywidualności" pisarza, co potwierdzają następujące sądy: „Pruszyński okazuje się sarmacko-sienkiewiczowski, nawet kiedy pragnie precyzować intelektualnie. Szmaglewska jest spokojna nawet w grozie, proza zaś Andrzejewskiego jest mało sensualna i mało giętka... nigdy nie uderza dosadnością w nazwaniu fizycznej strony świata".

Owo pochylenie się nad jakością prozy, owo rozszczepianie na składniki istotnej dla niej barwy — jest znowu tylko jedną ze ścieżek prowadzących ku otwarciu szerokich perspektyw. „Termin proza tak się wyodrębnia i usamodzielnia w obecnym życiu literackim — pisze autor (*Sprawa prozy*) — ... (gdyż stoi ona) w obliczu nowych zadań, nowych tematów... W bojach literackich literatura postawiona przed nowymi zadaniami taktycznymi wysyła improwizowane jednostki, jakie z czasem na prawidłach wielkiej strategii mogą zaważyć. Dlatego to na pograniczu powieści i noweli... śledzić wypada przede wszystkim za gatunkiem użytej prozy. Czy zaważy on na strategii, czy waży już dzisiaj? Śledzić wypada, o ile ten gatunek zagarnia obszary nie podbite dotąd lub dopiero wydarzeniami wojny i okupacji wyrzucone na powierzchnię..."

Ów gatunek prozy jest więc miarą aktywności pisarza wobec napierających nań zdarzeń, próbą jego twórczych możliwości w ramach wymagań czasu. Znowu więc powrót do doświadczeń społecznych, znowu powrót do realizmu.

CZŁOWIEK I EPOKA

Tego rodzaju postawa krytyka jest równie daleka od formalizmu, co od wulgarnego i czysto genetycznie pojętego socjologizmu, choć są w niej elementy zarówno jednej jak drugiej metody. Punktem wyjścia jest dla Wyki sam utwór jako kształt jedyny i niepowtarzalny, który posiada swą wewnętrzną logikę i barwę jemu tylko właściwą, lecz krytyk poprzez analizę utworu sięga z jednej strony do podłoża historycznego, które go zrodziło, z drugiej — wskazuje drogi jego społecznej funkcji. Dzieło literackie jako przedmiot badań krytycznych nie jest więc ani autonomiczną całością, którą można rozpatrywać w oderwaniu od rzeczywistości, ani też nie jest biernym odzwierciedleniem układu stosunków gospodarczo-społecznych, które jego wygląd całkowicie tłumaczą. O ciężarze gatunkowym utworu decyduje postawa człowieka wobec swego czasu. Postawa odrzucająca zbyt ufny optymizm, że „można przemocą nakierować na swoją korzyść obiektywny porządek historii samym napięciem siły moralnej," postawa ugruntowana na zrozumieniu, że przede wszystkim ważne są „nie postawy moralne, lecz postawy realne, realne proporcje pomiędzy słusznością idei, a słusznością porządku rzeczywistego".

Te właśnie postawy realne bada Wyka w swych studiach krytycznych. Pod tym

kątem rozpatruje żywotne tradycje prozy polskiej, stawiając najwyżej Prusa, „który zrozumiał, że hasła... zapisują się w życiu, a przekrzywiają w jego warunkach, ...że ten hasłom i tendencjom lepiej służy, kto wniesie do nich poprawkę według rzeczywistości, a nie ten, kto uda, że poprawki takiej nie było"... Z tego punktu widzenia walczy z eksperymentatorstwem czysto formalnym w sztuce, które jest „doświadczeniem przyspieszonym oraz skróconym o cały rzeczywisty podkład wszelkich doświadczeń sztuki".

Dlatego też porywa go „mutująca" jeszcze proza Borowskiego, że w postawie jego przejawia się silnie „przeciętna przetrwania" uwarunkowana tylko obozową regułą gry o życie, a nie indywidualnymi regułami moralnymi czy ideologicznymi. Na tej samej zasadzie wartościuje książki Dygata, Hertza i Kisielewskiego, będące wyrazem specyficznej postawy inteligenckiej, która polega na „usiłowaniu włączenia się w szereg społeczny nie w dziedzinie faktów, lecz na obszarze swojej świadomości, poprzez podkreślenie prawa do rozstrzygania na własną rękę". Po tej linii, konsekwentnie idąc, nazywa prozę Nałkowskiej i Dąbrowskiej „wzorem zbliżającym się do czystości absolutnej", gdyż zarówno jedna jak druga umiała nie tylko wykorzystać doświadczenia prozy międzywojennej i nawet młodopolskiej, lecz również odcedzić wszelkie złe osady i wybudować na nowych doświadczeniach powściągliwą wizję epicką (czy słuszne wobec tego było zdziwienie Marii Rzeuskiej, że autorki tak odrębne Wyka ocenia równie dodatnio?).

Kryteria wartościowania i metody analizy krytycznej stosowane przez Kazimierza Wykę są więc konsekwentne i zupełnie przejrzyste. O wartości utworu decydują te osiągnięcia, które służą nie ubocznym zadaniom prozy (opis, liryzm, poetyczność), lecz jej zadaniu głównemu, którym jest danie prawdy o człowieku jako prawdy o jego epoce; zadaniu, przeciwstawiającemu się mdłemu humanizmowi, który „człowieka jedynie wynosi, a historię raczy dostrzegać jako przeszkodę dla niego".

Analiza formalna dopełnia jedynie ten proces wartościowania, bowiem dobra forma w powieści jest warunkiem stworzenia owej prawdy o epoce, a stosunek do rzeczywistości, z którą pisarz się pora, jest uwarunkowany jego doświadczeniem społecznym.

KRYTYK I CZYTELNIK

W ten sposób pod piórem krytyka, usiłującego przedrzeć się przez szlaki literatury współczesnej, rodzą się nowe terminy, odpadają zużyte i skostniałe. Coraz mniej mówi się o ideologii utworu, o indywidualności pisarza, o jego temperamencie, coraz więcej o materii historycznej, o postawie realnej, o gatunku prozy.

Owa terminologia jest jednak tylko szkieletem, wokół którego oplata się miąższ studium krytycznego. Pora pomówić o *Pograniczu powieści* jako o utworze, który graniczy ze sztuką, który posiada swój własny, indywidualny styl.

Jeden z krytyków powiedział, że w stosunku Wyki do analizowanych utworów przebija się pasja twórczego współdziałania. Jest to szczególnie słuszne, a gdyby sięgnąć w psychologiczną genezę tej pasji, można by ją nazwać: niewyżyte możliwości twórcze. Wyka podgląda tajemnice warsztatu pisarskiego nie jako beznamiętny badacz, lecz w taki sposób, jak gdyby sam był twórcą, widzi nieraz lepiej niż autor, jakimi drogami powinien był podążać jego wysiłek twórczy, by dojść do celu, jaki sobie zakreślił. „Otwinowski posiada zainteresowanie dla gromadnej psychologii dzieci — myśli głośno — i kto wie, czy z tych tematów nie byłby zdolny wysnuć jakichś nienapisanych swych utworów?" Innych — jak Rudnickiego — ostrzega przed ciągłym nawiązywaniem jednakowych ścięgien między biografią a losem i przed traktowaniem swego pisarstwa jako pretekstu do „lirycznego skurczu".

Dzieła literackie są dla Wyki nie tylko przedmiotem analizy krytycznej, lecz kopalnią tematów, które autorzy (i on sam, gdyby była utorem) mogliby rozwinąć, są dla niego samego terenem do snucia rozważań, dopowiadania, glossowania, skracania dróg myślowych dalekimi skojarzeniami, rozświetlania wywodów nagłymi błyskami metafor.

Ów język metaforyczny wzbudził najwięcej niepokoju wśród tych krytyków, którzy chcieliby widzieć w *Pograniczu powieści* pracę jedynie o charakterze informacyjnym i systematyzującym. Uważali

widocznie, że nie na miejscu w poważnej pracy krytycznej są wyrażenia: „Żukrowski pisał swe utwory „szablą z konia", i stosuje w swej twórczości „reflektorową psychologię" — Wokulski to „nadpęknięty snob", forma gawędy to „guma na tępym patyku", pogranicze powieści to dzikie mięso, a Filipowicz posługuje się „młotkiem paleontologa, który nie jest narzędziem cyzelatorskim". A przecież ów język właśnie świadczy o żywotności i jędrności jego prozy krytycznej.

Te zastrzeżenia płyną ze zbytnich uproszczeń, ze zbyt pochopnego dążenia, by wszystko jak najprędzej uporządkować, rozstrzygnąć, zamknąć w formułki wykończone i gotowe, w sposób poprawny i rozsądny. A przecież rzeczywistość literacka jest terenem żywym, którego nie da się zamknąć w jednym uchwycie; nie należało to zresztą nigdy do zadań twórczej krytyki. Rzeczywistość tę trzeba zaskakiwać z różnych stron, to hipotezą, to skrótem myślowym, to metaforą. Walka z myśleniem metaforycznym w krytyce jest zabytkiem czasu krytyki opisowej: lękano się metafory, która jakoby zaciemnia granice między charakterystyką a osądem. Użycie metafory miało jakoby przez szczególne naświetlenie jednej właściwości utworu mitologizować dzieło (pisze o tym Fryde w wyżej cytowanej rozprawie). Tego rodzaju zastrzeżenia dzisiaj są znowu czerpaniem z rekwizytorni.

Nieporozumienie jednak leży głębiej. W zastrzeżeniach tych chodzi po prostu o to, że książka jest w ten sposób mniej przejrzysta, trudniej zrozumiała dla przeciętnego czytelnika. Że trzeba się przez nią przegryzać, zamiast łatwo i bezboleśnie przełknąć pigułkę, która byłaby lekarstwem na wszelkie opory społeczeństwa w zrozumieniu literatury współczesnej.

Odrzućmy złudzenia. Pogranicze powieści nie jest książką powszechną. I nie trzeba dodawać „niestety". Należy się zdecydować, czy chodzi nam przede wszystkim o popularyzację, czy o materiał, który można by dla celów popularyzacji w przyszłości przetworzyć. Poważny miesięcznik literacko-krytyczny nie zastąpi — niezbędnego zresztą — magazynu informacyjnego dla najszerszych warstw. *Pogranicze powieści* nie zastąpi *Przewodnika Literacko-Naukowego*.

Książka Kazimierza Wyki przeznaczona jest dla autora i dla wyrobionego czytelnika, który zna współczesną produkcję powieściową, czytuje prasę krytyczno-literacką, interesuje się poruszanymi w niej problemami. Jest przeznaczona dla cierpliwych, tak jak autora cechuje „spokój i cierpliwość w ocenie możliwości współczesnej prozy". Nie dla tych, którzy będą doszukiwać się tutaj ryzykownych hipotez rewolucji światopoglądowej czy formułki rozstrzygającej zawiłe problemy współczesnego życia literackiego, lecz dla tych, którzy zrozumieją, że ostrożność krytyka i czytelnika jest dzisiaj, po upływie niespełna czterech lat od zakończenia wojny, jedyną postawą uczciwą i otwartą ku nowym osiągnięciom.

I jeśli tę postawę wyczekującą Wyka zaznacza w słowach: „realizm czeka na wszystkich" — „pogranicze powieści trwa", mamy prawo powiedzieć, że także krytyka czeka na nowe siły, zaś książka Kazimierza Wyki będzie dla nich drogowskazem.

Krystyna Kuliczkowska

LITERATURA PO WOJNIE

RYSZARD MATUSZEWSKI: *Literatura po wojnie*. Szkice krytyczne. Spółdzielnia Wydawnicza „Książka", Warszawa, 1948; str. 216 i 4 nl. i 17 portretów.

Tytuł książki Matuszewskiego jest w stosunku do jej zawartości zarazem zbyt wąski i zbyt obszerny. Zbyt wąski — ponieważ znalazł się w niej również szkic syntetyczny o literaturze dwudziestolecia, omówienia przedwojennych powieści Gojawiczyńskiej, Kowalskiego i Adolfa Rudnickiego oraz całego dorobku poetyckiego Jastruna, Ważyka, Miłosza i Zagórskiego, prawda, że z głównym uwzględnieniem ich najnowszych utworów. Zbyt szeroki zaś dlatego, że książka, będąca zbiorem krytyk Matuszewskiego ogłoszonych przeważnie w *Kuźnicy* w latach 1945—1948, nie przynosi całkowitego ujęcia powojennego okresu literatury polskiej. Wydaje się zresztą, że próba taka — jako przedwczesna — skazana byłaby z góry na niepowodzenie. Szkoda natomiast, że Matuszewski, którego studia krytyczne dotyczą najwybitniejszych i najbardziej znamiennych zjawisk literackich, wydając prace swe w postaci książkowej nie uzupełnił ich kilkoma pozycjami, których nieobecność dotkliwie się odczuwa. *Literatura*

po wojnie pomnożona omówieniem twórczości Andrzejewskiego, Brezy, Gałczyńskiego, Gołubiewa, Iwaszkiewicza i Przybosia nie przestałaby być oczywiście zbiorem luźnych szkiców krytycznych, ale w pełni już usprawiedliwiałaby swój tytuł, obejmując reprezentatywny dla współczesności wachlarz zjawisk literackich.

Że tak się nie stało — recenzent wyraża nie pretensję, lecz żal. Żal tym większy, że książka Matuszewskiego przynosi wiele materiału, który niewątpliwie wejdzie w przyszłe opracowania historyczno-literackie okresu powojennego. Ta ogólnikowa ocena — postaram się ją uzasadnić w dalszym ciągu — wymaga jednak ważnego uzupełnienia. Krytyki Matuszewskiego odegrały również wydatną rolę w walce o nowe oblicze literatury polskiej i nowe kryteria jej oceny, prowadzonej przez lewicę intelektualną i kształtującej świadomość coraz szerszego kręgu konsumentów dóbr kulturalnych. W ten sposób Matuszewski szczęśliwie przezwyciężą w swej praktyce tradycyjną antynomię krytyki informacyjnej i krytyki postulującej. Łączy sumienność sprawozdawczą, rzeczowość, więcej nawet — daleko posuniętą lojalność wobec omawianych pisarzy — z konsekwentną realizacją założeń ideologicznych. „Krytykiem o spokojnych nerwach" nazwano kiedyś Wacława Borowego. Z dużą słusznością określenie to można przenieść na autora *Literatury po wojnie*.

Matuszewski przekłada — jak się wydaje — analizę konkretnych dzieł literackich nad rozważania teoretyczne. Na podstawie praktyki krytycznej można by bez większych trudności zrekonstruować jego zasadnicze poglądy na literaturę i jej zadania. Jest to jednak zbędne, skoro autor sam je zaksjomatyzował:

1. „Literatura stanowi jedną ze struktur ideologicznej nadbudowy rzeczywistości materialnej, kształtuje ją w ostatecznej instancji rozwój form produkcji;

2. najogólniej rozumiane dobro człowieka zależy od tempa gospodarczych i społecznych przemian, które świadomość ludzka, kształtowana przez zastany układ warunków społeczno-ekonomicznych, może przyspieszyć;

3. należy popierać takie przejawy świadomości, które można uznać za postępowe, tj. przyspieszające wyżej zaznaczony proces" (str. 29—30).

Jakie są jednak kryteria postępowości w literaturze? W szkicu o literaturze dwudziestolecia Matuszewski uznaje za postępowe „zarówno wybitne i oryginalne dzieła eksperymentatorów, będące odpowiednikiem rewolucji artystycznej, jaka dokonała się w tym i we wcześniejszym o lat dziesiątek okresie w całej Europie, jak niekiedy dzieła głoszące pewien określony program ideowy, jak wreszcie i przede wszystkim te utwory i kierunki, którym zawdzięczamy największą łączność z wielką tradycją literacką i największe pomnożenie naszej wiedzy o otaczającej nas rzeczywistości" (str. 20).

Merytoryczna dyskusja nad tym stanowiskiem wymagałaby sięgnięcia do samych podstaw estetyki marksistowskiej. Warto jednak zaznaczyć, że podobny pluralizm kryteriów wartościowania (bo przecież przypisanie cechy postępowości jest jednoznaczne z dodatnim zawartościowaniem utworu) nie jest obcy tak wybitnemu krytykowi marksistowskiemu, jak Iwan Winogradow, który rozróżnia kryteria polityczno-społeczne, kryteria wierności odtworzenia, kryteria moralne, kryteria estetyczne (por. *Twórczość*, 1948, nr 10, str. 124).

Z praktyką Matuszewskiego zgodniejsze jest jednak inne, węższe pojmowanie postępowości w literaturze, zawarte w cytowanym już artykule pt. *Dyskusja o prozie współczesnej*: „Ponieważ postęp polega na uświadomieniu jak najszerszym masom ich roli w otaczającej rzeczywistości, przeto za postępową należy uważać literaturę: a) która jest możliwie pełnym odbiciem tej rzeczywistości, b) która trafia do najszerszych mas" (str. 30). Innymi słowy — wartość utworu literackiego zależy od jego doniosłości poznawczej i komunikatywności.

Z takich założeń wychodząc, Matuszewski zajmuje się przede wszystkim rekonstrukcją obrazu rzeczywistości zawartego w utworze literackim, odcyfrowaniem jego obiektywnej wymowy ideologicznej. Rekonstrukcji tej towarzyszy zawsze zdecydowana ocena, weryfikująca lub dezawuująca sens ideologiczny analizowanego utworu. Jest to najmocniejsza chyba strona krytyk Matuszewskiego; w tej dziedzinie rezultaty ich są najbardziej owocne i bezsporne. Wystarczy przypomnieć doskonałą analizę

satyry *Jeziora Bodeńskiego*, która „nie obraca Dygata przeciwko (...) rzeczywistości, lecz czyni mu ją jak gdyby bliższą przez drwinę właśnie, pozwala mu ją strawić przy pomocy soków szyderstwa" (str. 48), czy szkice o „Sarmacie Żukrowskim" i *Trzynastu opowieściach* Pruszyńskiego, gdzie autor dał najtrzeźwiejszą ocenę tych kuszących niejednym urokiem książek. O bystrości krytycznego spojrzenia Matuszewskiego świadczy dobrze przewartościowanie przedwojennej twórczości Gojawiczyńskiej, zbyt lekkomyślnie przez innych opatrzonej etykietką „małego realizmu".

Dodać tu należy, że Matuszewski, walcząc o wielki realizm, głosząc konieczność ukazania człowieka jako istoty społecznej na tle warunków ekonomiczno-społecznych, które go kształtują, nie popada w jednostronność i ciasnotę determinizmu ekonomicznego. Przypominam o tym dlatego, że jest to częsty zarzut kierowany w stronę pisarzy i krytyków marksistowskich. W związku z tym warto zacytować następujący fragment szkicu o *Szekspirze* Rudnickiego: „Chociaż(...) rzeczywistość społeczna rozstrzyga — co zostało uwidocznione w utworach Rudnickiego — w sposób zasadniczy o ludzkich losach, nonsensem byłoby sprowadzanie jej działania do uproszczonych schematów. Nie spotykamy ich u Rudnickiego nigdzie (... — tu szereg przykładów dowodzących, że los bohaterów Rudnickiego zależy nie tylko od wyroków dziejów, ale także od wielu momentów indywidualnych, od skomplikowanych impulsów psychologicznych). Twórczość jego jest przykładem tego, że można nie zatracić obrazu rzeczywistości społecznej, nie rezygnując z komplikacji psychologicznej" (str. 138).

Matuszewski jest na ogół bardziej przekonywający w negacji, w dyskusji ideologicznej (którą umie poprowadzić z zachowaniem wszelkich reguł *fair play*, ale zarazem z żywym temperamentem polemicznym), niż wtedy, gdy afirmuje pewne zjawiska literackie. Jest to zresztą symptom ogólniejszy we współczesnej krytyce lewicowej. Przyczyny? Niecierpliwe doszukiwanie się urzeczywistnień własnych postulatów krytycznych. Ta niecierpliwość z jednej strony prowadzi do przeceniania utworów usiłujących postulaty owe realizować, z drugiej — każe dopatrywać się ich spełnień tam, gdzie są nieobecne lub w słabym tylko stopniu występują.

W porównaniu z wyczerpującą interpretacją ideologiczną, zagadnienia formalne pozostawione są w cieniu. Autor docenia znaczenie analizy formalnej i swobodnie nad nią panuje (dowodem choćby szkic o Miłoszu) — na ogół jednak stosuje ją w skromnej tylko mierze. Czasem dochodzi do sprzeczności między rezultatami oceny formalnej i oceny ideologicznej (Żukrowski, Miłosz). W innych znów wypadkach analiza formalna nie wnosi nowych momentów do ogólnej oceny omawianego utworu. Tak np. Matuszewski konstatuje, że i Brandys i Rudnicki świadomie i celowo wkładają w usta swych postaci słowa, których treść odpowiada temu, co mogłyby i musiały one w danej chwili powiedzieć, ale czego w tej formie powiedzieć by nie mogły. W szkicu o *Samsonie* wniosków stąd jednak nie wyprowadza, nie kwalifikuje tego chwytu w odniesieniu do postulatów realizmu; w sprawozdaniu z *Szekspira* zasłania Rudnickiego subiektywnym „urokiem" wspomnianego zabiegu pisarskiego.

Gdy mowa o zawartości ideologicznej, postawa Matuszewskiego jest wyraźnie, programowo oceniająca. Gdy chodzi o analizę formalną — krytyk często przechodzi na stanowisko opisowe. Uwidoczniły się tu do pewnego stopnia tradycje formalizmu uchylającego się od wartościowania. Z drugiej strony krytycy literaccy-marksiści, akcentując zmienność i stwierdziwszy klasowe podłoże kanonów estetycznych poszczególnych okresów—nie sprecyzowali należycie ani granic zastosowalności zdobyczy artystycznych i techniczno-literackich minionej formacji społeczno-kulturalnej, ani też poetyki nowego okresu, poetyki uzasadnionej jako historycznie konieczna, a więc przyjętej świadomie jako normatywna. Skutki? Albo relatywizm estetyczny („Analiza cech formalnych tak długo jest wystarczająca jako metoda, póki chodzi o stwierdzenie stopnia ich doskonałości w ramach jakiegoś przyjętego kanonu, systemu, zespołu tych cech" — pisze w pewnym miejscu Matuszewski), albo absolutyzowanie poetyki schyłkowego mieszczaństwa (*vide* — *Notatnik obserwatora* Hertza), albo redukowanie wartości literackich do war-

tości poznawczych i wychowawczych (T. Drewnowski i M. Janion — *Zagadnienia fikcji literackiej*, *Twórczość*, 1948, nr 2, str. 79), albo wreszcie — usprawiedliwiona w tym stanie rzeczy rezygnacja z analizy estetycznej. Wyjaśniając, dlaczego pominął ją w swej przedmowie do *Antologii współczesnej poezji francuskiej*, Adam Ważyk miał odwagę powiedzieć: „Przyznam się panu, że sporo w swoim życiu czytałem, ale na temat urody poezji nie udało mi się wyczytać nic, co by nie było ulotną impresją". (Jan Śpiewak — *Rozmowa z Ważykiem o poezji*, *Nowiny Literackie*, 1947, nr 31).

Vere scire est per causas scire. To zdanie Bacona mogłoby posłużyć jako hasło marksistowskiej nauki o literaturze, którą charakteryzuje stanowisko genetyczno-wyjaśniające. Owe przyczyny, określające dynamikę rozwoju literatury, znajdują się przeważnie poza obrębem szeregu literackiego. Również Matuszewski, traktując literaturę jako wyraz określonych stosunków społecznych, nie może pominąć jej rozlicznych związków z rzeczywistością pozaliteracką. Jest to jedno z jego założeń programowych: „Koncepcja „autonomii" zjawisk literackich w świecie innych zjawisk społecznych jako podstawowy punkt wyjścia w badaniach literatury jest fikcją, która nie ułatwia, ale utrudnia nam zbliżenie się do literatury. Podkreślanie odrębnych praw, jakimi rządzi się literatura, w przeciwieństwie do tych, jakie obowiązują w życiu, jest odwróceniem zagadnienia, które powinno polegać przede wszystkim na wykrywaniu wzajemnych między nimi związków i zależności" (str. 6).

Pełna realizacja tego założenia w krytyce bieżącej napotyka jednak na poważne przeszkody. Zbyt bliski dystans wobec dzieła literackiego, fragmentaryczność i ułomność naszej wiedzy o aktualnej rzeczywistości społecznej utrudniają odniesienie zjawisk literackich do obiektywnych ruchów klasowych. Toteż Matuszewski z konieczności zadowala się na ogół umieszczaniem analizowanego dzieła literackiego w promieniu oddziaływania innych ideologii (w marksistowskim rozumieniu tego terminu) i psychologii społecznej. Do głębszych warstwic rzeczywistości społecznej sięga w szkicach syntetyzujących, przy charakterystyce literatury dwudziestolecia i przyczyn współczesnego kryzysu liryki. Czyni to jednak z dużą i słuszną ostrożnością, podkreślając, że zagadnienia twórczości o wiele bardziej podlegają wtórnym zależnościom od prądów umysłowych epoki, niż pierwotnym zależnościom od zjawisk techniczno-ekonomicznego rozwoju. Alternatywa ta (prądy umysłowe czy zjawiska techniczno-ekonomiczne) pozostawia jednak poza swym obrębem tak doniosłe dla dynamiki literatury formy polityczne walki klasowej.

Jeszcze słowo o stylu krytyki Matuszewskiego — w najszerszym znaczeniu tego słowa. Wspomniana już sumienność i rzeczowość autora uwidacznia się w obfitym udokumentowaniu wywodów własnych przy pomocy cytatów, w ostrożności sformułowań opatrzonych wieloma zastrzeżeniami, wreszcie w dążeniu do konkretności i jednoznaczności języka. Matuszewski okazał się odpornym wobec dwóch chorób stylu krytyki impresjonistycznej — przerostu metaforyki i aluzyjności, które znalazły dostęp do prac pewnej części krytyków marksistowskich.

Henryk Markiewicz

OD DANTEGO DO IWASZKIEWICZA

WACŁAW KUBACKI: *Krytyk i twórca.* Wydawnictwo Władysława Bąka, Łódź, 1948; str. 309 i 15 nl.

Cechą, która jako pierwsza narzuca się czytelnikowi studiów Kubackiego, jest wielostronność zainteresowań naukowych autora. Wielostronność ta zarazem imponuje i wprawia w zakłopotanie. Pierwsze nie wymaga wyjaśnień, drugie — tj. zakłopotanie — wynika z ułamkowej zaledwie kompetencji recenzenta wobec rozległych terenów pracy naukowej Kubackiego. Obejmują one estetykę i teorię literatury (studia o antagonizmie krytyków i twórców oraz o lessingowskim problemie granic między sztukami plastycznymi a poezją), historię literatur romańskich (od Dantego do Mauriaca) oraz współczesną literaturę polską (Żeromski, Strug, Dąbrowska, Iwaszkiewicz). We wszystkich wymienionych dziedzinach — a dodać do nich należy jeszcze literaturę klasyczną, do której Kubacki chętnie nawiązuje — porusza się on z jednakową swobodą i erudycją.

Erudycji tej należy się specjalne omó-

wienie, bo jest to erudycja — świadomie użyję słowa unikanego w recenzjach prac naukowych — fenomenalna. Kiedy Brückner pisał swe *Dzieje kultury polskiej* z pamięci, nie zaglądając do biblioteki ani do notatek, była w tym niezwykła znajomość olbrzymiej góry faktów, ale faktów uporządkowanych w naturalnym układzie, połączonych węzłami chronologicznymi czy terytorialnymi. Tymczasem erudycja Kubackiego, zadokumentowana już w młodzieńczej recenzji z książki Papiniego o Dantem (1934), wywołuje podziw przez to, że kojarzy właśnie najodleglejsze w czasie i przestrzeni, nigdy nie zestawiane zjawiska kulturalne, że jest erudycją — odkrywczą.

Byłoby zapewne rzeczą niezmiernie ciekawą, gdyby Kubacki odsłonił sekrety swojego warsztatu naukowego, pozwalającego mu znaleźć odpowiednik dla obrazu oszczepu z wiersza Stefana Flukowskiego — w podobnym przedstawianiu przedmiotów, w ich stawaniu się u Lukrecjusza. Albo przypomnieć sobie, że przenośnia o przedłużaniu się nocy kosztem kurczących się dni, użyta przez Iwaszkiewicza, znajduje się np. w traktacie apologetycznym ks. Andrzeja Trzcińskiego pt. *Duch Księgi Natury przez przyjaciela Nauk odcieniony* (Kraków, 1813). Albo zestawić mickiewiczowskiego Poraja z I części *Dziadów*, kamieniejącego za egocentryzm — z interpretacją mitu o Narcyzie w dziełku Bacona *De sapientia veterum*. Listę przykładów można by dowolnie przedłużać: materiału dostarcza każda niemal stronica omawianej książki.

Tu jednak konieczne jest pewne zastrzeżenie. Erudycja nie służy Kubackiemu do efektownych popisów. Zawsze ma na celu udokumentowanie wysuniętej poprzednio tezy, albo też doprowadzenie czytelnika do samodzielnego wniosku. Przytoczone np. ryzykowne zestawienie Iwaszkiewicza z pseudoklasycznym teologiem uzasadnia charakterystykę atmosfery stylistycznej utworów Iwaszkiewicza („typ klasycystyczny, szlachetna mieszanina świeżości i konceptyzmu"). Kubacki unika wszelkich tez nie udowodnionych. Z tej skrupulatności naukowej wypływa budowanie niektórych partii rozpraw z samych niemal cytatów, nieraz nawet zbyt licznych w stosunku do istotnej potrzeby (np. gdy autor charakteryzuje styl Mauriaca). Stąd obszerne (nawet zbyt obszerne i zacierające przejrzystość kompozycyjną szkicu) ekskursy w retorykę starożytną, gdy mowa o retorycznym charakterze *Przepióreczki*. Stąd zarys dziejów inspiracyjnej teorii twórczości w związku z konfliktem twórcy i krytyka. Odnosi się wrażenie, że autor wyczerpuje wszystkie możliwe rezerwy dowodowe, że w swoich studiach wypowiada się bez reszty, tak, by do spraw w nich poruszanych nie trzeba było powracać, by drogi do dyskusji były zamknięte.

Niecodzienna erudycja historyczno-literacka Kubackiego, uzupełniona doskonałym przygotowaniem filozoficznym (zwłaszcza w dziedzinie estetyki), święci prawdziwe tryumfy w studium tytułowym. Bogaty materiał egzemplifikacyjny zaczerpnięty został z całej literatury europejskiej — od poetyki Arystotelesa do przemówień Goebbelsa. Autor wykrywa przyczyny wiekowego sporu między twórcą a krytykiem, sporu, w którym twórcy są z reguły stroną atakującą, a krytycy — upośledzoną. Zarówno bowiem inspiracyjna (renesans, romantyzm, modernizm) jak racjonalistyczna teoria twórczości (starożytność, klasycyzm, pozytywizm) nie jest przychylna dla krytyki. Pierwsza, głosząc boski charakter natchnienia, wynosiła je ponad kompetencje krytyki. Druga usiłuje wprawdzie podporządkować sztukę rygorom intelektualnym, twierdzi, że jest ona nauczalna — lecz w konsekwencji również zwraca się przeciw krytykom, żądając od nich, by wylegitymowali się własną twórczością, jeżeli chcą wyrokować o twórczości innych.

Erudycja predestynowała Kubackiego do badań komparatystycznych. Tu należy essay o *Micie Narcyza* i liczne wycieczki w tę dziedzinę w innych studiach. Autor daleki jest od wulgarnych dociekań wpływologicznych, nie interesują go perypetie wędrownych motywów literackich. Stawia sobie zadanie inne: „wykryte podobieństwa wyjaśnić funkcjonalnie, powiązać je z odpowiednimi formacjami społeczno-kulturalnymi" (str. 146; przez formacje te rozumie Kubacki społeczno-kulturalnie zdeterminowane postawy ideologiczne). Pod tym

względem najciekawsze jest studium o *Don Kichocie*. Miguel Unamuno doszukiwał się analogii między arcydziełem Cervantesa i żywotami świętych. Kubacki zwraca szczególną uwagę na hagiografię franciszkańską, w dziejach zakonów żebraczych znajduje motywy podobne do donkichotyzmu. Przyczyną podobieństwa jest jednak nie wpływ literacki — lecz pokrewieństwo formacji społeczno-kulturalnej, która wyraża się przez ten motyw. „Istotą donkichotyzmu jest próba opozycji przeciw historii. Bolesne zderzenie ideału z rzeczywistością, o czym się w takim wypadku mówi, to nic innego jak zetknięcie się dwu rzeczywistości: nieaktualnej z aktualną, wymarzonej z konkretną. Próba nawrotu do przeszłych faz rozwoju łączy się zazwyczaj z wyidealizowaniem minionego stadium. Blask baśni, jakim malujemy przeszłość, ma za zadanie zdyskredytować nieprzyjemną rzeczywistość, usprawiedliwić niechęć do szukania nowych rozwiązań i zmniejszyć do minimum ryzyko śmieszności, jakie ponosi człowiek usiłujący obracać koło historii wstecz" (str. 148). W podobnej sytuacji znalazły się zakony żebracze, gdy — nie zważając na prawa aktualnej rzeczywistości społeczno-gospodarczej — próbowały przenosić w zaranie kapitalizmu — prymitywne stosunki gospodarcze starożytnej Galilei.

Erudycja pozwala wreszcie Kubackiemu obalić niejeden schemat fałszywy a pokutujący od dziesięcioleci w historii literatury, bo przez nikogo nie sprawdzany. Tak jest np. z rzekomą tyranią „przepisów" w okresie pseudoklasycyzmu, która w autentycznym świetle owoczesnych poetyk okazuje się romantycznym przejaskrawieniem rzeczywistości.

Byłoby jednak krzywdzącą jednostronnością charakteryzować twórczość naukową Kubackiego wyłącznie jako krytykę erudycyjną, choćby nawet przyznawało się tej erudycji rewelacyjność. W równym, a bodaj i większym stopniu jest to krytyka odkrywcza, otwierająca nowe perspektywy na przedmiot swych badań, przemieszczająca go w zupełnie nową sytuację historycznoliteracką i estetyczną. Kubacki posiada — jakże cenną! — umiejętność uwolnienia się od najsilniej utrwalonych sugestii swych poprzedników, zdobywa się na własne, świeże spojrzenie na analizowane zjawisko literackie. Taka odkrywczość zdaje się cechować wspomniany już essay o *Don Kichocie*, w którym autor odbrązowił bohatera Cervantesa, pokazując jak jego „kodeks rycerski staje się kodeksem kaprysu, nieobliczalności i wygody; zabezpiecza przed ryzykiem i usprawiedliwia egoizm" (str. 152), a swoisty idealizm życiowy wyrasta z feudalnego systemu gospodarczego. Taka odkrywczość — można to stwierdzić z całą pewnością — cechuje studium o *Przepióreuzze* Żeromskiego, po raz pierwszy ujawniające retoryczną konstrukcję utworu i jej ujemne następstwa ideowo-artystyczne: „W świecie, w którym rządzi krasomówstwo, nie ma stałych wartości i obiektywnych miar. Nie ma też w tym teatrze miejsca dla ludzi. Nie ma partnerów — nie ma równych szans — i dlatego nie mogą się w nim dziać prawdziwe tragedie. Teatr dramatyczny spada tutaj do roli teatru marionetek" (str. 237).

Określenie stanowiska metodologicznego autora sprawia pewne trudności. Nie tylko dlatego, że w ciągu lat ulegało ono znacznej ewolucji. Kłopotliwe są również poszczególne studia, w których dochodzi do głosu już nie eklektyzm, ale jakiś synkretyzm metodologiczny. Mam tu na myśli przede wszystkim pracę *Pod znakiem epiki*, gdzie przeciwstawieniu się koncepcjom „ponadczasowych", wiecznych wartości literackich i udałym próbom wskazania momentów ściśle określonych historycznie i społecznie, które wywarły wpływ na ukształtowanie *Ludzi stamtąd* — towarzyszą próby fenomenologicznego wglądu w epikę jako „istotę literacką" i idealistyczne spekulacje z zakresu filozofii literatury. Gdzie cytat z G. Lukacsa niemal sąsiaduje — szczegół to o symbolicznej wyrazistości — z powołaniem się na Ernesta Kretschmera.

Ale w szerszej perspektywie kierunek rozwoju twórczości naukowej Wacława Kubackiego jest wyraźny. Opis systemu środków artystycznych, dla formalistów samowystarczalny, Kubackiemu służy do wyznaczenia założeń doktrynalnych pisarza: metaforyce animalistycznej utworów Mauriaca odpowiada moralna „zwierzęcość" skażonego grzechem człowieka w autorskiej koncepcji ideologicznej; odrażający obraz świata jest refleksem ascetycznej

krańcowości moralisty; biologiczna konstrukcja losu ludzkiego pozostaje w związku z światopoglądem fatalistycznym, itd. W ten sposób realizuje Kubacki podstawowy postulat marksistowskiej nauki o literaturze: przekład języka znaków literackich na język ideologii.

Postawa badawcza Kubackiego jest w zasadzie wyjaśniająca: idzie mu o znalezienie czynników warunkujących przebieg i kierunek rozwoju literatury. Większość prac omawia to zagadnienie w płaszczyźnie zależności literatury od panujących w danym okresie teorii estetycznych. Oto charakterystyczne sformułowanie Kubackiego: „Z popularnego w starożytności zdania Simonidesa, że poezja jest mówiącym malarstwem, a malarstwo niemą poezją, zrobiono w XVIII wieku zasadę twórczości literackiej. Następstwem takiej teorii była w poezji przewaga elementów opisowych. Powstaje poemat opisowy (...). W malarstwie pomieszanie to zaznaczyło się wzrostem pierwiastków literackich, manierą alegoryczną" (str. 80). Teorie estetyczne z kolei uzależnione są od współczesnych prądów filozoficznych.

Poza ten idealistyczny pogląd wychodzi Kubacki stopniowo. Najpierw uczynił ustępstwo na rzecz socjologii życia literackiego: „Walka poglądów literackich oprócz oblicza estetycznego ma także oblicze socjologiczne" — pisze w rozprawie *Krytyk i twórca*. — „Nie poetyka zwycięża w ostatniej instancji historii, lecz grupa społeczna, która się w poetyce wypowiada lub która daną poetykę przyjmuje za swe *credo* artystyczne: szkoły artystyczne, środowiska naukowe, koła literackie, salony, kluby, partie polityczne, grupy wyznaniowe itp." (str. 27). W ostatnich swych pracach Kubacki przezwycięża i to stanowisko. Wspomniany wyżej problem — genezy osiemnastowiecznego poematu opisowego — jakże inaczej potraktowany został przez autora w niedawnych *Uwagach nad poetyką „Pana Tadeusza"* (*Kuźnica*, 1948, nr 16). Rozwój poezji opisowej uzależnia tu autor od ogólnych tendencji naukowych, od uznania obserwacji i doświadczenia za jedyne podstawy wiedzy o świecie, od rozwoju nauk przyrodniczych; spowodowało to przesunięcie zainteresowań z dziedziny fantazji do rzeczowości i opisu. Sam poemat opisowy „związany jest — zdaniem Kubackiego — z rezydencjami pańskimi, pod względem genetyczno-formalnym wywodzi się z panegiryku, jak w ogóle dworska epika". W ten sposób powstanie gatunku literackiego zostało uzależnione od stopnia rozwoju społecznego.

Podobnie w studium o *Don Kichocie* Kubacki interpretuje humorystyczne ujęcie postaci bohatera przez Cervantesa jako konsekwencję stanowiska ideologicznego człowieka renesansu wobec feudalnego systemu wartości: „Jest to krytyka obcego nam poglądu na świat, nie pozbawiona jednak wyrozumiałości i pewnego szacunku dla straceńców ideologicznych. W humorze renesans objawia siłę i pewność swej sprawy: wie, że historia pracuje dla niego, że procesów dziejowych nie można zatrzymać" (str. 139). Stara się również Kubacki socjologicznie zinterpretować awans ironii i humoru na główne kategorie estetyczno-literackie w dobie romantyzmu.

W kierunku tym idzie Kubacki jeszcze dalej w ostatnich swych pracach: o Mickiewiczowskim *Powrocie taty* (*Nowiny Literackie*, 1948, nr 81) i o *Świętoszku* Moliera (*Echo teatralne i muzyczne*, 1948, nr 1). Omówienie ich nie wchodzi w zakres tej recenzji. Upewniają one jednak w przekonaniu, że Wacław Kubacki, czołowy historyk i krytyk literatury pokolenia wychowanego na formalizmie i humanistyce neoidealistycznej, znalazł się na drodze, która wielokrotnie przecina się z marksistowską linią badań literackich. W takim świetle książka Kubackiego, przy całej swej odrębności i wyjątkowości, staje się równocześnie pozycją znamienną dla przebudowy metod badawczych, podjętej po wojnie przez przodującą część humanistyki uniwersyteckiej.

Henryk Markiewicz

ESSAYE PAWŁA HERTZA

PAWEŁ HERTZ: *Notatnik obserwatora*. Essaye i artykuły. Wydawnictwo Władysława Bąka, Łódź, 1948; str. 254 i 2nl.

Zawartości *Notatnika obserwatora* nie potrzeba szczegółowo prezentować czytelnikom polskich czasopism. Na książkę tę bowiem złożyły się essaye, artykuły i sprawozdania Pawła Hertza, drukowane głów-

nie na łamach *Kuźnicy* w latach 1945—1947. Zebrano je bardzo skrupulatnie, nie pomijając nawet tych, które były pożyteczne w tygodniku, ale których obecność w wydaniu książkowym może być kwestionowana. Zoil zarzuciłby również Hertzowi pozostawienie obok siebie dwóch bliskich treścią artykułów o Słonimskim oraz wydobycie ze starego rocznika *Wiadomości Literackich* — reportażu z *Podróży do Sandomierza*. Wygodny tytuł książki daje jednak wiele uprawnień, a zresztą — trudno mieć pretensję do pisarza o sentyment do jednego z jego *iuweniliów*.

Odsuwając na bok owe pozycje wątpliwe — trzeba z góry zaznaczyć ważkość tematyki i ujęcia w artykułach pozostałych. Wydaje mi się jednak, że nasz czas — jakby o się może wyraził sam autor *Notatnika* — nie sprzyja tego rodzaju publikacjom. Głębia i tempo przemian społeczno-ustrojowych są tak znaczne, że z trudnością nieraz nadążą im świadomość pisarza. Cóż dopiero mówić o ich wyprzedzaniu! Przy tym publicystyka jest z natury swojej orężem ideologicznym, spełniającym raczej zadania taktyczne niż strategiczne. Dlatego szybko się starzeje, musi się szybko starzeć; jej sformułowania zmieniają swój obiektywny sens, przestają być słuszne. Rzecz jasna, przyszły historyk powojennego życia intelektualnego, jeżeli sięgnie po książkę Hertza i zechce określić jej wartość i znaczenie, zestawi oceny i postulaty autora — z datami umieszczonymi pod większością artykułów — ze zmiennymi układami politycznymi i kulturalnymi, które się poza owymi datami kryją.

Ale teraz, gdy na biurku recenzenta leży *Notatnik obserwatora* jako nowość wydawnicza, ma on, zdaje się, prawo potraktować książkę jako zbiór wypowiedzi aktualnych, za które autor przyjmuje na dziś pełną odpowiedzialność, bo tekstu ich ani nie zrewidował, ani nie odgrodził się od reprezentowanego w nich stanowiska.

Ciężarem gatunkowym poruszonego problemu górują nad innymi artykuły Hertza poświęcone postawie pisarza, związanego z mieszczaństwem tak pochodzeniem jak kręgiem kulturalnym — wobec lewicy społecznej i przeprowadzanych przez nią przemian, które — Hertz stawiał to jasno od początku — wiodą do socjalizmu. Rzetelnie przemyślane i szczere, bo nie przemilczające wątpliwości i oporów wewnętrznych, wywody Hertza są doskonałą ilustracją klasycznych zdań *Manifestu komunistycznego*: „... w czasach, kiedy walka klasowa zbliża się ku rozstrzygnięciu, proces rozkładu wewnątrz klasy panującej, wewnątrz całego starego społeczeństwa, przybiera charakter tak gwałtowny, tak jaskrawy, że drobna część klasy panującej zrywa z nią i przyłącza się do klasy rewolucyjnej, niosącej przyszłość w swych dłoniach. Podobnie przeto jak dawniej część szlachty przeszła do burżuazji, tak obecnie część burżuazji przechodzi do proletariatu, a mianowicie część *bourgeois*-ideologów, którzy wznieśli się do teoretycznego zrozumienia całego ruchu dziejowego".

Jest wszakże w tych essayach pewien akcent fałszywy, który właśnie —, wobec ich ogólnej słuszności — należy wydobyć i krytycznie ocenić. Otóż w ujęciu Hertza akces pisarza do programu przebudowy ustrojowej wyczerpuje jego pisarski obowiązek społeczny, ba — daje mu przywilej kontynuowania bez zmian nurtu swej przedwojennej twórczości. Na tym odcinku Hertz neguje wartość i celowość jakiejkolwiek polityki kulturalnej, nie wierzy w możliwość (częściowej nawet) świadomej przemiany czyjegoś pisarstwa: „Pisarze pokoleń przedwojennych pozostaną na zawsze w kręgu dawnych tradycji formalnych. Jakiekolwiek próby gwałtownych zmian czy nacisku równają się likwidacji literatury. Pisarze przedwojennego pokolenia (...) mają tylko obowiązek zrozumienia tego czasu, w którym żyją. To jedyny ich obowiązek" (str. 84).

Jednym z istotnych momentów uzasadniających opowiedzenie się pisarza po stronie demokracji ludowej jest fakt, że „lewica włącza do swego arsenału całą tradycję i wszystkie osiągnięcia myśli ludzkiej, nie odrzucając niczego, co mogłoby pomóc w wychowaniu lepszego, rozsądniejszego, prawdziwego człowieka" (str. 89).

Przypomnieniu i nowej ocenie niektórych z owych tradycji i osiągnięć poświęcona jest większa część książki. Są to szkice o Chamforcie, Stendhalu, Turgieniewie, E. Fromentin, Proustie... Autor, korzystając z dobrego prawa essayisty, przekłada często barwną i żywą opowieść o losach

człowieka nad dokładniejszą, konkretną analizę twórczości pisarza, którą zastępują wyrazy zachwytu i wzruszenia czytelniczego. Hertz stosuje przy tym oddzielnie dwie miary: estetyczną i poznawczo-wychowawczą. Najwyższe zaś osiągnięcia literatury widzi tam, gdzie połączyła się słuszność ideologiczna z wysokim poziomem artystycznym. I tu recenzent, nie umiejąc zresztą skonkretyzować propozycji słuszniejszych, musi postawić na marginesach książki Hertza — znaki zapytania i protestu.

W rozumieniu naszego pokolenia wartości poznawcze stają się w coraz silniejszym stopniu warunkiem wstępnym, warunkiem koniecznym wartości dzieła literackiego. Przy stosowaniu jednak tego kryterium trzeba być bardzo ostrożnym. Przede wszystkim dlatego, że naszą wiedzę o świecie mogą znakomicie pomnażać także utwory, które zgoda powszechna ocenia jako słabe. Ale nie tylko o to chodzi. Posłużę się przykładem bardzo jaskrawym, tym lepiej jednak uwidaczniającym wątpliwości, jakie mi się nasuwają. Jak wiadomo, Lenin napisał kiedyś entuzjastyczną notatkę o książce „rozwścieczonego niemal do zaćmienia umysłu białogwardzisty" — Arkadiusza Awerczenki, który — słowa Lenina — „ze zdumiewającym talentem oddaje przeżycia i nastroje przedstawiciela starej, ziemiańskiej, fabrykanckiej, bogatej, sytej i objadającej się Rosji" (*O literaturze*, wyd. pol., str. 41). Z tej pochwały wartości poznawczych nowel Awerczenki nie wynika jednak wcale, że Lenin aprobuje jego pisarstwo, że uważa omawianą książkę w jej ogólnym wydźwięku za utwór postępowy, że (do pewnego stopnia choćby) podsuwa ją jako wzór dla literatów radzieckich. A w obronie Prousta prowadzonej przez Hertza taki właśnie jest — *mutatis mutandis* — tryb i cel wnioskowania.

Oddzielne stosowanie obu kryteriów: poznawczo-wychowawczego i estetycznego, rozerwanie ich dialektycznego związku, zaszkodziło zwłaszcza szkicowi o poezji rosyjskiej. Na tych stronicach najwyraźniej zapisało się zjawisko, o którym pisze sam Hertz: świadomość artystyczna twórcy pozostaje w tyle poza jego świadomością społeczną. Oto w historii poezji rosyjskiej rozróżnia autor „dwa nurty, dwa języki". Pierwszy z nich — to język „świata rzeczywistego, świata zmieniających się nieustannie spraw ludzkich, świata wojen i rewolucji, zwycięstw i klęsk" (str. 145), język „poezji obywatelskiej", jak ją nazywa krytyka rosyjska, język Rylejewa, Niekrasowa, Majakowskiego. Drugi — to język „samej tylko piękności", równorzędny z poprzednim co do swego znaczenia. Któż jednak przemawia tym językiem „samej piękności"? Nie tylko Puszkin, Tiutczew, Pasternak. Na równi z nimi — Kuźmin, Mandelsztam, Gumilow, Sołowiow i inni czołowi przedstawiciele ideologicznego zamętu i wstecznictwa w rosyjskiej literaturze lat 1907—1917. Z prawdziwym zdziwieniem czytamy u Hertza: „Aż do roku 1905 dwie mowy poetów rosyjskich dźwięczą w chórze. Potem, po klęsce rewolucji, nadchodzi czas milczenia dla muzy Niekrasowa, dla muzy buntowniczego Puszkina. Niepodzielnie prawie dźwięczy jedna mowa. Mowa piękności. Ale ta piękność nie jest tak czysta jak w strofach Dzierżawina lub Puszkina apolińskiego. Jest to piękność zmącona, niepewna swego trwania" — itd. w tymże sensie (str. 147). A przecież chodzi tu o przedrewolucyjne dziesięciolecie literatury rosyjskiej, o którym mówił Gorki: „Okres od r. 1907 do 1917 był okresem całkowitej samowoli nieodpowiedzialnej myśli, całkowitej „swobody twórczości" rosyjskich literatów. Swoboda ta wyraziła się w propagandzie wszelkich konserwatywnych idei burżuazji zachodniej (...) Ogólnie biorąc, dziesięciolecie 1907—1917 w pełni zasługuje na nazwę najhaniebniejszego i najbezwstydniejszego dziesięciolecia historii inteligencji rosyjskiej" (*Sowietskaja litieratura, Goslitizdat*, 1934, str. 23—24). Podobnie charakteryzuje literaturę tych lat Leon Gomolicki w swoim posłowiu i uwagach do antologii *Dwieście lat poezji rosyjskiej*.

Te potknięcia dziwią u autora słusznych *Obrachunków skamandryckich*, gdzie tak przekonywająco wyłuskano ideologiczną treść poezji Skamandra. Mają one swe ostateczne źródło w fetyszystycznym uwielbieniu dla „dobrej roboty", „dobrego instrumentu", „dobrego warsztatu", „dobrego rzemiosła pisarskiego". Przy tym Hertz często absolutyzuje jako szczyt techniki pisarskiej — technikę analitycznej powieści psychologicznej schyłkowego mieszczaństwa. Zło

jednak, jak mi się wydaje, leży w czym innym: w tym, że Hertz chce przekonać innych i siebie, że te same środki warsztatowe mogą posłużyć przy artystycznym przedstawieniu problemów naszego czasu. Cóż bowiem innego znaczy pochwała „prozy amorficznej", jak wytłumaczyć, że kiedy tylko mowa o wielkich wzorach, na których powinien oprzeć się pisarz współczesny, pojawiają się nazwiska Prousta, Tomasza Manna (jako autora *Czarodziejskiej góry*), nawet Gide'a...

Traktor czy samochód wyprodukowany dla prywatnego odbiorcy — bez najmniejszych przeróbek może funkcjonować w gospodarstwie socjalistycznym. Technika przemysłowa nie jest kategorią klasową — pisał słusznie Fik. Wytwory jej służą każdemu ustrojowi. Ale wyrażenie: „technika literacka" nie uprawnia do przeniesienia na nią owej właściwości techniki przemysłowej. Jest już truizmem, że każdy system chwytów posiada „obciążenie ideologiczne". I dlatego ani parasolka p. Arnoux ze *Szkoły serca*, ani srebrny ołówek p. Chauchat z *Czarodziejskiej góry* nie pomogą do napisania powieści o hucie „Zabrze" czy o reformie rolnej. Proust był wielkim pisarzem, i słusznie Hertz tej wielkości broni, słusznie twierdzi, że nie powinien on być obcy współczesnemu czytelnikowi. Trudno się jednak zgodzić z Hertzem wtedy, gdy do jego dzieła chciałby nawiązać wysiłki twórcze dzisiejszych pisarzy. Na Prouście można się uczyć, ale nie można się uczyć u Prousta, jak zresztą u żadnego chyba klasyka minionej formacji społecznej.

Granice przydatności techniki proustowskiej w prozie współczesnej zakreśliło wyraźnie doświadczenie pisarskie właśnie Pawła Hertza — jego *Sedan*. Autor doskonale poradził sobie z analizą skomplikowanej i wyrafinowanej świadomości mieszczańskiego inteligenta, ale gdy tylko poza te treści wyszedł, gdy spróbował pokazać choćby solidarność powojennego Lamberta z obozem postępu — warsztat systemu Prousta zawiódł. I jeśli wolno użyć chwytu krytycznego, któremu grozi nazwa: „psychologizowanie", lub gorzej — „insynuacja", to właśnie dlatego Hertz ma liczne zastrzeżenia wobec tematyki aktualnej, ponieważ częściowo uświadamia sobie (w szkicu *W stronę Turgieniewa*), częściowo wyczuwa, że najbliższa mu i proponowana przez niego technika pisarska jest wobec owej tematyki — nieadekwatna.

Przy tych wszystkich zastrzeżeniach merytorycznych trzeba podnieść, że essaye Hertza posiadają wysokie zalety rodzajowe: napisane są z dużą kulturą literacką i tą swobodą, która stanowi o wdzięku essayu. Ich zamierzona „prywatność", nawet intymność (dygresje osobiste), sprzyja nawiązaniu kontaktu między autorem a czytelnikiem. Nie przytłaczają balastem erudycji, nie odstręczają apodyktycznością twierdzeń. A tam, gdzie budzą sprzeciw, skłaniają do przemyślenia poruszonych w nich spraw.

grudzień, 1948.

Henryk Markiewicz

STUDIA DŁUSKIEJ Z METRYKI POLSKIEJ

MARIA DŁUSKA: *Studia z historii i teorii wersyfikacji polskiej*, tom I. P. A. U., Prace Komisji Językowej, nr. 33. Kraków, 1948; str. VII i 367 i 1 nl.

Polskie badania wersyfikacyjne są stosunkowo ubogie. M. Rowiński, K. Wóycicki, J. Łoś, K. W. Zawodziński, Fr. Siedlecki — oto i prawie wyczerpana lista badaczy nad wersyfikacją polską ostatnich 1 lat pięćdziesięciu. Byłoby jednak krzywdzącą niesprawiedliwością twierdzić, że treść i zakres tych badań jest ciasny i ubogi. Prace wymienionych badaczy nie stanowią luźnych przyczynków, obejmują szeroki zakres zagadnień wersyfikacyjnych, sięgają w ich głąb, tak że w ciągu tych lat urosły poważnie fundamenty tej dyscypliny naukowej.

Do tego szeregu prac przybywa obecnie nowa: *Studia z historii i teorii wersyfikacji polskiej* Marii Dłuskiej. Tytuł dzieła brzmi skromnie, ale jego rozmiary, a przede wszystkim zawartość, dowodzą, że polska nauka o wierszu osiągnęła w swym rozwoju nowy „słup milowy".

Tytuł mówi o studiach, i to zarówno z historii jak i teorii wiersza polskiego. W istocie jest to dzieło jednolite, skoncentrowane, ale tak rozbudowane, że obejmuje niemal całą problematykę wersologiczną. Kościec dzieła stanowi studium o polskim 13-zgłoskowcu. Ujmując zagadnienie histo-

rycznie, sięga autorka do pierwszego utworu polskiego napisanego tym wierszem. Jest nim *Jezus Chrystus, Bóg-człowiek...*, utwór pochodzący z końca XIV, a najdalej z początku XV w. Epoka średniowiecza, które panuje u nas jeszcze w całej pełni. Zagadnienie od razu się rozszczepia. Wymieniony utwór jest zarazem pierwszym, w którym pojawia się wiersz średniówkowy, i oto nasuwa się konieczność zbadania tego, co autorka nazwała „narodzinami średniówki". Z drugiej strony nie podobna było ominąć całej zagadkowej odrębności naszej średniowiecznej wersyfikacji. Dawni uczeni, przede wszystkim historycy literatury, zajmując się sumiennie naszą poezją średniowieczną jako zawiązkiem narodowej literatury, nie potrafili zająć w stosunku do jej formalnych jakości właściwej postawy. Stosując nawyki i miary, jakie wyrobili sobie na poezji nowożytnej, widzieli w wersyfikacyjnej formie utworów średniowiecznych pierwociny prób poetyckich i związaną z tym nieporadność techniczną autorów. W ostatnich latach przed wojną stosunek ten uległ zmianie, czego dowodem prace Birkenmajera (dotyczące *Bogurodzicy*), Fr. Siedleckiego, studium czeskiego wersologa Hrabaka. Ale dopiero *Studia* M. Dłuskiej dają rozwiązanie tej zagadki i pozwalają na właściwą orientację w naszej wersyfikacji średniowiecznej. Autorka rozróżnia dwa nurty: 1. wiersze asylabiczne bezśredniówkowe i 2. wiersze sylabiczne, wśród których najwcześniej wykształcają się wiersze średniówkowe.

Wiersze asylabiczne są wcześniejsze. Czynnikiem kształtującym jednostkę wiersza, jego podstawę metryczną, jest zdanie; są to wiersze zdaniowe. Zdanie jako jednostka treściowa zamknięta, już przez to samo daje całość zwartą, w której nieznaczne modyfikacje wewnętrzne mogą dokonywać się w zależności od układu i związku cząstek syntaktycznych. Ze zdaniem wiąże się również wyrazista całostka intonacyjna. W ten sposób na koniec zdania przypada wyrazista granica, która oddziela jeden wiersz-zdanie od drugiego. Przy takim założeniu metrycznym obojętna jest ilość sylab, chociaż do pewnych granic. Wiersze średniowieczne liczą najczęściej osiem sylab, wymieniając się nieustannie z 7- i 9-zgłoskowcami. Większa ilość sylab zdarza się rzadko i ze zrozumiałych powodów. Większa ilość sylab — to większa ilość słów, to bardziej rozbudowane zdanie, w którym z natury rzeczy mogą bardziej różnicować się działy intonacyjne, wskutek czego łatwo może nastąpić zachwianie hierarchii między działem zamykającym jednostkę wierszową a działami wewnątrz wiersza, pociągające w konsekwencji zachwianie lub zgoła rozbicie jedności konturu wersyfikacyjnego.

Kraniec wiersza uwarunkowany czynnikami syntaktyczno-intonacyjnymi otrzymuje w asylabicznym wierszu średniowiecznym jeszcze inne podkreślenie. Jest nim rym. Rym średniowieczny różni się od dwuzgłoskowego rymu dokładnego, jaki, poczynając od Kochanowskiego, zapanował wyłącznie w wersyfikacji polskiej aż do czasu romantyzmu. Rym średniowieczny polegał na dowolnej współdźwięczności końcowej, co stwarzało bogaty wachlarz rymu, połączeń i ilości komponentów rymu. Tak więc wiersz średniowieczny był izorytmiczny, asylabiczno-zdaniowo-rymowy.

Obok takiego wiersza pojawia się w średniowieczu inny rodzaj, oparty na zasadzie sylabicznej. Pierwszym tego rodzaju wypadkiem jest wzmiankowany już utwór *Jezus Chrystus Bog-człowiek, mądrość ocza swego...* Jest to przekład łacińskiego hymnu *Patris sapientia*; tłumacz zachował ściśle wzór oryginału, tzn. 13 sylab w jednostce wierszowej, dwuczłonową budowę 7+6, wreszcie „rym głęboki w ówczesnym traktowaniu, bo taki jak nasz dzisiejszy rym żeński, podczas gdy stare średniowiecze umiało się zadawalać współdźwięcznością końcową" (str. 13).

Szczegółowa analiza wersyfikacyjna tego utworu, a potem dalsze rozważania autorki pozwalają uświadomić sobie, jak ten wiersz, tak pospolity dla naszych dzisiejszych nawyków, był techniczną rewelacją na tle ówczesnej, gruntownie przez nas zapomnianej, asylabicznej wersyfikacji. Ten rodzaj metryczny wiersza nie ustalił się jednak od razu. Uderzając swą odrębnością ówczesne ucho, żłobiąc sobie drogę, nowy system, nim zdecydowanie się utrwali i w epoce Kochanowskiego wyruguje starą technikę wersyfikacyjną, w ciągu długiego okresu

podlega sam wpływom panującej wersyfikacji.

Asylabiczny wiersz zdaniowy narzucał średniowiecznemu wierszowi sylabicznemu swoje właściwości. Wiersz ów, wyprowadzając odpowiednio zhierarchizowane sygnały intonacyjne dla średniówki i klauzuli jako element wzorca rytmicznego (autorka używa tego terminu zamiast: *metrum*, metr), do jednolitego rymowania wprowadza rozmaitość rymu średniowiecznego i, co najważniejsze, dopuszcza zmianę ilości sylab, wskutek czego nowy system wersyfikacyjny staje się tylko względnie sylabiczny. Na tle asylabiczno-zdaniowej wersyfikacji w ciągu XV i początku XVI wieku pojawiają się sporadycznie utwory w ściśle wytrzymanym sylabizmie, a częściej wiersze względnie sylabiczne. W tym zróżnicowanym obrazie naszej wersyfikacji średniowiecznej nie wiadomo, który ze ścierających się nurtów odniósłby zwycięstwo; zróżnicowanie to może by nawet pozostało i w jakiś sposób kontynuowało swą drogę, gdyby nie zmiany w samym języku, sprzyjające systemowi sylabicznemu. Taką zmianą było zanikanie iloczasu gramatycznego, które ostatecznie dokonało się pod koniec XV wieku.

Mimo istnienia iloczasu nie widać w polskim średniowieczu śladów wersyfikacji iloczasowej. Dla wyodrębnienia jednostki wierszowej wystarczającym czynnikiem stawała się więź syntaktyczno-intonacyjna i dowolne współbrzmienia rymów. Również akcent nie wchodził w orbitę elementów wzorca rytmicznego. A jeżeli w wierszach średniowiecznych zdarzają się klauzule o identycznej strukturze (np. komponenty rymów paroksytoniczne lub oksytoniczne), jeżeli wewnątrz wiersza układa się następstwo akcentów regularnie (np. trocheicznie), to takie zagęszczenia regularności akcentowej nie wskazują bynajmniej na tendencje sylabotoniczne, lecz są tylko szczegółowym wypadkiem możliwości układania się akcentów w obrębie wzorca intonacyjno-zdaniowego. W najlepszym razie, jeżeli wierszopis średniowieczny odczuwał odrębną swoistość takiego zagęszczenia regularności akcentowej i od czasu do czasu stosował je świadomie, to czynił to dla celów ekspresyjnych, lecz nie pod naciskiem tendencji metrycznych.

Gdy na tle wersyfikacji intonacyjno-zdaniowej, asylabicznej, pojawiał się utwór o wierszu średniówkowym i ściśle wytrzymanym sylabizmie, to przy niewątpliwym odczuciu całej odrębnej jakości takiego wiersza mogły jeszcze zachodzić doznania w dwu kierunkach. *Primo*, dwie jednostki wierszowe, dzięki różnemu wypełnieniu ich przez sylaby długie i krótkie, mimo ścisłej identyczności liczbowej sylab mogły dawać w ostatecznej „sumie" wrażenie jednostek różnych co do swej miary. To niewątpliwie utrudniało zasadzie sylabicznej natychmiastowe przyjęcie się, wprowadzając opory w świadomości prozodyjnej wierszopisa, zmuszając go do szczególnej baczności i wysiłku w bezbłędnym formowaniu nowego typu miary wiersza. Z drugiej strony istnienie iloczasu mogło powodować, że dwa wiersze o różnej ilości sylab, niezależnie od tego, że wiązała je w całostki autonomiczne więź intonacyjno-zdaniowa, dzięki ustosunkowaniu w nich sylab długich i krótkich mogły dawać w ostatecznej „sumie" wrażenie tej samej równomierności czasowej. Ta sytuacja rzuca światło na charakterystyczny fakt, że w asylabicznych wierszach nie panuje zupełna dowolność w ilościowym wymiarze sylab. Trzonem jest tu szereg 8-zgłoskowy, wymieniający się z szeregami 7- i 9-zgłoskowymi, rzadko sięgający poniżej 6 i powyżej 10 sylab. Ta rozpiętość sylabiczna była uwarunkowana nie tylko podstawowym czynnikiem wzorca — wyrazistą spójnością więzi syntaktyczno-intonacyjno-rymowej — wynikała również i z tego, że takie ilościowe skumulowanie sylab długich i krótkich łatwiej mogło wyrównywać się jako jedna i ta sama miara. Jeżeli pierwszy kierunek wrażeń utrudniał średniowiecznemu wierszopisowi utrzymanie się w ścisłości liczbowego wymiaru sylab, gdy chciał konstrukcję swego wiersza oprzeć na nowej zasadzie, kierunek drugi stanowił odwrotność tego samego procesu, sprawiając, że dwa wiersze różne co do liczbowego wymiaru sylab postaciowały się w świadomości twórcy jako jednostki równe. Ta sytuacja tłumaczy, dlaczego obok istniejących utworów o wierszu średniówkowym i o ściśle wytrzymanym sylabizmie, pojawiających się sporadycznie w tym okresie, mamy stosunkowo znaczną ilość utworów, które wyraźnie zdradzają, że ich budowa

jest oparta na nowej zasadzie wersyfikacyjnej, jednak ich wymiar sylabiczny przedstawia się chwiejnie. W opisanych warunkach obok sylabizmu ścisłego musiał w pewnym sensie pojawić się sylabizm względny. Ale w miarę jak iloczas gramatyczny zanikał, poczucie ważkości wymiaru sylabicznego wzrastało; dwu- lub nawet jednosylabowe odchylenia musiały mocniej narzucać się jako przekroczenia zamierzonej miary.

W pierwszej połowie XVI w. asylabizm znika, a jeżeli pojawia się jeszcze, to jako tradycyjne zapóźnienie. Dominuje natomiast sylabizm względny ze znaczną przewagą wierszy o ścisłym wymiarze sylab. Twórczość Reja stanowi kraniec owego procesu ścierania się dwóch systemów. Jego wiersze, a przede wszystkim 13-zgłoskowce, bo jego krótsze sylabiki (8, 10, 11-zgłoskowe) jeszcze mają nalot względności, wskazują już wyraźnie na zwycięstwo zasady sylabicznej. Pozostały w nich jednak jeszcze pewne rysy techniki średniowiecznej, te, które nie stały w sprzeczności z podstawową zasadą sylabizmu — ścisłym wymiarem sylab. Rej czynniki syntaktyczno-intonacyjne zatrzymuje jako element wzorca rytmicznego. Szereg 13-zgłoskowy wyodrębnia w ten sposób, że na koniec szeregu kładzie kadencję i odpowiadający jej dział intonacyjny, zaś na średniówkę — antykadencję z odpowiednio słabszym działem intonacyjnym. Z tego względu 13-zgłoskowce Reja nie mają płynnej rozmaitości toku, nie spotyka się w nich przelewania toku z wiersza do wiersza, są one sztywne i na dłuższą metę monotonne rytmicznie.

Drugą pozostałością średniowiecznej techniki Reja jest rym. Wprawdzie ilość rymów dokładnych, paroksytonicznych, idących parami wyraźnie wzrasta, nie stanowi to jednak reguły. Te rymy u Reja są jeszcze szczegółowym wypadkiem rymu średniowiecznego, ostatnio-zgłoskowego, o niewyrównanej pozycji akcentu. Dlatego obok przeważających rymów typu: właśnie — wrzaśnie, pojawiają się w znacznych ilościach i takie: na głowie — sobie, włożył — służył, przykład brać — powiadać itp.

Należało i te pozostałości przezwyciężyć. Uczyni to Jan Kochanowski, który „jednym wielkim pociągnięciem wymiecie z naszej poezji zastałe resztki staroświeckiej techniki".

Na czym polegał przewrót Kochanowskiego „godny epoki romantyzmu"? „Mistrz z Czarnolasu uruchomił intonację i wprowadził do wiersza tok przerzutniowy" (str. 218). A to się stać mogło dlatego, że Kochanowski, obok rygoryzmu sylabicznego, ujednostajnił rym i na nim oparł wyłącznie funkcję sygnalizowania końca jednostki wierszowej. Kanon ujednostajnienia rymu u Kochanowskiego polega jednak tylko na ścisłej zgodności fonicznej: dwie ostatnie sylaby szeregu powtarzają się w komponentach rymu identycznie. Ta foniczna dokładność rymowa nie jest jeszcze u Kochanowskiego ściśle związana z tożsamością budowy akcentowej rymujących wyrazów. Kochanowski ma np. takie połączenia: na sercu miej — rozumiej, gdzie oksyton wiąże się z paroksytonem, jednak i w takich wypadkach Kochanowski dba, aby dwie ostatnie sylaby miały brzmienie identyczne (-u miej — umiej). Tak ujednostajniony i wyrazisty rym (szczególnie w stosunku do żywej jeszcze tradycji średniowiecznej) stanowił dostatecznie mocny sygnał, by oddzielać wiersz od wiersza. Podkreślanie klauzuli wiersza tym sygnałem pozwalało zwolnić z tej samej funkcji intonację i z elementu strukturalnego wzorca uczynić ją subtelnym środkiem ekspresji. Kochanowski stosuje w swym wierszu tok przerzutniowy, zarówno w klauzuli, jak i w średniówce, przełamuje najrozmaiciej „naturalną" hierarchię ważkości działów intonacyjnych (np. lekki dział po zestroju akcentowym w zamknięciu wiersza, najmocniejszy dział kadencji w średniówce); w rezultacie wiersz jego jest płynny, lotny, gibki. W porównaniu z wierszem Reja to istotnie „niebo i ziemia". Jednak tezie autorki o naczelnej roli ujednostajnionego tonicznie rymu w strukturze wzorca rytmicznego przeczą białe wiersze w *Odprawie*. Autorka nie zapomniała o nich i w specjalnym ustępie usiłuje tę sprzeczność wyrównać. Teza o dominującej roli rymu we wzorcu rytmicznym wiersza Kochanowskiego i rola, jaką rym odegrał w przewrocie wersyfikacyjnym, jakiego dokonał Kochanowski, nie jest zasadniczo fałszywa, ale wydaje się przeholowana. Autorka wysuwając rym na czoło jakby zapomina

o innych czynnikach strukturalnych, a przecież struktura złożona z jednego elementu jest nie do pomyślenia. W rytmicznej strukturze wzorca działają u Kochanowskiego i ścisły sylabizm, i czynniki syntaktyczno-intonacyjne, i rym, tylko w o wiele bogatszym zróżnicowaniu układów, niż to ma miejsce w ubogim schematyzmie Reja. Boć ostatecznie można znaleźć u Reja całe partie wierszy o ujednostajnionym rymie, o żywym urozmaiceniu toku (skala ważkości przedziałów intonacyjnych w indywidualnej interpretacji jest tak „rozciągła"); i odwrotnie — u Kochanowskiego całe partie wierszy w nieprzerzutniowym toku i hierarchicznym rozplanowaniu przedziałów kadencyjnych i antykadencyjnych, — a mimo to wiersze te będą się różnić jak „niebo i ziemia". W twierdzeniach autorki brzmi zupełnie zrozumiały psychologicznie zachwyt oceny wartości estetycznej. Jeśli o to chodzi, do głosu musiałyby dojść i strona znaczeniowa słów, i sfera przedstawień — to wszystko, co pozwala nam sądzić o niewątpliwie olbrzymiej różnicy skali talentów i kultury literackiej obu „ojców" naszej poezji.

Wysunięty zarzut, jeśli w ogóle jest zarzutem, a nie prostym nieporozumieniem, nie umniejsza pozytywnych walorów tej części *Studiów*. Od dawna się o tym wiedziało i nawe to sobie uświadamiano — ale intuicyjnie, po omacku, — i ten wielki skok między Rejem i Kochanowskim, i tę ewolucyjną przemianę innej, średniowiecznej wersyfikacji w nowożytną, ustaloną od Kochanowskiego na trzy wieki — dopiero jednak *Studia* M. Dłuskiej nadały tym intuicjom zdecydowany kształt naukowej wyrazistości. W omówionej dotychczas części *Studiów* może najwyraźniej uwydatnia się ich charakterystyczny rys szerokiego i dogłębnego pojmowania problematyki. Zasadniczo autorka skupia swe zainteresowanie na przedstawieniu genezy i ewolucji wiersza 13-zgłoskowego. „Narodziny średniówki", rozgryzienie zagadki naszej średniowiecznej wersyfikacji, jej zróżnicowany obraz i linia kierunkowa przemian aż po Reja i przewrót Kochanowskiego — to zagadnienia poboczne, pomocnicze rusztowania. Nie są to jednak zwykłe marginesy, interesujące „rzuty perspektywiczne". W pewnym sensie są one ważniejsze niż główny nurt rozważań, wypełniają bowiem białe plamy mapy, ustalają w nauce o wierszu polskim sprawy kapitalne.

Począwszy od Kochanowskiego, autorka w dalszym ciągu swej pracy zajmuje się już wyłącznie 13-zgłoskowcem. „W dalszej ewolucji wzorzec 13-zgłoskowca przejdzie przez jeszcze jedną przemianę fundamentalną. Nie będzie ona jednak tak szybka i tak gwałtowna, jak ta, której podległ, przechodząc od Reja do Kochanowskiego. Będzie to zmiana istotna, ale dokonywana stopniowo, nie zaś przewrót nagły w pojmowaniu schematu rytmicznego wiersza. I czekać na nią trzeba będzie parę wieków" (str. 228). Dokonanie się tej istotnej zmiany następuje dopiero w okresie Tetmajera i Konopnickiej. Do tego czasu rozróżnia autorka trzy zasadnicze etapy, nierównej zresztą, jak się zdaje, doniosłości: okres baroku, 13-zgłoskowiec pseudoklasyczny i 13-zgłoskowiec romantyczny.

Barok nie wniósł do rytmiki 13-zgłoskowca „świeżej inwencji twórczej". W. Potocki, którego obiera sobie autorka jako teren obserwacji, buduje swoje 13-zgłoskowce tak, „jakby je pisał Rej". Stwierdzenie to, poprzedzone sześciowierszowym przykładem z *Wojny chocimskiej*, zaskakuje czytelnika. Prawdopodobnie ma tu na myśli autorka sarmacką rubaszność artyzmu Potockiego, która go istotnie bardziej zbliża do Reja niż do Kochanowskiego. Bo jeśli chodzi o sam mechanizm wiersza, „Potocki odziedziczył po Kochanowskim intonację wolną... Przerzutnie średniówkowe, czy klauzulowe... Akcent swobodny zarówno przed średniówką jak w klauzuli wiersza..." (str. 229). „Wielotysięczne, 13-zgłoskowcem pisane jego utwory nie przyniosły formie dźwiękowej wiersza nic nowego. Doprowadziły ją tylko do baroku prozodyjnego wskutek nadużywania przerzutni, przestawni, zmienności akcentu oraz ostatecznego przerafinowania przez uciekanie się do klauzul proparoksytonicznych lub gwałcących zestroje akcentowe, do rymów tchnących sztucznością i ekstrawagancją" (str. 233).

Pseudoklasycyzm, który w Polsce można uważać za pewnego rodzaju „odrodzenie" literatury po upadku w epoce saskiej, stanowi zarazem reakcję czy raczej przeciwstawienie się wybujałościom baroku. Racjo-

nalistyczna estetyka pseudoklasycyzmu musiała oddziałać również i na formę dźwiękową 13-zgłoskowca. Upodobanie do jasności, klarownej harmonijności i symetrii skłaniało gusty pseudoklasyków do odpowiedniego postaciowania elementów prozodyjnych języka. 13-zgłoskowiec pseudoklasyczny, którego najświetniejszym i najbardziej typowym reprezentantem jest wiersz *Barbary Radziwiłłówny* Felińskiego, nawraca do Reja o tyle, że ponownie związuje działy intonacyjne z węzłowymi momentami wiersza. Więc na klauzulę wiersza przypada kadencja lub antykadencja, a na średniówkę odpowiednio słabszy dział intonacyjny. Nie jest to jednak wiersz sztywny, pseudoklasycy bowiem potrafili wydobyć całą rozmaitość i giętkość toku, na jaki ich typ wzorca pozwalał. Pseudoklasycy znacznie ograniczają swobodę akcentową w klauzuli i średniówce. W tych węzłach widać dążność do ustabilizowania pozycji paroksytonicznej, mimo to jednak 13-zgłoskowiec w ich ręku nie przemienia się jeszcze w nowy typ o dwuakcentowej strukturze, jaki ustali się ostatecznie u Tetmajera i Konopnickiej.

Z okresu romantycznego zastanawia się autorka tylko nad 13-zgłoskowcem *Pana Tadeusza*. Wiersz ten „tak znany, tak prosty... jest przecież najtrudniejszy do scharakteryzowania. Wbrew bowiem pozorom jest on niezwykle skomplikowany i nie ma przejrzystego wzorca" (str. 247). Rzecz w tym, że Mickiewicz zachował rysy 13-zgłoskowca pseudoklasycznego, ale wzbogacił je większą swobodą toku na podobieństwo Kochanowskiego i Potockiego. Do tego zaś dołączył pewne rysy własne. Dotyczą one klauzuli wiersza i nowego sposobu realizowania średniówki. Już u Kochanowskiego, biorąc cyfrowo, przeważa paroksytoniczne zakończenie wiersza. Ale nie jest to jeszcze ustabilizowanie akcentu, wprowadzenie go w strukturę wzorca jako elementu. Kochanowski bowiem, pozwalając sobie na przesuwanie pozycji akcentu, operuje rymem wprawdzie ujednostajnionym w zasobie składników fonicznych, ale o swobodnej strukturze akcentowej. Ten rys zachowuje i nawet potęguje Potocki, a dopiero pseudoklasycyzm tę swobodę znacznie ogranicza, chociaż bynajmniej nie znosi całkowicie. W *Panu Tadeuszu* zaś na przeszło 9800 wierszy zaledwie 9 ma niejasny akcent. Reszta zdecydowanie posiada postać paroksytoniczną. Dlatego autorka uważa „akcent paroksytoniczny klauzuli wiersza za konstantę strukturalną rytmu *Pana Tadeusza*. Tendencja przejawiająca się już od Trembeckiego zostaje przypieczętowana" (str. 250).

Co do węzła średniówkowego, Mickiewicz używał wszystkich dawnych sposobów realizowania średniówki lub jej zacierania, a ponadto wprowadził sposób nowy, mianowicie uwydatnianie średniówki wzmożonym naciskiem na poprzedzający ją zestrój akcentowy i pauzę, nie związaną z kadencją lub antykadencją. Ten nowy sposób, nie stając w sprzeczności z intonacyjnym realizowaniem średniówki, co w konsekwencji prowadziło do przerzutni średniówkowych, wzmagał w ogólnym obrazie ilość akcentów na sylabie szóstej. W ten sposób 13-zgłoskowiec *Pana Tadeusza* wraz z ustabilizowaniem akcentu paroksytonicznego w klauzuli stał się ostatnim ogniwem przejściowym do nowego typu 13-zgłoskowca, jaki wyklarował się u Konopnickiej i Tetmajera.

Wzorzec rytmiczny tego nowego typu 13-zgłoskowca oparty jest na innej kombinacji elementów niż wzorzec Reja, Kochanowskiego i jego następców. Tam 13-zgłoskowiec był wierszem sylabiczno-intonacyjno-rymowym. Jego dwudzielność polegała na intonacyjnym podkreślaniu średniówki. Intonacja zawsze w mniejszym lub większym stopniu stanowiła strukturalny element wzorca. W typie nowym intonacja zostaje całkowicie wyrugowana jako element strukturalny wzorca i przesunięta całkowicie do roli ekspresywnej. Jej miejsce zajmuje ustabilizowany akcent w klauzuli i przed średniówką. Periodyczny napływ tych stałych akcentów w obrębie trzynastu sylab staje się podstawą jego dwudzielności, bo intonacyjnie wiersz obecnie może stanowić jedną nieprzełamaną całość.

Ewolucja 13-zgłoskowca jednak nie kończy się na tym. Już Kasprowicz doprowadza akcentowo-rymowy wzorzec 13-zgłoskowca do ostatecznych granic wyczerpania. Jego sonet *Kapłanka Boża, Mamia...* zachowuje w wierszach wymiar sylabiczny, ustabilizowane miejsca akcentów i rym dwuzgłos-

kowy, ale tok zdaniowo-intonacyjny rozwija się nie tylko swobodnie, lecz wręcz kłóci się ze schematem wzorca. Tak daleko posunięty „dysonans" czynników prozodyjnych z rytmicznymi jako metoda wierszopisarska prowadzi do rozkładu tej formy wierszowej. Autorka nie przedstawia tego dalszego kroku, który można zauważyć np. w wielu utworach Pawlikowskiej, gdzie układ graficzny wskazywałby na nieregularną wersyfikację, natomiast sygnały rymowe pozwalają wykryć formalnie regularny 13-zgłoskowiec. Pawlikowska ma zresztą i takie utwory, których nieregularność jest podkreślona nie tylko układem graficznym, ma i takie, w których nie podobna już znaleźć żadnego „dna" regularności. I to, zdaje się, jest jedna linia, na której kończy się ewolucja 13-zgłoskowca i w ogóle wierszy sylabicznych, wlewając się w morze współczesnej nieregularnej wersyfikacji. Ale jest i inna, i tej poświęca Dłuska ostatni rozdział części historycznej swych *Studiów*.

Typ 13-zgłoskowca, którego konstantę rytmiczną stanowią dwa akcenty, podsuwa się tym samym pod inny system strukturowania wzorca rytmicznego, mianowicie pod sylabotonizm. System sylabotoniczny pojawił się w wersyfikacji polskiej już w pierwszej połowie XIX w., ma więc za sobą przeszło sto lat „praktyki" wierszopisarskiej. Zupełnie naturalne, że 13-zgłoskowiec, szukając nowych dróg ukształtowania wewnętrznego, ciąży ku temu systemowi. Autorka przytacza dwa przykłady (Sowińskiego i Podhorskiego-Okołowa), w których nie tylko dwa akcenty metryczne, ale i inne ustalają się co do ilości i miejsca, aczkolwiek nie ze stuprocentowym rygoryzmem. Oczywiście autorka mogłaby przytoczyć dziesiątki przykładów, które potwierdziłyby jej obserwacje.

Współczesny 13-zgłoskowiec przybiera jeszcze inny aspekt, mianowicie ulega on wpływom systemu czysto-tonicznego, co pokazuje autorka na przykładzie wziętym z utworu J. Iwaszkiewicza pt. *Inne życie*.

Monografia 13-zgłoskowca polskiego, jak można by nazwać historyczną część *Studiów* M. Dłuskiej, przedstawia genezę, linię przemian i metryczną istotę tego wiersza w innym świetle niż to, jakie się w dotychczasowych badaniach ustaliło. Autorka zdaje sobie z tego sprawę i wyraźnie wyznaje: „Wyniki moich badań nie potwierdzają dotychczasowej opinii o 13-zgłoskowcu i pośrednio o całym naszym sylabizmie... Wybijanie miary wiersza stałym co do miejsca akcentem w klauzuli i średniówce wydawało się poprzednikom moim *sine qua non* wzorca sylabicznego" (str. 274).

Autorka, która dotychczas nie podejmowała dyskusji w sprawie tej różnicy poglądów, by nie zamącać przejrzystości i ciągłości wykładu, czyni to w ostatniej części swej książki, w *Rozdziale polemicznym*. Ostrze polemiki zwraca się częściowo przeciwko K. W. Zawodzińskiemu, przede wszystkim jednak przeciwko teorii „transakcentacji metrycznej" Fr. Siedleckiego. Siedlecki teorii tej poświęcił cały drugi tom swych *Studiów z wersyfikacji polskiej*, gdzie usiłował dowieść twierdzenia, że we wszystkich wypadkach, gdy akcent zgodnie z normalnym poczuciem językowym pada w 13-zgłoskowcu na sylabę 5 lub 7, powinien być przenoszony na sylabę 6, tak jak tego wymaga schemat metryczny wiersza. Więc np. w wierszu

Tadeusz przyglądał się nieznanej osobie...

zestrój „przyglądał się" powinien być czytany „przyglądał się". W praktyce bardzo trudno było się pogodzić z żądaniem Siedleckiego, które wymagało w wielu wypadkach bardzo jaskrawego pogwałcenia normalnego poczucia poprawności językowej na rzecz wymagań struktury wzorca rytmicznego. Ale Siedlecki, który pierwszy zajął się wytłumaczeniem tej „sprzeczności", jaka zachodzi w wielu wierszach między wymaganiami języka a wymaganiami metru, tak gruntownie rozpatrzył sprawę, taką masę poruszył zagadnień pomocniczych, mających uzasadniać słuszność jego teorii, że nie podobna było jej pomijać milczeniem. W *Rozdziale polemicznym* M. Dłuska przeprowadza dyskusję z obu wymienionymi autorami, skupiając się na trzech zasadniczych zagadnieniach. Pierwsze dotyczy teorii „sylabizmu czystego". Teorię tę stworzył K. W. Zawodziński jako przeciwstawienie teorii Siedleckiego o „transakcentacji metrycznej". Podstawą teorii „czystego sylabizmu" było twierdzenie, że stały co do liczby sylab szereg stanowił wystarczającą w staropolskiej wersyfikacji

muje w swych *Studiach*, zdaje się wynikać takie milczące założenie. Z trudności, jakie się nasuwają, gdy chcemy przedziałowi międzywyrazowemu przypisać jakiś odpowiednik fizyczny, jeszcze nie wynika, że jest on niczym. Kontur intonacyjny wzorca rytmicznego też nie da się sprowadzić do odpowiedników akustycznych czy fizjologicznych, a przecież stanowi jakoweś *ens* o swoistej realności. Ostatnią część swego *Rozdziału polemicznego* poświęca autorka rozprawie z teorią Siedleckiego o „transakcentacji metrycznej". Siedlecki swoje twierdzenie o przenoszeniu akcentu z miejsca wyznaczonego przez poczucie językowe na miejsce wyznaczone przez schemat metryczny uzasadniał argumentem fonologicznym. Akcent języka rosyjskiego np. jest fonologiczny, czego przykładem takie wyrazy jak múka, (męka), muká (mąka), w których przesunięcie z jednej sylaby na drugą zmienia znaczenie wyrazów. Fonologiczność akcentu rosyjskiego nie dopuszcza transakcentacji. Akcent polski jest natomiast nie fonologiczny, przeto w języku polskim nie ma przeszkód w przesuwaniu akcentów, jeśli tego wymagają jakieś czynniki pozajęzykowe.

Autorka rozbija ten argument, uzasadniając, że Siedlecki, jak z jednej strony przesadza fonologiczność akcentu rosyjskiego, tak z drugiej strony nie docenia swoistej fonologiczności akcentu polskiego. Język polski nie posiada takich par słownych jak múka, muká, jak również ze zmianą formy gramatycznej (np. w deklinacji) nie zmienia się pozycja jego akcentu. Mimo to akcent polski nie jest obojętny dla sfery znaczeniowej. Akcent polski spełnia funkcję demarkacyjną, sygnalizuje koniec słowa. Przesunięcie akcentu w jakiejś wypowiedzi albo zamąca jej sens, albo zmienia dany sens na inny. Autorka przytacza przykład: „da jeszcze kawy Jędrzej", w którym po przesunięciu akcentów otrzymamy nowe wyrażenie o innym i zamąconym znaczeniu: daje szczeka wyję drzej. Z równie przekonywającą siłą zbija autorka i inne argumenty Siedleckiego. Sprawa nieustannie obraca się wokół akcentu polskiego, jego osobliwości i zróżnicowania funkcji. Zagadnienie akcentu już omówiła autorka wyczerpująco w swej wcześniejszej co do daty wydania *Prozodii języka polskiego*. W polemice z Siedleckim autorka opiera się na wynikach swych poprzednich badań, które w zastosowaniu do konkretnego zagadnienia nabierają nowego światła.

Polska nauka o wierszu jest stosunkowo uboga, jeśli chodzi o ilość dzieł i badaczy, może się jednak pochlubić niesłabnącym z pokolenia w pokolenie narastaniem wyników, udoskonalaniem metod i precyzowaniem podstaw teoretycznych. Ostatnio przed wojną ożywczym, świeżym i pod wielu względami rewelacyjnym wkładem stały się prace Siedleckiego. Również i *Studia z historii i teorii wersyfikacji polskiej* Marii Dłuskiej nie tylko przepracowaniem szeregu specjalnych zagadnień znakomicie pomnażają nasz dorobek naukowy, ale i ożywiają naukę o wierszu bogactwem materiału teoretycznego, jaki dzieło to zawiera bezpośrednio i w implikacjach.

Stanisław Furmanik

Na skutek przeoczenia w 3. zeszycie „Twórczości" w antologii poetów słowackich znalazł się utwór Józefa Hory „Wiosna", który powinien być pomieszczony w wyborze poetów czeskich.

WYKAZ TREŚCI

Str.

3 KWIETNIA 1849 5
MIKOŁAJ ASIEJEW: Majakowski z bliska 13
JÓZEF HEN: Na zachód od Nysy 21
WILHELM SZEWCZYK: Preludium, Bierawka, Budowa pomnika na Górze św. Anny, Strach 37
KRYSTYNA BERWIŃSKA-GOGOLEWSKA: Ocalenie Antygony 41
ANDRZEJ WYDRZYŃSKI: Komedia 58
SAMUEL PEPYS: Pożar Londynu 76
STANISŁAW WSZELAKI: Postać lekarza w literaturze polskiej 86

SPRAWOZDANIA

JULIUSZ KLEINER: Książka popularna o Mickiewiczu 103
KRYSTYNA KULICZKOWSKA: Na pograniczu realizmu 106
HENRYK MARKIEWICZ: Literatura po wojnie 112
„ „ Od Dantego do Iwaszkiewicza 115
„ „ Essaye Pawła Hertza 118
STANISŁAW FURMANIK: Studia Dłuskiej z metryki polskiej 121

Wydawca: Spółdzielnia Wydawniczo-Oświatowa „Czytelnik", Warszawa—Łódź—Kraków
Redaktor naczelny: Kazimierz Wyka
Sekretarz odpowiedzialny: Jan Alfred Szczepański
Adres redakcji: Kraków, Basztowa 15, m. 8. Administracji: Wielopole 1
Cena zeszytu 115 zł + 5 zł (cegiełka na „Dom Słowa Polskiego")
Prenumerata kwartalna 300 zł
Rękopisów niezamówionych redakcja nie zwraca

137608

CZYTELNIK